Cena 15 zł.

ODRODZENIE

Nr. 10—12 Lublin, 15 stycznia 1945 r. Rok II

JERZY BOREISZA

Rewolucja łagodna

NAUCZENI DOŚWIADCZENIEM

Wśród wielu listów entuzjastycznych i wrogich, kąśliwych i przyjacielskich, otrzymałem jeden, wyróżniający się pomysłem:

Liberté! Egalité! Fraternité!

Enfer le 27 octobre 1944

Nous sommes heureux, Messieurs, de pouvoir Vous saluer. Chacun sera récompensé selon ses oeuvres. Tout à fait bien arrangé. Il s'en faut ailleurs encore la guillotine pour la bourgeoisie. Veuillez agréer, Messieurs, nos salutations distinguées.

Robespierre, Marat, Danton, Desmoulins

„Piekło, 27 listopada 1944.

Jesteśmy szczęśliwi, panowie, że możemy Was powitać! Każdy będzie wynagrodzony stosownie do swego wysiłku. Wszystko zostało świetnie przemyślane. Brak tylko gilotyny dla burżuazji. Zechciejcie, panowie, przyjąć wyrazy wysokiego szacunku.

Robespierre, Marat, Danton, Desmoulins".

Autor tego dowcipnie skądinąd pomyślanego anonimu trafił w sedno, zapewne przypadkowo. Autorem tym może jest jakiś przerażony bęcwał kawiarniany, który przyglądając się wielkim przemianom, zachodzącym w Polsce, przypomniał sobie jakobinów. Dla pełni obrazu brakło mu jednak niszczenia i palenia, rabowania dworów szlacheckich oraz przelewu krwi, gilotyny i terroru.

Obóz dokonywujący obecnie dziejowych przemian w Polsce, niewątpliwie najsilniej związany jest z Robespierrem, Desmoulinsem i z jakobinizmem. Ale jakże osobliwym jakobinizmem, jakże odmiennym od marzeń pierwszych jakobinów polskich, Jakuba Jasińskiego, Hugo Kołłątaja czy Stanisława Staszica.

Jesteśmy spadkobiercami myśli jakobinów polskich — ale dzieli nas od nich półtorawiecze, w ciągu którego zaszły wokół Polski przemiany i zaszły przemiany w naszym narodzie. A jednak, gdy czytamy dziś Staszica...

„Powiem, kto mojej ojczyźnie szkodzi. Z samych panów zguba Polaków. Oni zniszczyli wszystkie uszanowanie dla prawa. Oni, rządowego posłuszeństwa cierpieć nie chcąc, bez wykonania zostawili prawo. Oni zupełnie zagubili wyobrażenie sprawiedliwości w umyśle Polaków. Oni prawo zamienili w czczą formalność, która tylko wtenczas ważną była, kiedy prawo ich dumie, łakomstwu i złości służyło..."

I dalej: „Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne półnago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe".

I znowu: „...Pospólstwo, zawsze wzgardzone za przywary, grubiaństwa, prostotę i pijaństwo, jak ta ziemia zawsze deptane, może mieć między sobą największych bohaterów, najdowcipniejszych mędrców, ale to wszystko jest ukryte, jak miny złota w ziemi. W podobieństwo ziemi, powszechnej Matki, jest w obywatelstwie wyobrażenie pospólstwa. Ono jest pracujące i żywiące narody, jak ziemia, która nigdy nie odpoczywa; nawet jego cierpienie, chwasty i głogi stają się pożytkiem, gdy wnętrze kryje kopalnie najdroższych kamieni... Naród, który nie jest porządną ojczyzną dla ojców, tym trudniej, aby mógł nią być dla dzieci... Końcem wszystkich rządów krajowych winien być człowiek i jego zaopatrzenie w prawa obywatelstwa".

Gdy dzisiaj czyta się te słowa Staszica, wydaje się, że to są tak jasne prawdy i ogólniki, iż szkoda czasu i miejsca, na ich powtarzanie. A jednak stały się one rzeczywistością dopiero w 1944 roku, w czasie okrutnej wojny z zaborcą hitlerowskim. 150 lat minęło od chwili ich napisania aż do manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, kiedy się stały krwią i ciałem.

Różne koleje i postaci przybierała walka chłopa o swe prawa: od bierności i apatii aż do powstań chłopskich i tragicznych wystąpień Szeli. Zawsze ta walka była poza nawiasem ruchu ogólnonarodowego. Wypisała ta dramatyczna walka karty tak wspaniałe, jak [illegible] „Gromady Grudząż" do emigracji polskiej, jak „Złotą książeczkę" Ściegiennego. Wołał poeta Ryszard Wincenty Berwiński o długie noże dla panów, o czerwone morze krwi:

Jak tu straszno! — Nagi, bosy
gromadzi się lud —
W polach świecą białe stosy
Naszych kości. — Dzikie głosy
Krzyczą zewsząd: głód!
A tam ziemia obiecana
Z burzanami po kolana
Z chlebem, solą, zbożem
Czeka nas za morzem
krwi!
Za czerwonym morzem!

I stało się. Odwróciła się karta historii chłopstwa polskiego i narodu polskiego. Stało się to roku pańskiego 1944, w ogniu krwawej walki z hitlerowskim okupantem. Boje o sprawiedliwość dla chłopa toczące się w naszym piśmiennictwie nie tylko od jakobinów polskich, ale od Mikołaja z Nagłowic i Andrzeja Frycza Modrzewskiego zakończyły się rewolucją, która odbywa się w tych miesiącach wojny światowej. I może trzeba będzie dłuższego okresu czasu, zanim pojmiemy ogrom tych wydarzeń, których jesteśmy świadkami.

Historyk stanie wobec zjawiska rewolucji chłopskiej, która nie da się porównać z żadną z dotychczas zaszłych przemian ustroju rolnego. Ani z rewolucją Cromwella, ani z wielką rewolucją francuską, ani z wielką rewolucją październikową, ani z próbą — krwawą i zwyciężoną — rewolucji chłopskiej w Hiszpanii 1936—37 roku. Ziemię obiecaną chłop otrzymał — nie za cenę morza czerwonego krwi, ale praworządnym aktem legalnej, łagodnej rewolucji. Uniknęliśmy wojny o ziemię: niestety, nie uniknęliśmy oddzielnych aktów terroru — nie ze strony chłopów, ale właśnie ze strony tych kół, które chciały trwającą niesprawiedliwość społeczną uwiecznić.

Autorowi listu anonimowego brak szubienicy czy gilotyny dla burżuazji. Nie ma jej i nie będzie. Co prawda stanęła w Lublinie szubienica, ale tylko dla zbirów hitlerowskich z Majdanka. Jeśli historyk zechce w jednym zdaniu określić osobliwość naszej rewolucji rolnej, zapewne powie o niej: „Rewolucja łagodna, systemem naukowym w majestacie praworządności dokonana".

Jesteśmy niewątpliwie bardzo a bardzo spóźnieni wobec świata, dokonując obecnych reform, ale nasze doświadczenie bogatsze jest zarazem o prawdę wszystkich dotychczasowych rewolucji.

INTELIGENCJA WOBEC PRZEMIAN

Spóźnienie nasze i prowincjonalne zasklepienie w przeszłości znalazło niewątpliwie swój wyraz i w tych nastrojach i przemianach, jakie zajść muszą w naszej inteligencji.

Przypomnijmy, że 150 lat temu jakobin, Franciszek Jezierski tak oto pisał: „Ja myślę sobie, że choćby jakim przypadkiem zabrakło szlachty we wszystkich narodach, byle się moja ojczyzna została, wystarczyłoby zaraz poludnić kniaziami, milordami, diukami, grafami, baronami wszystkie królestwa Europy; a jeszcze by się zostało opatrzyć Hiszpanię w tak bardzo potrzebne jej wielkości".

Pisał to Jezierski w okresie rewolucji francuskiej. Pięćdziesiąt lat potem genialny Balzac w wielu tomach opisał, jak to resztki szlachty francuskiej pragną znaleźć prawo do życia wchodząc w związki małżeńskie z mieszczaństwem. Pięćdziesiąt lat po Balzacu Henryk Sienkiewicz i Józef Weyssenhoff dali obraz mieszczanina i inteligenta polskiego, których miłość nie może przełamać bariery szlacheckiej buty. Ale i dzisiaj możnaby znaleźć wśród wielu inteligentów polskich dość okazów dla powieści o służalczym, lizusowskim, psychicznie zaprzedanym stosunku do starego świata, który odchodzi i nigdy nie powróci.

Pewien podchmielony obszarnik w liczniejszym towarzystwie tak perorował z humorem: „Jestem ze starego rodu szlacheckiego, ale to nic nie pomoże; historia skazała nas na wymarcie. Za pięćdziesiąt lat uczeń będzie słuchał wykładów o szlachcie i nie będzie wiedział, jak rasowy szlachcic wygląda. Proponuję stworzenie rezerwatu na 200 ha dla hodowli okazów szlacheckich". Ten znajomy zapewne ma więcej wyczucia tego, co się rzeczywiście stało i czego odmienić nie można, aniżeli wielu ludzi spośród inteligencji: wiadomą jest rzeczą, że przesąd i reakcja myślowa trwa czasem o dziesiątki lat dłużej, niż reakcja społeczna i polityczna.

Reakcja polityczna i społeczna przegrała bitwę o Polskę i ta przegrana jest zupełna i ostateczna. Wśród inteligencji następuje podział na małą grupę, która tkwi i chyba pozostanie w przesądach reakcyjnych—i olbrzymią większość, która zdaje sobie jasno sprawę z tego, że droga szerokich reform wybija Polsce okno na Europę. Możemy i musimy przestać być zatęchłym, prowincjonalnym egocentrycznym zaściankiem snobów małpujących zagranicę. Możemy i musimy zdobyć się na samodzielny wyraz naszej kultury narodowej, jak zdobyliśmy się na samodzielną drogę wielkich reform społecznych i politycznych.

Przed naszą inteligencją staje wielki problem odnalezienia wyrazu kulturalnego nowej Polski. Nieuniknienie wyrośnie nowa inteligencja, która zastąpi wytrzebione przez okupanta szeregi, jako też, jeśli zajdzie tego potrzeba, zastąpi tych reakcyjnych przedstawicieli inteligencji zawodowej, którzy nie zechcą stanąć, zakasawszy rękawy, do pracy nad dziełem budowy Polski demokratycznej. Wieś, klasa robotnicza, dadzą nowe pokolenie oficerów, urzędników, inżynierów, lekarzy, architektów i pisarzy. Ten proces obserwujemy już w wojsku naszym i w naszym aparacie państwowym. Taki proces zresztą przebyły wszystkie kraje w okresie wielkich przemian.

W interesie ogólnonarodowym naszej kultury, jej rozwoju, leży niewątpliwie sprawa zrastania się starszego pokolenia naszej inteligencji z tą wielką falą nowej inteligencji, która musi szybko dojrzewać. Jesteśmy bogatsi o doświadczenie tych samych procesów, jakie zaszły w wielu innych krajach po gruntownych przemianach społecznych. Podobnie jak w dziedzinie reformy rolnej, możemy te przemiany ująć w system naukowo opracowany, możemy uniknąć wstrząsów i nadać procesom formę łagodną.

Niewątpliwie starsze pokolenie naszej inteligencji może i powinno przekazać swe wielkie doświadczenie zawodowe i kulturalne. Niewątpliwie na każdym odcinku życia kulturalnego powinniśmy sięgać do postępowej puścizny narodowej. Wszelkie dziecięce choroby światoburczości i budowania życia kulturalnego z pogardą dla przeszłości, powinny być spokojnie ale konsekwentnie zwalczane.

Mimo to, nowe, wydobyte z podglebi narodowych siły kulturalne nie mogą przejąć i nie przejmą mechanicznie puścizny starszego pokolenia. Robotnik i chłop, którzy przyjdą do wyższych uczelni, wniosą tę wielką siłę realizmu, którego nam zawsze brakło. Donkichoteria, pseudoromantyzm, fałszerstwo ideowe i śmierdzący naftaliną snobizm niewątpliwie ustąpią miejsca istotnym, realnym, rzeczywistym procesom. Rozszerzy się zasięg zainteresowań zarówno wiedzy technicznej jak i zagadnień kulturalnych. Odnowi się język i styl. Ulegną przemianie obyczaje.

Na zjeździe Samopomocy Chłopskiej jeden z delegatów zgłosił wniosek, aby Rząd zabronił używania w rozmowie formy „pan". Zdawałoby się, że taki wniosek może wywołać tylko śmiech, ale jeśli przypomnimy sobie, że do 1939 r. w wojsku polskim regulaminowo wobec żołnierzy i podoficerów obowiązywała forma zwracania się per „wy", że tylko od oficera począwszy, zwracać się należało per „pan", — zrozumiały się stanie ten odruch. Obecnie te same koła reakcyjne, które popierały zawsze w naszym wojsku postponowanie podoficera, manifestacyjnie paneczkują przy każdej okazji utrzymując, że forma „wy" jest dowodem rusyfikacji języka polskiego. Ależ drodzy panowie, to wyście „rusyfikowali" wojsko polskie, nigdy bowiem obszarnik czy ekonom nie zwracał się do chłopa inaczej niż na „wy", a obecnie, gdy chłopi pragną zachować tę samą formę — uważacie to za „rusyfikację" języka polskiego!

Pewna pani długie lata hołdująca przekonaniom rzekomo socjalistycznym, z wielką pogardą mówiła o stylu przemówień przedstawicieli fabryk i roli. „Ależ towarzyszu, przecież oni nie potrafią zbudować wykończonego zdania. Ja, która pamiętam mowy naszych parlamentarzystów..." Otóż, szanowna pani czy towarzyszka niech uważnie przejrzy przemówienia przedstawicieli wszystkich warstw, które po wielkich przemianach dochodziły do władzy: wnosili oni do języka narodowego powiew ożywczy nowego słowa, bogacili swoją mową nową składnię. Wszak Adam Mickiewicz po ukazaniu się ballad był dla swego pokolenia nieukiem i barbarzyńcą językowym.

W tych słowach wcale nie ma pochwały dla tego stanu oświaty, w którym przebywał nie ze swojej winy lud polski. Natomiast inteligencja starszego pokolenia musi przezwyciężyć w sobie wielkopańskie odruchy wobec tych, którzy odtąd rządzić będą Polską. Demokracja nie jest już tylko frazesem, ale staje się faktycznie rządem ludu i ludzi z ludu.

Rzeczą uświadomionej i postępowej części inteligencji jest spowodować, aby gruntowne przemiany, jakie zajść muszą i w środowiskach inteligencji, przybrały charakter łagodnej rewolucji.

LITERAT WOBEC PRZEMIAN

Wracam do owej literatury jakobinów polskich końca XVIII w. W owym bowiem okresie Sejmu Czteroletniego, a potem Insurekcji Kościuszkowskiej, publicysta i literat w Polsce po raz pierwszy może tak wielką rolę w życiu politycznym swego kraju odegrał. I wtedy to Stanisław August, widząc siłę słowa drukowanego i wagę jego na szali wypadków, rzucił zdanie, pełne nienawiści:

— Szatan was, literatów, na Polskę powołał!

W Polsce okresu rządów sanacji rola literata została zepchnięta na plan co najmniej trzeci, w czym zresztą była też wina wielu literatów. W ustroju, który łamał charaktery, było wszak niewielu ludzi pióra odważnych i konsekwentnych, których stać było na postawę pokolenia Jasieńskiego czy Jezierskiego. Stąd wytworzyła się hierarchia, w której pierwszy lepszy urzędnik, chwilowo i przypadkowo zajmujący jakieś stanowisko w aparacie, spoglądał na ludzi pióra z góry, sądząc, że fotel i siedzenie sekretarza stanu większe znaczenie posiada dla biegu dziejów, aniżeli pióro literata. Zresztą, ponieważ przesądy dłużej trwają, aniżeli ustroje, nie można powiedzieć, żeby ten biurokratyczny przesąd już całkowicie sczezł.

Gwoli sprawiedliwości i pełnego obrazu przemian trzeba stwierdzić, że wielu literatów maskowało i dziś jeszcze maskuje swój brak charakteru i odwagi pozą rzekomej niezależności i pseudo-obiektywizmem wobec rzeczywistości. Karłowate charaktery pragną wznieść się na sztucznych obcasach snobistycznej niezależności ponad społeczeństwo i jego przemiany.

Gdyby etatyzm w dziedzinie literatury nie był najpotworniejszym pomysłem niedouczonych urzędników, należałoby stworzyć departament nauczania i musztrowania literatów i rozpocząć naukę od literatury jakobińskiej końca XVIII w. Ale literatura Polski odrodzonej i odnowionej obejdzie się niewątpliwie bez etatyzmu i bez przymusu w dziedzinie kultury. Bieg wypadków i układ sił społecznych zmuszają literata do porzucenia fałszywej postawy i do powrotu na czołowe miejsce w tworzeniu wielkich przemian.

Czy takie odwrócenie karty dziejów, jak reforma rolna, czy tak olbrzymie przemiany, jak odbudowa Polski po pięcioletniej okupacji hitlerowskiej na podstawach ludowej demokracji, czy ta wielka — acz łagodna — rewolucja, nie spowoduje w dziedzinie literatury przełomu?

Wacław Berent w swojej książce o jakobińskiej literaturze „Diogenes w kontuszu" nazwał inteligencję polską „najbardziej niezawodnymi narodu polskiego Odnowicielami".

Poezje

JULIA HARTWIG

Pejzaże

I

Od zapachu padliny w zgniłą woń stawów, potem miejskie ścieżki na torfiastej łące z widokiem na wieczorne, fabryczne kominy. Pod ogromnymi słonecznikami ukośna drewniana buda zaryta w wilgotną trawę. Sielska i wulgarna, zasuwająca konieczne zaciekawienie niepozbawione wstrętu; dotyczy jej mieszkańców — złodziejskiej cyganerii romantycznej i plugawej. Ale pusto — tylko pies podejrzliwy i wyliniały, do obrzydliwości zgodny z krajobrazem.

Kiedy zastąpiła nam drogę rzeka — stał już w niej słup słońca zachodni i jaskrawy. W cieniu była rudo-granatowa i zapowiadała duszną i mglistą noc. Jakiś potężny i brązowy tors męski bardzo doskonały obrócił ku nam naraz kwadratową, prostacką twarz. Stojąc tak pod niebem oblocznym, bujnym, żółtawym, zadawał kłam iluż pomnikom zwycięstwa, nagiej godności zamyślonego gladiatora. Biegliśmy prawie, ale statyka obrazów trwała. Krwawość słońca nie zmierzchła a głuchy ból przedmieścia pulsował w naszym szybkim kroku.

2

Dymi przed nim niebiesko ścieżka w chłodzie. Lokomotywa zakrywa go białą gęstwą dymu. Wiatr porywistym skrzydłem podnosi przed nim zapadły w kotlinę śpiew skowronka. Spada mu na plecy dźwiękiem perlisty, kształtem i dotykiem szeroki i łopoczący jak płaszcz albo żagiel.

Idzie ścieżką w polu. Leży na wietrze, na powietrzu, zwartym ciężarem ciała, które posuwa się ku mnie. W nocy ścieżka jest niebieska od księżyca. Wiatr ustał i wysadził go, pasażera na gapę, zaczepiwszy przy najbliższym kamieniu. Idzie więc teraz inaczej. Podskakuje jak nocny konik polny przyciągany co chwila przez księżyc żartobliwie ku górze. Opada i znów odbija się od gliniastej, giętkiej ścieżki.

Ścieżka prowadzi do mnie, a konik polny i żeglarz i nocny podróżnik — to mój ukochany.

Ścieżka prowadzi do piętrowego domku koło lasu, gdzie siedzę opisując moje wzruszenie. I gdzie spieszę się, by je zapisać, zanim zagrzebie mały domek bomba prawdziwsza od poezji i wyprowadzi niebieską ścieżkę dymu, po której nikt nie chodził.

ANNA KAMIEŃSKA

Wiosna 1942

Kiedy ucichną pociągów dreszcze
ostre jak stal, kiedy odwieje się czasu kurtyna
ciężka, wówczas pluskajcie deszcze,
wówczas niech się zaczyna

dzień w okach siatki skowrończej. Teraz
jaka noc hasa po dniach wiosennych!
Jakże z warg wioski ściera
pianę kwiatu oddech gniewu studzienny.

Teraz oślepły depcz żyta modre od rosy,
pieśń dymu marz na niebach jak łza.

Gdzieś, jakże daleko, zabrzękły sianokosy
wonne. Tam zdawało się — ojczyzna.

Teraz po krwawych ghettach węszy płomień.
Nie ma płaczu — bo nie wiesz — po kim.
Liście jak rozdarte dłonie
trzęsą tragicznym urokiem.

Teraz spokojem jezior leżą senne
przepaście bomb, strzechy w iskrach stoją.
O podpalacze łąk — my, śniący o wojennych
pożogach w kurzu trześni do kolan.

Listopad

Falistą kreską we mgle stworzono miasto.
Dwa wilgotne pędzle mamy w oczach.
Pierścionek mgły wszystko okala.
Most nawet jest, ucięty w samą topiel
parującej wody. Och, ten impet fal mleka
bełkocącego w blaszankach, ten zatratny
pęd furmanek, gdy konie
jakby weselsze rozwiewają grzywy,
garby okratowanych w chustki bab
ciągnąc uparcie. Po deskach bębnią werble
buraków, drewnianych bulw, listopadowy akord.
Gdyby głowy same — nie byłby stale groźniejszy.
To wszystko dobija się do mgły,
tonie w niej nagłym zeskokiem.
Próżno krzyż zdaleka zbliża linię horyzontu,
modrzew wygięty przypomina przytulność sioła,
wierzba dawno wsiąka w blady świt.
Wolny wygnaniec miasta i wsi
stojąc na moście żałuję furii ataku,
której brak sercu, płaczę za rozpaczną
energią pędu rozlanego we mgle; gdy ręce
tęsknią do zamachu pióra,
przejazd kobiecych pleców
obejmuje je bólem. Zniknąć na skręcie,
jak te plecy nie oglądając się za siebie,
jak one atakować do bram i wież miasta,
w którym człowiek pewien
upuszcza właśnie książkę opartą o poręcz fotela
i prawe kolano. Stuk książki
słyszę poprzez plusk rzeki.
Wiem, że nachylenie moje nad poręczą mostu
znaczy... Cokolwiek znaczy, zabieram ten pejzaż
[ranny
i narodowy. Jest dzień listopada później, rok
[wojenny
siwy włosami pracujących matek.
O miasto, miasto, gdy ty medalion zamku
zardzewiały wykopujesz z mgły
jestem jedynym odbiorcą siły
szturmującej do ciebie. Wiem, że jest bezowocna,
próżna, daremna, jak dni, które idą,
które mijają.

JERZY PLEŚNIAROWICZ

Ballada

Złowieni w ciemność, zaczajeni w cierpliwych krzakach chcą przerwać
nużące opowiadanie pociągu.
Zagajnik przyklęknął tuż przy torze, błękitnieją wąskie oddechy drzew,
wiatr niespodziewanie szczeka i popłoch traw zbiega ze stromego nasypu.
Wsparci na własnych cieniach
oczekują
wybuchu.

Nagle ostateczny okrzyk gwiazdy sekundą
pruje świetliste linie obrotów ziemskich.
Inne gwiazdy zdumione spadają w wodę wezbraną.

1943

ZBIGNIEW PIOTROWSKI

Przemarsz

Lipy w ramiona chude miękko objęły kościół
i żołnierzowi żołnierz iskrę podawał z bagnetu.
Droga biegła przed pieśnią
a pod ścianami malwy
któreś dawno zapomniał,
prześnił.

— Nie zapomnisz, ja wrócę — żołnierze śpiewali.
[Wyżej
obłok szary jak płótno zawisł na dzwonnicy.
Wiatr plątał się w złocieniach ryżych
zgubił szept swój w prędkich czwórkach konnicy.

Wracały kobiety drogą z konwiami siwego
[powietrza,
dzieci płowe jak len trwożnie siadły na płotach.
Przez czarne szprychy kół świat widać było
[naprzestrzał —
zbrudził go kurz spod nóg maszerującej piechoty.

Na drutach
jaskółek śpiewne nuty.

Sypał się zmierzch siwą goryczą piołunu,
osiadał na rzęsach płowych,
na wargach.
Nocą piły dziewczyny. Pytały —
ale nocy nie było i wiatr im włosy potargał.

Bo
źrenice pełne były milczenia na rżyskach
i księżyce toczyły się nisko
w noc...
W noc poszli żołnierze
i tylko
zgubiony na drodze kwiat płomykiem błyskał.

ZYGMUNT MIKULSKI

Niedokończona opowieść

Sierżantom
liście lgną do barwy szyneli, jak jeszcze za czasów Warszawianki
i wiatr sycony gazem łzawi ze wszystkich pobojowisk.
To nie Chopin, nie listopadowe powstanie
z powieści czytanej, aż odór czerwony krwi końskiej, jak opar legendy
uderza w nozdrza.

W olszynce grochowskiej
zostały same pałeczki z potarganych werbli,
i ciągle ktoś na nowo podany w przód
dla historii, dla okrzyków, dla bohaterstwa
o koło armaty zamilkłej wobec głosu sprawy
zaczepia, by coraz wolniej od ziemi ku niebu nieruchomieć.

Generale!
Wrony podają takt twoim rozwianym w przeszłości wiarusom.
Adiutanci wśród nocnych ogni przemycają powieść Żeromskiego przez kordon
i tylko drzewa grają jeszcze epos wielostrunny.
Generale...

Zachłysnąłem się dalą przebiegając bruzdę wczorajszych kul.
wysłannik wiatru.

Generale bez orderu istnienia —

To tylko układa okolicę z klepek odgłosu terkot furmanki,
którą moja matka jechała na Pragę.

IGOR SIKIRYCKI

Sen kapitana

M. Olejarnikowi

Każda noc odpływała okrętem.
Sen na rafie dnia białej prysnął.
Coraz silniej przygody tętent
Dłoń chłopięcą na wiosłach zaciskał.

Potem z wioseł wyrosły maszty
I od morza ląd nagle odbił.
Tamten odpływ w pamięci zastygł,
Tamten wieczór do dziś się modli.

Już na skroniach dym z fajki osiadł.
Atlantyda wciąż głębiej i bliżej.

Każdy dzień oczom pokład podnosi,
Każda noc pochyla się niżej.

Globus kłamał jak portret dziewczyny,
Którą wciąż w tajemnicy kochasz.
Żyły rzek obracają turbiny
A od przygód śmierć tylko cofa.

Archipelag butelek sen spętał.
Kapitanie! Do końca dopij.
Drżą na niebie sygnały okrętów
Gwiazd, które świt zatopi.

JÓZEF STACHOWSKI

Rozmowy z przyjaciółmi

To tak jakbyś przewracał złej powieści karty.
Wiesz wszystko: kolor oczu, nosa kształt i ciepły
[wdzięk,
którym smutny bohater uwagę przykuwa,
niemądrych faktów kolej, rozdziały pogardy,
białe noce, co lecą tak czule jak śnieg
na barki czytelnika, jeśli umie ująć,
aż wreszcie światło zgaśnie. Wtedy tylko szmery
niby letnich owadów brzęk są rozmów cieniem
i widać chłodne niebo wygięte jak kielich
i mgłę tak niebitą jak ludzkie cierpienie.
I odchodzą od ciebie genialni stratedzy
na kształt pawi. Przez chwilę niby świetnym
[piórem
połą płaszcza zaświecą na poręczy schodów
aby zginąć jak giną wszelkie źródła wiedzy
sprzed oblicza nieuków; gdzieś kamienie, mury
wchłoną ich niby bramy cienistych ogrodów.
To przyjaciele twoi. Ale nigdy gniew,
co nieraz bodaj cienką nitką niby trzmiela
bzykaniem w sercu wre nie zmąci czoła,
bo wiesz dobrze, że wkrótce pośród nagich drzew
plakaty ich imieniem głośno będą wołać,
że nie zjawią się kiedyś (chyba mocą wcieleń
w kręgu nowych pokoleń, być może szczęśliw-
[szych).
Jesteś sam. Gwiazdy wchodzą przez okna jak
ludzie
i żal coraz się wzmaga. Więc myślisz o wichrze,
co przewraca twe wnętrze i kopie jak w rudzie,
a potem znowu myślisz o owej powieści,
z której gdy zdjąć powierzchnię, co szpeci jak
[rdza,
anioł prawdy wnet skrzydłem jarzącym szeleści
lejąc promienne światło, a promień ten trwa.
Lecz jeszcze bardziej ciężko. Wspominasz — daleki,
niby z odległej wyspy z własnego pokoju
rękę chmurną wyciągasz, ażeby pożegnać
i jak wędkę wzrok rzucasz pod nieznane brzegi
gdzie tak wielu przyjaciół już rzędami stoi.
Aż wreszcie jakiś cień czy powiew piękna
przesuwa się po ścianach niby po ekranie...
Wtedy znowu prowadzisz niemądre rozmowy
w gronie przyjaciół niemych. I jest snu czekanie,
co jak płomień palący, jak miłość surowy.

1943

MARIA GRABOWSKA

Nad Manzanares i nad Wisłą

Wojna obecna nie zaczęła się od napadu Niemiec na Polskę. Walka z faszyzmem zaczęła się o wiele wcześniej — w Hiszpanii. Jakiś głęboki sens tkwi w tym, że pod Madrytem i pod Walencją, nad Manzanares i nad Ebro walczyły za wolność Hiszpanii brygady międzynarodowe: zbratani żołnierze demokracji, przedstawiciele narodów prawie całego świata. Pozornie mogło się wydawać, że żołnierze ci walczą o obcą sobie sprawę. Ale tak nie było. Walka w Hiszpanii była pierwszym starciem się demokracji i faszyzmu, była jakby pierwszą próbą sił i przygrywką do drugiej wojny światowej. Do Hiszpanii jechali ochotnicy ze wszystkich krajów, przedstawiciele wszystkich narodów.

Kiedy faszyzm zawładnął prawie całą Europą, a zdławiwszy ją, złamał z kolei któryś to już pakt o nieagresji i napadł na Związek Radziecki, wówczas już nie przedstawiciele ciemiężonych narodów, ale same narody powstawały i organizowały się przeciwko najazdowi hitlerowskiemu. Powstawali Polacy, Jugosłowianie, Czesi, Żydzi, Belgowie, Francuzi, powstawali Duńczycy, Holendrzy, kontynuatorzy walk brygad międzynarodowych w Hiszpanii. Duch bojowy, który napełniał serca brygadierów republikańskich, przenikał w ruchy partyzanckie, mobilizujące się na terenach okupowanych przez Niemców.

Olbrzymia większość bohaterów z brygad międzynarodowych zginęła w walkach na polach Hiszpanii. Ci, co pozostali przy życiu, przeszli przez obozy koncentracyjne ówczesnej nieinterwencyjnej Francji, przeszli przez obozy koncentracyjne na pustyni afrykańskiej. Wielu umarło z nędzy i wyczerpania. Ale ci, co przeżyli i Hiszpanię i „opiekę" żandarmów za drutem kolczastym i wyszli cało, przedostali się do swoich towarzyszy i stali się wspaniałymi organizatorami ruchów partyzanckich. We Francji szermierzami ruchu oporu byli po największej części żołnierze z hiszpańskich brygad międzynarodowych.

Walka szła o tę samą sprawę. O to samo, co pod Madrytem i Walencją, teraz walczyło się w górach Jugosławii, na równinach Polski, pod Stalingradem.

Takim bojownikiem o wolność jest Franciszek Księżarczyk.

* * *

Wychowało go przedmieście robotnicze. Ojciec i matka byli robotnikami i ciężko zarabiali na chleb. Twarde miał chłopak życie od samego dzieciństwa. Uczyć się nie mógł. Bieda wyzierała z każdego kąta, a Franek tylko myślał jakby już samemu móc zarabiać na życie. Po ukończeniu 6 klas szkoły powszechnej i szkoły zawodowej idzie do pracy, a później do wojska, skąd wychodzi w stopniu kaprala. Zaczyna pracować w fabryce. Niedługo. Następuje redukcja. Księżarczyk idzie do kopalni węgla. Jakoś mu się nie szczęści. Znów redukcja i Księżarczyk staje w tłumie bezrobotnych. Cóż? Nie ma w ojczyźnie pracy, trzeba jej szukać gdzie indziej.

Franciszek Księżarczyk udaje się na obczyznę. Wyjeżdża do Francji.

Było to w roku 1930. Z początku pracował w fabryce, później w kopalni węgla. W Polsce należał do Polskiej Partii Socjalistycznej, we Francji wstępuje do Związku Zawodowego i do „Czerwonej Pomocy".

Przyszedł rok 1936. Księżarczyk zgłasza się jako ochotnik na wyjazd do Hiszpanii. Wyjeżdża wraz z większą grupą robotników, ażeby wziąć udział w walce o wolność narodu hiszpańskiego, w walce demokracji przeciwko faszyzmowi. Przechodzi ośmiotygodniowe przeszkolenie wojskowe, potem wysyłają go na front. Przydzielają do batalionu im. Jarosława Dąbrowskiego. Zostaje dowódcą plutonu.

Styczeń—luty 1937 roku. Franciszek Księżarczyk walczy na froncie pod Madrytem. W lutym idzie do dwumiesięcznej szkoły oficerskiej, z której wychodzi w stopniu podporucznika. Stamtąd chciano wysłać go do 14 brygady francuskiej, ale dzięki interwencji generała „Waltera" (ówczesny pseudonim gen. Świerczewskiego) zostaje z powrotem przydzielony do batalionu im. Jarosława Dąbrowskiego. Mianowano go zastępcą dowódcy kompanii. Bierze udział w walkach na północnym froncie pod Huescą, skąd z kolei przechodzi na front madrycki. Tu Księżarczyk walczy już w stopniu porucznika. Wstępuje do nowoformowanej brygady im. J. Dąbrowskiego w charakterze oficera łącznikowego. Po kilku dniach zaciętych walk i ataków, z batalionu pozostaje tylko dwóch oficerów, reszta — zabici i ranni. Rozkazem dowódcy brygady Księżarczyk zostaje mianowany dowódcą batalionu.

Dowódcą batalionu był przez dwa dni. W tych dwóch dniach atakowali dwa razy. Zdobyli miasto Brunette i szereg innych miejscowości. W samej Brunette wzięli jako zdobycz wojenną skrzynki z granatami i napisem firmowym: „Polskie Warsztaty Amunicyjne Warszawa" i całe zapasy polskich szynek. Fakt ten twardo utkwił w pamięci Księżarczyka.

W czasie dalszego ataku Księżarczyk zostaje ranny i leży przez miesiąc w szpitalu w Madrycie. Przestrzał przez ramię. Po wyjściu ze szpitala wyjeżdża z batalionem na front pod Saragossę. W toku ciężkich walk przedzierają się na osiem kilometrów w głąb linii faszystowskich. Znajdują się cztery kilometry od samej Saragossy, gdzie wszystkie dzwony biją na alarm. Rezerwy nie nadeszły. Zmuszeni są, po dwóch dniach operowania na tym odcinku, przebijać się przez linię wroga do swoich.

Byli w sile dwóch batalionów: batalion im. J. Dąbrowskiego i batalion im. Palafoxa. Tam, na froncie pod Saragossą zginęło wielu najlepszych żołnierzy republikańskich. Tam też otrzymuje Księżarczyk funkcję adiutanta dowódcy batalionu, którą pełni przez 7 miesięcy.

W lutym 1938 roku Księżarczyk zostaje ponownie dowódcą batalionu w stopniu kapitana. W czasie zaciętych walk w Estramadurze zostaje ranny w oko. Idzie do szpitala, skąd wychodzi po trzech miesiącach. Ale widzi tylko na jedno oko. Wraca do brygady i obejmuje dowództwo batalionu im. Adama Mickiewicza, który został wyróżniony i otrzymał Medal Waleczności za operacje nad Ebro i forsowanie tej rzeki. Księżarczyk otrzymuje stopień majora. Po dwóch miesiącach utrzymywania przyczółka mostowego, z batalionu, który liczył 750 ludzi, zostaje zaledwie 180. 180 ludzi liczy ich jednostka bojowa w dniu wycofania brygad międzynarodowych z frontu na podstawie decyzji Ligi Narodów.

Po wycofaniu brygad międzynarodowych z frontu, komisje międzynarodowe, delegacje z Ligi Narodów i inne przez dwa miesiące rejestrowały żołnierzy republikańskich niezliczoną ilość razy. Brygady międzynarodowe po stronie republikańskiej zostały wszystkie wycofane; ze strony faszystowskiej wywieziono 10 tysięcy rannych i inwalidów do Włoch, a na ich miejsce sprowadzono stutysięczną armię w pełnym uzbrojeniu. Przed odjazdem mówiono do żołnierzy, że jadą do Abisynii. Faszyzm niemiecki rzucił na Hiszpanię olbrzymi materiał techniczny — artylerię, samoloty, czołgi. Tą siłą zaczęto spychać armię republikańską w kierunku Pirenejów. Brygady międzynarodowe, w małych partiach, zaczęto wywozić do Francji, do Ameryki, do Meksyku. Ci, co nie wyjechali, a była ich większość, chwycili jeszcze raz za broń i walczyli cofając się w kierunku Pirenejów i przechodząc granicę ówczesnej nieinterwencyjnej Francji, gdzie zostali internowani za drutem kolczastym. Część z nich później wywieziono do Afryki.

* * *

Księżarczyk wyjechał przedostatnim transportem 1. stycznia 1939 roku. Przez cały rok był bez pracy. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-polska w 1939 roku, pomimo inwalidztwa (brak oka) zmuszono go do pracy w kopalni. Otoczono go całkowitą „opieką" policyjną z obowiązkowym meldowaniem się na policji dwa razy w tygodniu. W czasie, kiedy kraj znalazł się pod okupacją, Księżarczyka trawiła jedna myśl: jak dostać się do kraju. Łączność z Polską okupowaną miał pośrednio. Gdy tylko dowiedział się o ruchu partyzanckim w kraju, wyjechał z Francji. Było to w marcu 1943 roku. Na „lewych" papierach dostaje się do Warszawy.

Po latach tułaczki Franciszek Księżarczyk wraca do kraju. Nie do wolnej Ojczyzny, ale do Ojczyzny ociekającej krwią.

Wstępuje do zorganizowanego już w Warszawie sztabu Gwardii Ludowej. W kwietniu zostaje wysłany jako oficer inspekcyjny w teren: w Radomskie, Kieleckie, Częstochowskie. Napotyka oddziały partyzanckie w Radomiu prowadzone przez Romana. W Kieleckim witają go partyzanci organizowani i dowodzeni przez Narbutta, spotyka partyzantów, którymi dowodzi „Hiszpan", Franek. Księżarczyk zostaje w Kieleckim.

W tym czasie partyzanci stoczyli kilka walk z Niemcami, między innymi jedną większą walkę w maju 1943 roku. Otoczyli ich Niemcy w sile 1.200 uzbrojeni po uszy, przy udziale samolotów. Było to w Górach Świętokrzyskich. Siły partyzantów były niewielkie. 80 ludzi słabo lub w ogóle nieuzbrojonych. Walka trwała pół dnia — do godziny 8-ej wieczór. Operacje Niemców szły w tym kierunku, ażeby zamknąć partyzantów w „kotle". Partyzanci jednak przerwali w jednym miejscu pierścień i wieczorem nie spostrzeżeni przez wroga wydostali się z okrążenia. Straty ich wynosiły dwóch zabitych i trzech rannych. Niemcy mieli 17 zabitych łącznie z Hauptmannem i kilkudziesięciu rannych.

* * *

Jak z frontu na front przerzucano żołnierzy republikańskich w Hiszpanii, tak teraz partyzant „Michał" jest wszędzie, gdzie go potrzeba. Z Kielecczyzny wraca do Warszawy, gdzie przez pewien okres czasu pracuje jako oficer zaopatrzeniowy w sztabie głównym Gwardii Ludowej. Następnie zostaje mianowany komendantem Warszawy. W ciągu sześciu miesięcy wykolejono siedem pociągów w obrębie Warszawy, zdemolowano kilka lokali niemieckich, urządzano masówki.

Masówki. Piękna to była robota. Na jej wspomnienie Księżarczyk się uśmiecha.

Wspólnie z komendantem Karolem i z płk. „Michałem" opracowywano plan opanowania fabryki. Fabryki były strzeżone przez Niemców. Wolno było wchodzić tylko za specjalnymi legitymacjami, dwójkami. Oczywiście, partyzanci także wchodzili za legitymacjami i dwójkami. Jedna dwójka opanowywała portiernię i obezwładniała straż, druga opanowywała biura i telefony, trzecia opiekowała się dyrektorem, reszta udawała się na dużą halę fabryczną i zwoływała robotników. Mówca występował z 10-minutowym przemówieniem. Następnie rozdawano literaturę. Z okrzykiem „Cześć towarzysze" wycofywano się zorganizowanie dwójkami. Działo się to wszystko w godzinach rannych.

Stłoczeni wokół młodego mówcy-partyzanta robotnicy słuchali jego słów z powagą. Oto słowo, które potrafi być drogowskazem, na które czekali tak długo. Pojęli, co trzeba robić, pojęli, że nic nie zdoła zabić ducha wolności nurtującego narody.

Wieść o urządzanych masówkach błyskawicznie szerzyła się po Warszawie. Społeczeństwo było podniecone, wszędzie mówiono, że to „nasi". Mimo terroru, wzmocnionych patroli i straży Niemcy byli bezsilni.

Zdarzało się nieraz, że jakiś chłop, czy robotnik zaczepił partyzanta. „Obywatelu, ja was znam. Wy na masówce, w naszej fabryce... chcę przystąpić do waszych. Dość już mam tej katorgi germańskiej. Przyjmijcie mnie".

Czujne oko partyzanta z uporem wpatrywało się w nieznajomego: swój czy szpicel?

* * *

Na rogu ulicy stoi „glina" i pilnuje ładu „nowej Europy".

Zmierzch zapada, szarówka. Po ulicach krążą wzmocnione patrole niemieckie.

„Glina" — tak nazywa się w żargonie partyzanckim policjant-Polak w granatowym mundurze. Niemiec tę „glinę" lekceważąco klepie po ramieniu za wysługiwanie, a przy tym myśli: „Verdammter Polacke, polnisches Schwein".

Grupa partyzantów z krótką bronią, ze specjalnie spreparowaną bombą z cienkimi gwoździami w środku, posuwa się w kierunku ulicy Kruczej — róg Nowogrodzkiej. Tam znajduje się lokal, w którym co noc zbiera się sama „śmietanka" hitlerowców. Wstęp dozwolony tylko gestapowcom i esmanom. Nawet żandarmeria niemiecka nie ma tutaj wstępu.

Dwójka chłopaków bierze „glinę" pod obserwację. Następna grupa obstawia ulicę. Dwójka z bombą wchodzi do lokalu, rzuca bombę w środek bawiących się Niemców, wyskakuje momentalnie na ulicę. „Glina" zorientowawszy się, że coś się dzieje, wyciąga pistolet. W tej samej chwili pada przestrzelony.



Franciszek Księżarczyk

Wybuch bomby zagłusza wszystko. Partyzanci wycofują się w kierunku Alei Jerozolimskich. Po drodze ostrzeliwują pojedynczych Niemców, którzy nie wiedząc co się dzieje strzelają na ślepo. Partyzanci mieszają się z tłumem, wycofują się bez strat. Jeden tylko jest ranny.

Meldunek:

„Obywatelu pułkowniku, melduję: 16 zabitych gestapowców, kilkunastu rannych, okna lokalu niemieckiego wraz futrynami wyleciały w powietrze".

Partyzanci odczuwają stale brak broni. Trzeba ją zdobyć na Niemcach. Węszą coś na Marymoncie. Mają na oku fabrykę „Blaszanka".

Dowodzi por. Konrad. Godzina 17-ta, szarówka. Robotnicy opuszczają fabrykę obmacywani przez „Werkschutzów", czy czasem czego nie wynoszą. W tłoku wychodzących wchodzą partyzanci. Działają szybko: „Ręce do góry!", rozbrajają straż niemiecką. Inna grupa idzie w głąb fabryki, gdzie znajduje się wartownia. Opanowują wartownię, zabierają broń. Wycofują się spokojnie. Otumanieni Niemcy siedzą cicho i bez protestu dają sobie zabierać broń.

„Robótka" skończona. Pulk. Księżarczyk wi melduje por. Konrad z rozpromienioną twarzą: „Zdobyto sześć nowych parabellum i dużo zapasowej amunicji."

* * *

W marcu 1944 roku Księżarczyk zostaje mianowany komendantem obwodu krakowskiego. Były komendant tego obwodu Janek, objął dowództwo Warszawy. Wytrwał do końca na posterunku, zginął w bohaterskiej walce powstańców Warszawy na Starówce.

Obwód krakowski był częściowo rozbity przez gestapo i żandarmerię polską, przez N. S. Z. i niektóre odłamki faszystowskie z A. K. Oddziały partyzanckie utrzymywały się przede wszystkim w Miechowskim, Krakowskim, na Podhalu, Rzeszowskim, Jasielskim. Do obwodu tego jechał pułkownik „Michał" wspólnie z kapitanem „Jasnym", który był oficerem polityczno-wychowawczym. Bazę stworzyli sobie przy oddziałach w Miechowskim. Oddziały trzymały się dobrze, pomimo poniesionych strat od „zbikowców", którzy otoczyli je przeważającą siłą. Odradzały się systematycznie i walczyły przeciwko okupantowi.

I znów tutaj codzienna robota partyzancka. Walka z Niemcami, wykolejanie pociągów, zatrzymywanie pociągów w biegu i zabieranie broni Niemcom. Ducha żołnierzy podtrzymywał kapitan „Jasny"; organizowaniem świeżych sił zajmowali się Tadek Biały, Wacek, August i wielu innych. Napływ do oddziału był duży, przyczynił się do tego terror niemiecki stosowany przeciwko bezbronnej ludności. Musiano jednak ograniczyć przyjmowanie do szeregów z powodu braku broni.

* * *

Był jawny wróg — to Niemiec. Wróg groźny — ale jawny. Obok niego wyrastał jednak wróg cichy, z opuszczoną przyłbicą, wróg, który z pochodzenia był Polakiem.

STANISŁAW JERZY LEC

Partyzanckie

Cisza omszała i międzydrzewna,
o którą czasem dziób otrze dzięcioł.
Chłop zamyślony nagle się przeżegna,
co tędy wozem zakręcił.

To są ci których nie ma, którzy tam zostali —
płytko, pod leśną, ojczystą.
O nich to piosnka kropelkami kalin
kołysze nad wiejską kołyską.

Ślady przez nas prowadzą, że oni tu byli,
że są pod igliwiem i że będą w śpiewie.
Wśród rozhuśtanych kulami badyli
trwaj myśli o nich — jak gniew ich.

Tutaj się chłopców ziemią otulało
w noce zdyszane, po bitwach.
Z ukosa gra po krzyżu gałąź,
jak smyk po chłopskich skrzypkach.

Smutno umierać za ojczyznę nawet,
gdy dla niej krew się chciało wyżyć do dna.
Śmierć jakże skromna, nie w organach ławet, —
automat klekoce jak bocian.

To są ci których nie ma. A którzy jesteśmy,
na szosach wojny opięci w piechura szynel,
ssijmy tę fajkę wspomnień, towarzyszu, jeśliś
bagnetem ją z witki nadgrobnej wycinał.

„Zieloni, zieloni!“ szeptał chłop partyzantowi z przerażonymi oczyma. „Nie idźcie tam — tam zieloni!“

Chodzili w zielonych mundurach. Zrazu chłop nie poznał się na nich. Bo jakżeż? Przecież wojsko polskie. Ale później, kiedy „żbikowcy“ zaczynali jawnie występować przeciwko partyzantom, wydawali wyroki śmierci, zabijali, strach ogarnął ludzi. Polak przeciwko Polakowi w takiej strasznej wojnie — to było nie do pojęcia. Ale chłopu otworzyły się dopiero oczy, kiedy zobaczył „żbikowców“ jawnie współpracujących w terenie z grupami niemieckich żołnierzy.

Było to już w ostatnich miesiącach. N. S. Z. przeszedł do jawnej współpracy z okupantem. Współdziałał z gestapo, wydawał partyzantów, zwabiał poszczególnych bojowników do zasadzki i zdradziecko zabijał.

Pierwszy taki wyczyn zdarzył się w Borowie, w Lubelskim, gdzie „żbikowcy“ zwabili partyzantów do zasadzki, niby na konferencję. Obstawili karabinami maszynowymi i wysiekli. Rannych dobijali siekierami. Zginęło 26 partyzantów. Jeden tylko zdołał zbiec.

O co im chodziło? Uważali, że nie trzeba walczyć z okupantem, ale stać z bronią u nogi. Partyzanci uważali, że trzeba prowadzić walkę z okupantem. Za to właśnie ich nienawidzili. A przecież było wiadome, że tam gdzie były silne oddziały partyzanckie, pacyfikacja przeszła najlżej.

W Kieleckim i Radomskim „żbikowcy“ zwabiali obwodowców na konferencje, poczem ich w bestialski sposób zabijali. W Miechowskim — było to w październiku 1943 roku — otoczyli w sile 300 ludzi 40 partyzantów. Zginęło wówczas 14 żołnierzy Armi Ludowej.

„Co tu dużo o tym mówić. Wszystko to da się ująć w krótkie słowa: musieliśmy się bardziej ich bać, aniżeli Niemców“ — opowiada Księżarczyk.

* * *

W lipcu 1944 roku oddziały Ziemi Krakowskiej otrzymują pierwszy zrzut broni, zorganizowany przez Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Walka z okupantem się wzmaga. Po otrzymaniu drugiego zrzutu, organizują Brygadę Ziemi Krakowskiej, w której skład wchodzi 7 kompanii Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich, jednostki z A. K.

W tym czasie oddziały „Michała“ opanowują wsie i miasteczka, jak Pińczów, Wiślica, Chroberz, Skalbmierz, Kazimierza. Miejscowości te partyzanci trzymają przez kilka dni. O Skalbmierz walka toczyła się przez cały dzień. Miejscowość pozostała w ręku partyzantów. Tak samo między Pińczowem i Chroberzem walki z przeważającymi siłami nieprzyjaciela zakończyły się zwycięstwem partyzantów.

Ludność witała partyzantów entuzjastycznie. Rozbijali magazyny niemieckie i sprzedawali ludziom wszystko, co tam było. Cukier, kilogram 1 zł. W Jędrzejowie i Kazimierzy sprzedawali drzewo.

W sierpniu, kiedy Niemcy pod naporem Armii Czerwonej cofali się, oddziały „Michała“ znalazły się w kotle. Partyzanci jednak nie tracą ducha i z lasu ostrzeliwują pozycje niemieckie. Sztab partyzancki wysyła jedną kompanię pod dowództwem porucznika Gutka na zachód, w celu połączenia się z kompanią kapitana Tadka Białego. Niestety koncentracje sił niemieckich są tak gęste, że kompania por. Gutka po stoczeniu dwóch potyczek, gdzie sam Gutek zostaje ranny, wycofuje się z powrotem do bazy. Pomiędzy zabitymi znajdował się także jeden z najlepszych oficerów „Góral“.

Wtedy sztab postanawia przebijać się na wschód. Nocą przedzierają się przez placówki niemieckie i forsują Nidę.

Nawiązują łączność z kompanią sowiecką, która w przededniu przedarła się przez front niemiecki i podążała na wschód. Przez nią partyzanci nawiązują łączność z N-tą dywizją Armii Czerwonej. Rozkaz brzmi: przedrzeć się przez front i zgłosić się w dowództwie Armii Czerwonej.

W biały dzień, o godz. 10-ej przed południem, partyzanci przedzierają się w rejonie Stopnicy w sile 4-ch kompanii i około 150 czerwonoarmistów. W tym samym czasie Niemcy zajmują Stopnicę. Ogień z prawa i z lewa.

Straty partyzantów podczas przebijania są jednak małe. Zawdzięczają oni to kopicom zboża, gęsto rozstawionym po polach. Przejście trzech kilometrów trwało od 10 rano do 4 popołudniu. Partyzanci przenieśli cały sprzęt bojowy. Straty ich wynosiły 12 zabitych i 20 rannych.

Partyzanci Ziemi Krakowskiej ze swoim dowódcą „Michałem“ znajdują się już w wyzwolonej części kraju. Pułkownik Franciszek Księżarczyk z gromadą swoich chłopaków zostaje wysłany do Rzeszowa. Rozkaz: „Zorganizować milicję obywatelską“. Franciszek Księżarczyk zostaje mianowany komendantem wojewódzkim milicji w Rzeszowie.

Takie są dzieje robotnika Franciszka Księżarczyka, który wyruszył z Polski na obczyznę za chlebem, dzieje górnika Księżarczyka, który bił się w Hiszpanii i wrócił do kraju, aby walczyć z okupantem.

Maria Grabowska

Pamięci Teodora Bujnickiego

Dorek

Tak go nazywali w uniwersytecie. Nie tylko przyjaciele, nie tylko znajomi. Wszyscy. Zresztą te rozróżnienia są nieistotne. Miał więcej przyjaciół niż znajomych, a nieznajomi znali go także.

Są ludzie stworzeni do szerzenia radości i ciepła. Wystarczyło spojrzeć na Dorka. Zawsze jakiś choćby pół, choćby ćwierć uśmiech błąkał mu się po oczach. Znałem go dziesięć lat i ani razu nie pamiętam go ciskającego gromy, oskarżającego, wściekłego. A przecież żyliśmy w środowiskach z natury swej bardzo burzliwych. T.zw. „życie akademickie“ w Wilnie lat trzydziestych wrzało na potęgę. Wybory do „Bratniaka“, haniebnej pamięci rozruchy antyżydowskie, kampania sejmowa 1930 roku — wszystko to zaogniało charaktery, budziło śmiertelne animozje, namiętności polityczne, rodziło trybunów, mówców, zabijaków, po prostu awanturników. Dorek przeszedł przez to życie z uśmiechem i więcej uśmiechów, więcej oklasków, więcej sympatii zdobył niż ktokolwiek.

Jego pierwsze wystąpienia na uniwersytecie przyniosły mu od razu sławę — na razie jeszcze studencką. Zwyciężył na konkursie poetyckim urządzonym przez studentów. Jego wiersze były na ustach wszystkich. W ciągu jednego wieczoru stał się czołowym poetą środowiska, które już podówczas miało swoje ustalone, choć regionalne tradycje poetyckie, miało swoich uznanych poetów.

Kiedy w 1931 roku powstały „Żagary“, Dorek był jednym z tych starszych poetów uniwersyteckich, który potrafił się wznieść na nowy, wyższy poziom wymagań poetyckich i dotrzymać kroku młodszym od siebie. Ówcześni poeci wileńscy tworzyli osobliwe środowisko. Jeszcze nieznani, nie czytani przez nikogo poza garstką znajomych, stawiali wobec siebie i swej twórczości wymagania bardzo wygórowane. Dorek był duszą „Żagarów“, jego pogodny, życzliwy każdemu temperament poetycki łagodził żarliwość nieokrzesaną Miłosza, czy dziwaczne zygzaki umysłowości Zagórskiego.

Najbardziej odpowiadała mu satyra. „Szopki“ wileńskie, audycje „Kukułki wileńskiej“, była to jego domena. Pisał łatwo, płynnie, dosadnie jak urodzony poeta. Jego humor poetycki różnił się od zbudowanego na nonsensie humoru Minkiewicza, od żółciowej satyry Pasternaka, od kalamburowego dowcipu Leca.

Była w tym sielankowość i zaściankowość Wilna, były w tym jakieś zbieżności charakterowe z Dickensem i Prusem. Dorek nie umiał nienawidzieć i w tym zresztą kryła się jego słabość, jakże urzekająca.

Życie, które kochał szczerzej niż ktokolwiek z nas, umiało, zdawałoby się, mu odwzajemnić. Miał czarującą żonę, miał dzieci, które kochał z właściwą mu we wszystkim pogodą. Pamiętam wyczyn jego najstarszego syna, który mając półtora roku rwał się do maszyny do pisania i trzymany na ręku przez Dorka, zawzięcie wystukiwał oburącz całe arkusze papieru. Czytaliśmy potem te pierwociny literackie. Były na poziomie dzieł czołowych dadaistów.

Wiersze liryczne Dorka cechowało to, co rzucało się w oczy w nim samym. Był bardzo dobry. Raziła go czyjakolwiek krzywda. Może nie umiał dosyć mocno potępić krzywdziciela, aby nie sprawić z kolei nowej krzywdy. Głęboko zapadł mu w oczy prosty i niezwykły pejzaż wileński i te jego wiersze z tym pejzażem związane były chyba najlepsze.

Myślę sobie — czego chcieli ci, którzy naszczuli na niego dwa osiemnastoletnie bydlątka. Wiem co gadali. Plugawili słowo „Polska“. Tłumaczyli egzaltowanym bęcwałom, że on, że Dorek, że Bujnicki zagraża... Polsce. Miętosili to święte słowo w swoich zaschłych od bezsilnej złości ustach. Zaciskając pięści, widząc, że nic z ich mrocznych zamiarów nie wychodzi, że rozbijają sobie łby o mur — wzięli odwet na historii. Pomścili swoją klęskę — śmiercią Dorka.

Ile krwi przelało się w ciągu tych pięciu lat! Ile milionów niewinnych zapłaciło życiem za jedną opętaną ideę! Ale patrząc na te śmierci — nie znajduję bardziej bezmyślnej, bardziej oburzającej, bardziej nikczemnej.

Bali się ci panowie słuchający Londynu — kogo? czego? Że Dorek napisze jeszcze pięć tomów wierszy, że ociekającej krwią poezji polskiej przybędzie jeszcze jeden uratowany z wojny szeregowiec. Że naród nasz, jeszcze nie powstały z niewoli otrzyma swego piewcę.

Bali się dobroci Dorka, jego uśmiechu, jego wzruszenia. Ci, którzy 5 lat potrafili spokojnie przeżyć pod łapą niemiecką z gestapowcami, z SS-owcami, z psem, z diabłem, z łajnem — przestraszyli się poety Bujnickiego. Ich mroczna umysłowość, przyzwyczajona do zbrukanej mentalności hitlerowca — nie umiała się pogodzić z jasnym spojrzeniem Dorka.

Uczmy się na śmierci najbliższych, najlepszych. Abyśmy mogli przetrwać, abyśmy mowę polską i kulturę mogli przekazać naszym dzieciom i wnukom. Uczmy się tego, czego nigdy nie umiał Bujnicki. Nienawiści.

Tylko nienawidząc czynną i bezlitosną nienawiścią zło i brud, wylęgły z hitleryzmu i pozostały po nim w naszym narodzie, będziemy mogli naród nasz uratować od zdziczenia i zagłady.

Ciężka i gorzka to prawda, z gorzkiego doświadczenia wysnuta. Trzeba było znać Dorka osobiście, aby w pełni ocenić nieprawdopodobny, makabryczny nonsens tego morderstwa .Biada ludom co swoje mordują proroki.

Jerzy Putrament



Teodor Bujnicki

Niewysłany list

To wielka dla nas radość, drogi Dorku, żeś ostał się szczęśliwie niemieckiej śmierci, żeś po tysiącznych perypetiach dotarł już do swojego Wilna. Piszesz, że masz zamiar przyjechać wkrótce do Lublina, że chciałbyś tu wziąć udział w kontynuacji dawnej wileńskiej „Ksantypy“. Świetny pomysł! Z Twoim przyjazdem na pewno ruszymy z miejsca i zawojujemy niemrawych mieszczuchów lubelskich, tak jakeśmy to swego czasu zrobili ze ślamazarnymi wilnianami.

Ciekawe to były czasy.

We trójkę z Tobą i Światopełkiem Karpińskim gorszyliśmy z początku niejednych, że podczas rozwijającej się wojny, zamiast pogrążać się w jałowej żałobie, zaczęliśmy organizować „Turnieje atletów“, satyry „Białego Sztralla“. Ale Twoje celne, trafne wiersze szybko przekonały publiczność, że w czasie wojny istnieje wiele dziedzin życia, w które można i należy wetknąć szpilkę satyryka. Że wojna to nie tylko zbrojna walka wręcz, lub zza węgła, że podczas wojny nieraz należy walczyć z wrogiem wewnętrznym taką bronią jak humor, dowcip czy ironiczny uśmiech. Nie wahałeś się celować w uświęcone nietykalności, nie przemilczałeś wstydliwie brudów przeszłości, umiałeś stanąć po stronie postępu i demokracji.

W tej poważnej, choć pozornie żartobliwej pracy, zdarzały się momenty tragiczne. Pamiętasz ten wiosenny ranek, kiedyśmy się spotkali przed ogromnym wileńskim szpitalem zawiadomieni, iż od kilku godzin dogorywa w nim pierwszy z naszej trójki — Światopełk Karpiński!... I jak wkrótce potem, pisząc o nim wspólnie pośpieszny nekrolog, zastanawialiśmy się, kto z nas dwóch pozostałych następny nekrolog napisze?...

Nie pogrążyliśmy się w żałobie po koledze, jak nie załamaliśmy rąk po utraconej chwilowo niepodległości. Wiedziałeś, że znajdziesz ją przy pomocy tych, którzy ją nam dziś, po latach, przynieśli. Oddałeś się szczerze poważnej pracy dziennikarskiej pracując bez odpoczynku, bez wytchnienia. Mimo harówki redakcyjnej, znajdowałeś zawsze czas, aby raz po raz swoim świetnym tekstem literackim czy satyrycznym zasilić prowadzoną przeze mnie scenkę „Ksantypy“.

I widocznie jak „Ksantypa“ — Ciebie, tak i Ty polubiłeś „Ksantypę“, skoro nie zapomniałeś o niej i w swoim pierwszym liście do Lublina wspominasz o konieczności jej wskrzeszenia.

Lecz jak tu mówić, kochany Dorku, o wskrzeszeniu, kiedy w chwilę po wieści o Twym ocaleniu przychodzi wieść druga, wieść absurdalna, wieść nie do wiary, wieść o Twojej Dorku, śmierci.

W wyścigu dwóch wiadomości — dobrej i złej — zła zwyciężyła. Stanęła złowrogo pomiędzy początkiem a końcem mego do Ciebie listu.

W ostatnich latach straciłem wszystkich najbliższych przyjaciół z mojej literackiej paczki. Szli jeden po drugim: Zbigniew Uniłowski, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Światopełk Karpiński, Bolesław Miciński, Tadeusz Hollender... Zahartowałem się.

Ale Twoja śmierć, Dorku, najbardziej jest wstrząsająca. Największą przynosi gorycz. Przez trzy lata żyć pod groźbą śmierci z rąk wroga, aby wreszcie, ocalawszy od niej paść od kuli bratniej!...

Ręce opadają.

Niech inni w obliczu Twojej śmierci zapewnią dobitniej, że walka, którą prowadziłeś, będzie prowadzona dalej. Że zginąłeś broniąc sprawy, która zwycięży.

Niech inni zajmą się wyliczeniem dorobku poetyckiego pisarza polskiego Teodora Bujnickiego i zasług jego dla literatury. Mnie — śmierć Twoja obeszła zbyt osobiście, abym mógł zdobyć się na oficjalne wspomnienie pośmiertne. Pamiętasz, jak trudno pisać nekrolog o przyjacielu...

Niech zamiast nekrologu pozostanie ten list, którego nigdy już do Ciebie nie wyślę.

Janusz Minkiewicz

Ostatnie pożegnanie

Dwudziestego siódmego listopada, późnym wieczorem ugodziła go zbrodnicza kula. Żył jeszcze pół godziny i umierał przytomnie. Pocieszał najbliższych, że czuje się lepiej, ale żona trzymając go za rękę czuła, że ta ręka już stygnie.

Drżącą ręką pisze klepsydry. Litery układają się w drogie dla Wilnian nazwisko. Ale jednocześnie czernią atramentu krzyczą o tragicznej śmierci.

„Wiem, że śmierć jeszcze bardzo daleko
czeka na mnie łagodna i dobra...“

— pisał Bujnicki w 1932 roku. A potem, jakby w natchnieniu:

„O nagłą i niespodziewaną,
o finał ostry i gwałtowny,
o cios niechybny i cudowny
znienacka w młodą pierś zadany!“

We czwartek, 1-go grudnia widzieliśmy Dorka po raz ostatni. W skromnej trumnie wyglądał jakby uśpiony. Nieodłączny dobry uśmiech zamarł mu na ustach. Tak samo dobrotliwie uśmiechały się po raz ostatni jego półotwarte oczy.

Ten dobry uśmiech ukryło przed nami wieko trumny. Cztery wbite gwoździe odebrały go nam na zawsze. Białoczerwona chorągiew spłynęła po obu bokach karawanu. Przyjazne dłonie ujęły wieńce ze wstęgami o polskich barwach narodowych i kondukt ruszył.

Teodor Bujnicki odbywał swą ostatnią podróż.

Przedstawiciele najszerszych warstw społeczeństwa, którzy wzięli udział w pogrzebie, przemawiając nad trumną poety, potępili zbrodniczy czyn. Ks. dr. Śledziewski drżącym od wzruszenia głosem deklamuje wiersz Bujnickiego — litanię do Najświętszej Panny. Długo hamowany szloch wyrwał się z naszych piersi. Dlaczego to się stało, Dorku?

— Dorku! — mówił nad grobem Maśliński. — Jeśli to się stało, to jest to wina i twoja i nasza, bośmy za mało dotarli do tego społeczeństwa, za mało je uświadomili.

Twarde grudy ziemi padły na trumnę, rzucone rękoma przyjaciół i kolegów na ostatnie pożegnanie. Padła na tę trumnę niejedna niewstrzymana łza.

— W tej wojnie wszyscy jesteśmy żołnierzami — powiedział inny mówca. — Wszyscy walczymy za Polskę, choć każdy na swój sposób. I nie wolno nam urządzać samosądów, nie wolno narzucać innym swoich sposobów walki. Musimy się zjednoczyć, gdyż tylko w jedności jest siła, w jedności praca i w jedności zwycięstwo!

Dorek Bujnicki nie doczekał końca wojny. Nie ujrzał wyzwolonej Polski. Umarł w połowie drogi. Tak nazwał swój tomik wierszy, wydany w 30-ym roku życia. Druga połowa zamierzonej drogi trwała zaledwie sześć lat.

Jesienne, smutne kwiaty okryły jego mogiłę. Legł na cmentarzu wojskowym, bo był żołnierzem. Przedstawiciele wojska polskiego pożegnali go salwami strzałów rewolwerowych. A my go żegnamy słowami prostej żołnierskiej piosenki:

„Śpij kolego, a w tym grobie
niech się Polska przyśni Tobie...“

Joanna Wyszkowska

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

WSPOMNIENIA Z ORANIENBURGA

„Kwarantanna"

Ośmiodniowy pobyt na Zamku w Lublinie. Cela wypełniona po brzegi. Rozmowy, żarty, dowcipy. Szachy z chleba, nawet karty. Aby skrócić czas i zabić męczącą troskę, co będzie dalej. Nocą zgrzyt otwieranej bramy i wciąż nowe transporty więźniów. Setki, setki przybyszów. Głuchym echem o sędziwe mury zamkowe uderzające na dziedzińcu buty esmanów. Miarowo powtarzające się strzały. Straszliwe domysły, co mogą znaczyć. Wrzaski i wyzwiska niemieckie, przenikliwe krzyki i jęki. To z sali badań. Aby tylko nie wezwano na badanie... Choć może lepiej, może by zwolniono. Fryzjer więzienny i strzyżenie głów pod zero. Wreszcie noc ostatnia. Sceneria jak z dramatu szekspirowskiego: dziedziniec zamkowy z basztą po środku, widmowe światło latarni elektrycznych, kilka drzew, gruby mur dookolony, czworobok więźniów ustawionych według powiatów i miast, grupy esmanów wywołujących nazwiska i przynaglających kopnięciami opieszalców, co niezbyt szybko zbliżają się do wyrocznego areopagu. Nazwisko? Wiek? Zawód? — Z powrotem. Zwalniają znikomą liczbę z tysiąca oczekujących rozstrzygnięcia. Rozdawanie chleba na drogę. Wymarsz na stację. Już wiemy. Wywożą nas do Niemiec. Ale dokąd i po co? Może na roboty?

Równo w 24 godziny po odjeździe z Lublina, o szóstej rano pociąg zatrzymuje się za Berlinem na niewielkiej stacyjce położonej przy lesie sosnowym. Zapachniało jakimś Otwockiem czy Świdrem. Wysiadamy. Eskorta nagli grubiańskim „los! los!" powtarzanym co chwila w różnych tonacjach i popieranym kopnięciami lub potrąceniami kolbą. Idziemy przez rzadki lasek, jest rzeźki ranek pierwszego dnia lipcowego, powietrze pachnie żywicą, bezobłoczne niebo. Ziemia niemiecka pod naszymi stopami ma słowiańską miękkość swej przeszłości, ale ludzie prowadzący nas są twardzi, bezwzględni i okrutni. Kwandrans, dwadzieścia minut drogi, i oto wysoki mur i druty nad nim i wieże strażnicze, pełne mundurów esmańskich, brama pierwsza, zabudowany dziedziniec, brama druga, wreszcie wychodzimy na ogromny plac, od którego, wzdłuż ciągnących się baraków, odchodzą uliczki. Zatrzymują nas w jednej z nich, stoimy piątkami, jak to jest we zwyczaju, i rozglądamy się z trwogą i ciekawością. Co to za panowie w pasiastych zda się pidżamach, biegający tam i z powrotem, sprawnie roznoszący jakieś kartki czy meldunki, zatrzymujący się w pełnej szacunku postawie przed esmanami i wysłuchujący ich rozkazów? A w baraku naprzeciwko jeden z nich wyciera szyby w oknie gałganem.

Lecz oto do stojącej w oczekiwaniu kolumny naszej podchodzi jakiś esman. Krzyczy coś do nas swoim gardłowym głosem, pieni się z wściekłości, której powodu dociec nie możemy, aż wreszcie pada niezrozumiała komenda: „Kniebeugen!" Kopniakami poucza pierwszego z brzegu, co uczynić należy i wykrzykuje: „Alle, alle"! Po prostu idzie o przysiad z wyciągniętymi przed siebie rękami. W tej pozycji mamy czekać dalej.

Żałosny i przykry widok — w innych warunkach nie byłby pozbawiony komizmu. Mężczyźni w różnym wieku, różnej tuszy, w cywilnych ubraniach, kucnęli posłusznie jak dzieci, wyciągnęli przed siebie ręce, drżą im kolana ze zmęczenia w tej niepojętej dla nich pozycji po niewywczasach długiej podróży, ramiona omdlewają — wszystko to jest i śmieszne i smutne i fizycznie bolesne. Oto znany lekarz lubelski cieszący się ogólnym poważaniem, oto adwokat z Zamościa, oto inspektor szkolny z Białej Podlaskiej, oto grupa nauczycieli chełmskich, inżynierowie obok robotników, ziemianie obok chłopów, starsi panowie z zażywnymi brzuszkami obok osiemnastoletnich połowąsów — wszyscy zrównani pod jednym strychulcem upokorzenia i bezsilności.

Lecz dzielą nas na grupy, spędzają w jedną z innych uliczek, gdzie przy kilku stołach z zasiadającymi esmanami odbywa się procedura immatrykulacji obozowej. Wszystko z niemiecką ścisłością i pedanterią, sprawnie, prędko i w porządku. Więc gdy przyjdzie kolej, podbiega się do stołu, jeden esman sprawdza z listy zgodność personaliów, drugi odbiera pieniądze, zegarki, pierścionki i inne bardziej wartościowe przedmioty, notując przy nazwisku co do kogo należy, trzeci podaje kartkę z numerem obozowym. Odtąd człowieku jesteś liczbą w zespole innych liczb.

Potem biegiem do jednego baraku, gdzie się rozbierasz do naga i żegnasz do chwili ewentualnego zwolnienia z własnym ubraniem i bielizną, stąd w kostiumie adamowym pomykasz do umywalni w drugim baraku, gdzie się zbywasz w pośpiechu kurzu i brudu, potem fryzjerzy strzygą na uliczce, pozbawiają wszelkiego owłosienia, flitują z tyłu i przodu. Wtedy pędzisz do trzeciego baraku, gdzie ci rzucą jakąś koszulę (obojętnie czy odpowiednią do twej tuszy i wzrostu), jakieś spodnie i kurtkę.

Tym wszystkim czynnościom towarzyszy ustawiczne „los", które rozlega się ze wszystkich stron. Trzeba biec, trzeba się śpieszyć, nie ma czasu na dokładne umycie, nie wolno wybierać odpowiedniego ubrania, tylko chwytać czym prędzej, co ci pogardliwie rzucą. W tym nieustannym ruchu człowiek gubi się oszołomiony, a gdy się nieco zgapi, rychło go do przytomności wróci odpowiednie kopnięcie.

Już teraz wiemy, kto są panowie w pidżamach. To nasi koledzy. A żyrafie biało-niebieskie pasiaki — to strój obozowy.

*

Jesteśmy w małym obozie odizolowani od reszty towarzyszy. Mamy tu przebyć okres kwarantanny — trzy do czterech tygodni. Do tego czasu nie korzystamy z pełnych praw więziennych, nie chodzimy do pracy, nie wolno nam pisać listów do rodziny, chorować ani korzystać z tak zwanego „rewiru", czyli ambulansu. Mały obóz składa się z kilkunastu baraków, mieszkają tu stale księża (wysłano ich w trzy miesiące później do Dachau) i Żydzi odseparowani w swoich blokach od pozostałych więźniów, karnie zdegradowani esmani, czasowo przebywają „kwarantanniarze".

Kwarantanna — to okres największego znęcania się nad ciałem i duszą więźnia, niezaprawionego jeszcze do życia obozowego, świeżo wyrwanego z innych warunków bytowania i tym łatwiejszego do złamania go fizycznie i duchowo. Przejdziesz człowieku cało przez to sito, już zdałeś pierwszy egzamin, już większa nadzieja, że przetrwasz wszystko. Iluż najlepszych Polaków, luminarzy nauki, nie wydołało tej próbie i poszło do pieca krematoryjnego. Straszna zima 1939/40 roku, o której nam tyle opowiadano. Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, ludzie starzy, słabi, sterani latami pracy nad książką i w laboratorium — jakżeż mogli to wytrzymać!

Wstajemy o godzinie czwartej. Dzwon obozowy zrywa nas z sienników. Myjemy się w łazience, tak zwanym „Waschraumie". Bez mydła i ręczników, których nam jeszcze nie wydano. Wnoszą kotły z kawą. Jest smaczniejsza niż na Zamku w Lublinie, oczywiście gorzka. Otrzymujemy menażki i skąpe racje chleba na cały dzień. Po śniadaniu apel.

Najpierw długie i żmudne przygotowania do tego obrzędu, dzielącego dzień więźnia na trzy odcinki. Więc staje się piątkami podług wzrostu: najniżsi tworzą pierwszy szereg. Krycie, tak zwany „vorderman", musi być ściśle zachowane. Linia każdego szeregu ma biec równo, jak po sznurku, a na komendę: „Achtung!" pierwsi prężą się nieruchomo i wszyscy stoją jak mur. Ileż tu sposobności do znęcania się nad nieprzywykłym do niemieckiego „drillu" wojskowego cywilem. Więc najpierw niebezpieczny moment opuszczania na rozkaz: „Austretten—Appel!" baraku. Trzeba wybiec pośpiesznie przed blok. Uprzykrzone i znienawidzone „los!", wyzwiska, kułaki i kopnięcia stojącego przy drzwiach wyjściowych blokowego, który przynagla do pośpiechu. A potem w mig się ustawić rzędami. I gehenna najniższych — stojących w pierwszym szeregu — przy odliczaniu. Bo większość niemieckiego nie zna i musi uczyć się liczb na prędce, a mylić się nie wolno. Wtedy kary, spadające zarówno na pojedynczych winowajców, najczęściej policzek, jak i na cały blok — zazwyczaj przysiad z wyciągniętymi rękami, którym nas powitano już na wstępie. I ćwiczenia bez końca: „Baczność! W prawo patrz! Spocznij! Baczność! W prawo patrz! Spocznij!" Dzięki Bogu, nie mamy na razie czapek, później przybędzie nowa udręka: „Mützen ab! Mützen auf!" wszystko jednocześnie, sprawnie jak jeden mąż.

Wreszcie po półgodzinnym mozole przygotowawczym, po odpowiedniej porcji wrzasku, bicia po twarzy i kopnięć, uroczyste, tym razem już uzasadnione „Achtung" i ktoś z esmanów zbliża się do wyprężonych szeregów. Blokowy podbiega szybko i służalczo do umundurowanego i zdaje mu raport o stanie bloku, po czym esman przechodzi wzdłuż odprowadzających go wzrokiem znieruchomiałych więźniów. Niechno zauważy jakąś usterkę w postawie stojących. Już nie kopnięcie, nie policzek uchybiającemu grozi. Niebezpieczeństwo wisi nad całym blokiem. Gdy ta pierwsza część ceremonii przejdzie szczęśliwie i usłyszymy z ulgą „spocznij", czekamy na zakończenie tego nabożeństwa. „Blockführerzy" zdają po kolei raport przed „Raportführerem", który sumuje cyfry i o ile te się zgadzają i nie wykazują braku żadnego więźnia, następuje ostatni akt celebracji: przy ponownym „Achtung!" dla wszystkich bloków, w ogólnej ciszy dziesięciotysięcznej rzeszy „Häftlingów" raport wachmistrza przed komendantem obozu. Ceremoniał skończony, więźniowie biegną każdy do swojej kolumny roboczej, nie pracujący wracają do bloków i rozpoczyna się „Arbeitszeit" do ponownego apelu w południe.

W czasie przeznaczonym na pracę obowiązuje wszystkich, którym z tych czy innych względów wypada przejść uliczki obozu lub poruszać się na miejscu wyznaczonej roboty, t. zw. „Laufschritt". Nie wolno iść, trzeba biec. Kto nie pracuje z powodu lżejszej choroby lub przebywa kwaratannę, temu w tym czasie nie wolno usiąść. Tworzą się po blokach t. zw. „Stehkommando", które piątkami stoją po 10 godzin w uprzątniętej z sienników sypialni, „Schlafraumie", lub przed barakiem.

*

Pierwszy apel za nami. Wracamy do bloku. Już wiemy, co oznacza ta uroczystość, jakie się wiążą z nią niebezpieczeństwa. Już znamy naszego blokowego, przystojnego Willego z czerwonym, politycznym trójkącikiem: niejeden odczuł na twarzy ciężar jego łapy, niejeden ma siniak od uderzenia nogą. Te częste objawy wściekłości hitlerowskiej i wytresowanych przez nich brytanów — naszych kolegów — więźniów, są z tego względu szczególnie niebezpieczne, że zmierzają wyraźnie do uszkodzenia jakiegoś wewnętrznego organu. A Willi hojnie, z upodobaniem i humorem wykazuje przejawy swej życzliwości do nas pod tym względem i trzeba nie lada podstępów, by uniknąć celnym machnięciom podkutych butów. Paroksyzmy wściekłości Willego przeplatały rzadsze chwile dobrego humoru, kiedy rozmawiał z nami i dowcipkował, a nawet w przystępie wspaniałomyślności użyczał do przeczytania gazety.

W pierwszą sobotę naszego pobytu w obozie, po wieczornym apelu Willi zwrócił się do nas z uprzejmym zapytaniem, kto by życzył sobie jutro z okazji niedzieli pójść na nabożeństwo do kaplicy. Ogromna większość wyczuła w tej propozycji jakiś podstęp. Ale znalazło się kilku naiwnych, którzy podnieśli ręce do góry i których numery blokowy zapisał.

Nazajutrz po apelu rannym, gdy weszliśmy do bloku i ustawiliśmy się w sali piątkami, Willi wezwawszy jednego z nas, który znał dobrze niemiecki i którym posługiwał się jako tłumaczem i pośrednikiem, kazał mu przekładać to, co będzie do nas mówił.

„Ponieważ znalazło się śród was kilku, którzy mieli zamiar wziąć udział w nabożeństwie niedzielnym, niechno oni teraz wystąpią z szeregu". Wyszło kilku wczorajszych naiwniaków i stanęło przed majestatem blokowego. „Bardzo ładnie z waszej strony" — powiedział Willi. — „Muszę się teraz porozumieć z Panem Bogiem w sprawie tego nabożeństwa". I po chwili namysłu: „Właśnie rozmawiałem z Panem Bogiem i kazał zapytać, czy nie ma między wami księdza". Już dowiedział się jakoś, że w transporcie lubelskim znajdował się proboszcz wojsławicki, którego dotąd jeszcze nie przeniesiono od nas na blok księżowski. Nie dało się ukryć i sympatyczny ksiądz, którego polubiliśmy już w więzieniu lubelskim, wystąpił ze szeregu. „Pięknie, więc Pan Bóg żąda, aby ksiądz zrobił przysiad". Biedny proboszcz kucnął przy ścianie z wyciągniętymi przed siebie rękoma. „A teraz wy się będziecie modlić. Po kolei" — zwrócił się do niefortunnych gorliwców w uczęszczaniu na nabożeństwa niedzielne. „Kładź się", rzekł do jednego: „Rotten". Nie wiedzieliśmy jeszcze, co to znaczy; znaliśmy dotąd tylko „Kniebeugen". Ofiara posłusznie położyła się na podłodze. „A teraz tocz się, obracaj jak walec. Tak, dobrze, teraz z powrotem, jeszcze jedna modlitwa, z powrotem. Teraz następny!" Nawet najbardziej obojętni pod względem praktyk religijnych nie mogli znieść tego widowiska bez wewnętrznego protestu.

Z blokowym ma się ciągle do czynienia, od niego zależy wszystko. „Blockführerzy" tylko od czasu do czasu odwiedzają baraki na inspekcję, poza tym istotnym władcą więźnia jest właśnie „Blockältester". On niemile widzianego więźnia wyznaczy do najcięższej roboty, on potrafi szykanować na każdym kroku i przyczepiać się do byle drobiazgu, jego kopnięcie może spowodować wewnętrzny upływ krwi i śmierć. Ale po cóż aż tak namacalny środek, są przecież inne sposoby, do których uciec się można. Oto jakaś ofiara, rozebrana do naga, stoi w przysiadzie kwadrans albo i dłużej pod natryskiem zimnej wody. Wystarczy do przeziębienia w najlepszym razie, jeśli nie do zapalenia płuc. Oto przysiad z ciężarkami: kucasz sobie na stole w przepisanej pozycji a ręce obciążasz trzymanymi wiaderkami. Oto rolowanie po błocie, czy śniegu, w deszcz i zawieruchę. Wszystko to są środki tolerowane przez esmanów, a do których uciekają się również zwyrodnialcy więźniowie, aby tylko wykończyć swoich współbraci z Polski. Bo też blokowi baraków kwarantannowych byli specjalnie dobierani. Zapewne otrzymywali odpowiednie instrukcje.

*

Więźniowie w obozie ze względu na rodzaj swej „winy" dzielili się na sześć kategoryj rozróżnianych kolorem trójkącików przyszytych na bluzie czy kurtce z prawej strony piersi. Największą liczbę stanowili polityczni z czerwonym triangułem, pierwotna racja istnienia obozów koncentracyjnych. Więc najpierw weterani od czasu przewrotu hitlerowskiego: komuniści, socjaliści, liberałowie, demokraci, katolicy, słowem ludzie, których „führer" uważał za niebezpiecznych dla swego reżymu, a których, nie mogąc wszystkich rozstrzelać, osadził za murem i drutami, skazując na śmierć powolną lub beznadziejną wegetację. Liczbę ich po wybuchu wojny walnie powiększyli Polacy, działacze polityczni, księża, inteligencja, chłopi i robotnicy. Część ich miała udowodnioną jakąś „winę" i przebyła pewien okres życia więziennego, większość schwytana podczas masowych łapanek na ulicach i w mieszkaniach znalazła się tu jedynie z racji swej polskości czy stanowiska piastowanego przed wybuchem wojny, a czasem zupełnie przypadkowo. Drugą grupę wypełniały trójkąty zielone: to kryminaliści, mordercy lub złodzieje, spekulanci, czy hochstaplerzy, którzy odbyli już swą karę w więzieniu i normalnie powinni by byli znaleźć się już na wolności. Trzecia kategoria to tak zwani — asocjalni, nie uspołecznieni, rekrutujący się z Niemców, którzy w ten czy inny sposób uchylali się od pracy lub zaniedbywali w pełnionych obowiązkach—ci początkowo nosili brązowe, a później czarne trójkąty. Jak błahe bywały nieraz przewinienia, które wtrąciły ich za druty, świadczy o tym fakt, że jeden z urzędników np. znalazł się w obozie za samowolne przedłużenie urlopu o dni kilka, a inny za parokrotne spóźnienie się do pracy. Czwarta grupa to Żydzi z żółtą gwiazdą sjońską, może najbardziej prześladowani i najnędzniej prezentujący się w obozie z wyjątkiem jednostek, którym spryt wrodzony pozwolił i tutaj wykorzystać swe zdolności i urządzić się niezgorzej. Większość jednak przedstawiała się wprost okropnie. Zbierali się codziennie przed nami na placu apelowym. Był to widok wstrząsający. Kusztykali osłabieni, słaniając się bezwładnie, popychani i bici przez blokowych i esmanów rozwścieczonych za to, że psują im drill wojskowy. Niektórzy mieli nogi w ranach, inni szli wspierani przez towarzyszy, ba, nawet niesieni przez nich.

Nieliczną kategorię stanowili tak zwani badacze Pisma Świętego, sektanci, którym przekonania zabraniały wstępowania do wojska w celu zabijania bliźnich. Byli to najsympatyczniejsi, najbardziej koleżeńscy z Niemców, cieszący się ogólną sympatią i w nieznaczny choć sposób ratujący w obozie godność rasy germańskiej i wartość kultury niemieckiej przedstawianej przez innych przeważnie z najgorszej strony. Nosili trójkąciki fioletowe. Wreszcie ostatnia grupa z różową odznaką trójkątną — to homoseksualiści, zboczeńcy seksualni, wśród których znajdował się nawet jeden sodomista. Niestety, inni zwyrodnialcy, bardziej szkodliwi i niebezpieczni, wyrafinowani sadyści, zajmowali stanowiska blokowych i dozorców przy pracy, nie mówiąc już o oprawcach hitlerowskich w mundurach. Prócz wymienionych więźniów istniała jeszcze mała grupa esmanów, którzy popełnili jakieś nadużycia czy wykazywali uchybienia w swej pracy. Mieli osobny blok. To była arystokracja obozowa, nie strzyżono im włosów, pozostawiono mundury, otrzymywali lepszy wikt. Każdy z więźniów, z wyjątkiem zawieszonych w czynnościach i odbywających karę esmanów, oprócz trójkącików nosił na lewej stronie bluzy i lewej nogawce spodni swój numer. Mój był 26284. Liczba ta nie orientowała o stanie obozu w danej chwili, była tylko kolejną od założenia „lagru"; a jak frekwencja w nim rosła świadczy o tym fakt, że w chwili mego zwolnienia po 19 miesiącach przekroczyła 40 tysięcy.

*

Doświadczenie nasze dotyczące rozmaitości stosowanych tutaj kar powiększyło się jeszcze o jedno. Kiedyś, gdy odbywaliśmy nasze próby wokalne a drugie skrzydło bloku maszerowało w uliczce krokiem wojskowym, wpadli przed barak esmani. Coś im się w drillu ćwiczących nie podobało, rozlegały się wrzaski rozwścieczonych mundurów i charakterystyczne klaśnięcie — „Ohrfeige". W pewnej chwili ćwiczenia przerwano, więźniowie wrócili na swoją połowę bloku z wyjątkiem kilku, którzy zostali przed barakiem. I oto dziwny widok przedstawił się oczom naszym. Tych kilku z rozstawionymi w poprzek ramionami zaczęło się kręcić powoli w koło siebie. Początkowo nie mogliśmy zrozumieć co to znaczy. Jakiś upiorny taniec chochołowy z „Wesela". I trwał on długo powolny, tragiczny i wciąż w jedną stronę. A z boku uśmiechnięci złośliwie esmani obserwowali tę niezwykłą scenę. Gdy sił już niektórym ofiarom brakło, gdy nogi odmawiały posłuszeństwa, bicz chrapliwego niemieckiego przekleństwa podrywał ich do dalszego kręcenia. Aż wreszcie zwalili się na ziemię, w skurczu żołądka oddając na zewnątrz nieprzetrawione resztki posiłku. Więc o to chodziło. Doprowadzić ludzi do wymiotów, wydrzeć im tę skromną strawę, pozbawić sił i zwierzęco rechotać później na widok skutku tego piekielnego tańca.

Kiedyś podczas ćwiczeń naszego bloku padła nagle komenda: „Padnij!" Przywarliśmy plackiem do ziemi. W pozycji tej trwaliśmy kilka minut i nikomu nie wolno było podnieść głowy, dla ustalenia, na co się zanosi. Tymczasem za przeciwległym barakiem, w innej uliczce, odbywały się wtedy ćwiczenia księży. W pewnej chwili poderwał ich rozkaz: „Laufschritt!" i cały blok księżowski runął biegiem z miejsca. Skierowano ich w naszą uliczkę. Pędzili naprzód nie wiedząc, jaka przeszkoda mości im drogę. Nagle ukazała się ich oczom

przestrzeń usłana ciałami przywartych do ziemi towarzyszy. Leżeliśmy cichutko nie śmiejąc się poruszyć, nie przeczuwając zresztą, co za chwilę nastąpi. Uszu naszych dochodził miarowy odgłos kroków biegnącego oddziału. Raz, dwa!, raz, dwa!, raz dwa!, — coraz bliżej. Już słyszymy ich na zakręcie, już są tuż. Chyba ich zatrzymają. Ale nieubłagane „Vorwärts!" nie pozwala im zważać na przeszkodę. Już pędzą po nas. Starają się trafiać nogami pomiędzy leżących, ale jest to niemożliwe, tak gęsto jest zbita masa usłanego na ziemi bloku. Więc psują swe szyki, usiłując deptać tylko nasze nogi i pośladki. Ale i tak ciężkie buty godzą nieraz w plecy, trącają o głowy i co chwila przeraźliwy jęk którejś z ofiar wywołuje wybuchy śmiechu kierujących tą zabawą esmanów i blokowych.

Czas wspomnieć o „koledze" Jaciwie. Po raz pierwszy zwrócił moją uwagę już w pociągu wiozącym nas do Oranienburga. Uderzał bezceremonialnością swojego zachowania; miał szeroką kanciastą twarz, grube zmysłowe wargi i oczy przedziwnie zmienne: raz pełne niezmiernego smutku, to znowu dzikie i okrutne, to zimne i przenikliwe — nie odgadłe. Kręcił się po wagonie, od czasu do czasu ciskał jakimś straceńczym dowcipem lub nucił piosenkę, by za chwilę sięgnąć po kromkę chleba i ogryzać ją z apetytem. W obozie zwrócił wnet na siebie ogólną uwagę. Zainstalowano go w naszym bloku i wkrótce wkradł się w łaski blokowego do tego stopnia, że Willi pozwolił mu spać obok siebie w pierwszej izbie, gdy w drugiej bez mała trzystu leżało pokotem. Na ten temat snuto nawet pewne dwuznaczne domysły, kto wie, czy nie uzasadnione. Przyjaźń z blokowym znalazła wyraz w donosicielstwie. Szpiegował nas i podsłuchiwał, niejedną udrękę zawdzięczaliśmy jego gorliwości. Nie dość tego. Zabezpieczywszy sobie pewne miejsce, uzurpował sobie niektóre prawa Willego, brał podwójne porcje zupy, zachowywał się wobec kolegów coraz bezczelniej, posuwając się nawet do bicia. On to kiedyś, gdy kolejno biegliśmy do łazienki pod natrysk, stał w przedsionku i obdzielał kopnięciami opieszalszych. On właśnie fałszywie przekręcił słowa księdza Polaka z Rzeszy zwrócone do nas podczas nauki śpiewu, doniósł o nich władzom, co sprowadziło później na naszego kolegę różne represje, znęcanie się nad nim w obliczu całego bloku, policzki i rolowanie. Nienawidziliśmy Jaciwa z całego serca i baliśmy się go, bo wiedzieliśmy, że biada temu, kto by swą niechęć do niego słowem lub czynem objawił.

Aż nadszedł pamiętny dzień, już u kresu naszego pobytu na kwarantannie.

*

Na apelu porannym stwierdzono brak jednego więźnia. Stosownie do przyjętego tu zwyczaju nikt nie poszedł do pracy, nikt nie wrócił do baraku. Musieliśmy stać i czekać. Stać i czekać tak długo, aż zbiega odnajdą. Tymczasem odbywały się poszukiwania po całym obozie. Badano wszystkie bloki, zaglądano do każdego zakamarka. I nas do tej czynności zaprzężono. Znalazłem się w grupie, której polecono przetrząśnięcie baraku ze znajdującą się w nim słomą. Niby, że sprawca tego całego zamętu mógł się tam ukryć. Z równym powodzeniem można by szukać igły w stogu siana. Zniesiono wszystkie snopki, przeszukano wszystkie kąty, a zbiega, oczywiście, ani śladu. Więc z powrotem wszystko na górę i do szeregu.

Dłuży się to stanie okropnie. Nogi bolą, choć staramy się przybrać najwygodniejszą pozycję, głód skręca kiszki, bo obiadu nie będzie, nuda straszliwa. Szepcemy po cichutku, starając się w miarę możności urozmaicić to b znadziejne oczekiwanie. Ale i to nie pomaga. Odtwarzam sobie w myśli wszystkie znane mi wiersze, obserwuję obłoki na niebie, liczę deski w ścianie bloku i spycham dalszą godzinę. A ile ich jeszcze przed nami!

Obóz to małe miasto: ma swoje domki, uliczki, plac rozległy, nad nim jak ratusz, budynek komendy z wieżą zegarową i wejściową bramą. Ma elektryczność i wodociągi, szpital, pralnię, kuchnię, łazienki, ba nawet krematorium, ma swoich kilkanaście tysięcy mieszkańców dzielących się na dwie kasty — panów i niewolników. Wyobraźmy sobie jakiś Lubartów czy Krasnystaw podniesiony nagle na nogi i wypełniający ulice i place mieszkańcami w karnych piątkach, oczekującymi chwili, gdy wolno im będzie położyć się lub usiąść, by dać wytchnienie mdlejącym członkom. Stojące, głodne miasto!

Już słońce dawno zbiegło na drugą połowę nieba, już zbliża się czas wieczornego apelu i kolacji. Szepcemy między sobą, jak będzie z nocą: czy wydołamy, gdy do katuszy nóg obolałych, głodu i pragnienia dołączy się jeszcze udręka bezsenności. Słaniamy się ze zmęczenia, a w oczach staje nam słodka wizja podłogi zasłanej setkami twardych sienników. Wreszcie około 9 pada rozkaz: do bloków! Z jakąż radością rzuciliśmy się wszyscy do naszych baraków! Jak smakowała zimna zupa z obiadu, z jakąż rozkoszą przywarliśmy w ubraniach do nieprzytulnych zazwyczaj sienników. W ubraniach, bo rozbierać się nie wolno. To tylko kilka godzin wytchnienia, po których, jak objaśnił nas Willi, czeka nas dalsze stanie od pierwszej w nocy. Ale dobre i to. Zasypiamy snem kamiennym. Budzi nas z otchłani niebytu nielitościwe: „Auf!" blokowego. Zrywamy się z posłania w ciemnościach zderzając się i popychając wzajemnie, a tu już: „Austretten!" i tak dobrze nam znany bicz przynaglenia: „los! los!" Wychodzimy przed barak i ustawiamy się piątkami. Brr, jaka zimna noc! Może i nie było tak chłodno, ale wprost ze snu, w naszych ubraniach bez spodniej bielizny i bez skarpetek, po tylu godzinach stania! Dygocemy, choć to lipiec, rozgrzewamy się uderzeniami i nacieraniem i przeklinamy zbiega, którego niefortunny pomysł sprowadził na nas tyle prywacyj.

Ale co to za krzyki blokowego? Komu on tam tak wymyśla? Grad wyzwisk sypie się w mroku nocy, gardło ochrypłe ze wściekłości. Słychać jakieś szamotanie, odgłosy kopnięć i bicia po twarzy, ktoś jęczy straszliwie, a bicie trwa, głuche odgłosy kopnięć powtarzają się bez końca. Ze zbolałych warg ofiary wyrywa się przeraźliwa skarga: „Jezus Maria! Jezus Maria! Zabije mnie! Za co mnie tak męczycie?" Nie, to nie normalny przejaw humorów naszego oprawcy, ujawniający się w pojedynczym wyrzucie podkutego gwoździami buta, to metodyczne wykańczanie człowieka. Słyszymy jak ciało ludzkie bezwładnie pada na ziemię. Człowiek jęczy dalej chrapliwie, modli się. A leżącego wciąż kopią, Willemu ktoś pomaga, zapewne sztubowy. Aż ustały wreszcie wszelkie odgłosy i widzimy cienie więźniów, niosące bezwładne już ciało do wnętrza bloku. Zgroza ogarnęła nas wszystkich.

Jak przeszła nam reszta tej nocy, omdlewającym ze znużenia, drżącym z zimna, zdjętym zgrozą i przerażeniem — trudno wyrazić słowem.

Nad ranem wróciliśmy do bloku. Zbieg się jakoś odnalazł. Rozpoczął się normalny dzień obozowy. Ale rozmowy wciąż obracały się dokoła straszliwego widowiska, które tak zbogaciło nasze doświadczenie. Ofiara pochodziła ze skrzydła B naszego bloku. Był to podobno były starosta, który parokrotnie podczas pobytu w obozie jakimś śmiałym powiedzeniem naraził się blokowemu. Willi postanowił więc go wykończyć. A niemałą rolę w tym wszystkim odegrał ów dwuznaczny Jaciw. To on właśnie sprowokował całe zajście. Gdy w nocy wybiegliśmy wszyscy przed blok, przez złośliwość jakąś czy głupi figiel podszepnął nierozumiejącemu dobrze niemieckiego ex-staroście, że blokowy kazał zabrać ze sobą koc, gdyż jest zimno i naiwny więzień wziął to za dobrą monetę i zjawił się przed blokiem z narzuconym na ubranie kocem, co właśnie wywołało atak furii Willego.

Śpiewaliśmy tego dnia jak i poprzednich. A jakże. I nasze skrzydło A i druga połowa bloku, gdzie ubyło jednego męczennika. Opowiadał mi kolega, jak zwłoki nakryte kocem (może tym samym?) ułożono w kącie sypialni, a stojący obok piątkami koledzy zmarłego wywodzili chórem: „Willkommen, frohe Sänger!" Zaiste, osobliwe requiem.

A Willi szalał dalej. Jakby popełniona zbrodnia wlała mu ogień do żył. Przyczepił się o coś do naszego skrzydła, kazał zamknąć wszystkie okna pokoju i w dusznej, pozbawionej powietrza sypialni, przez pół godziny ćwiczył nas: „Hinlegen — Auf!" Padnij — powstań! Był upał, ciała nasze spływały potem, piersiom brakowało tchu. A w pewnym momencie tak się rozwścieklił, że chwycił krzesło i cisnął nim w kierunku jakiejś grupy więźniów, która cudem uchyliła się przed tym ciosem.

*

Nazajutrz po obiedzie kazano nam się zebrać przed blokiem; przyszły jakieś nieznane dotąd figury, nowi jacyś dygnitarze we więziennych bluzach i czynili przegląd naszego bloku, oraz innych z transportu lubelskiego i przyszłego w tydzień po nas bardziej licznego — radomskiego. Szeregowano młodszych i starszych, notowano numery. Na wieczorny apel wyszliśmy już z małego obozu, by wraz z innymi stabilizowanymi więźniami podążyć ku placowi.

Pierwszy akt dramatu: „Konz - lager: Sachsenhausen bei Oranienburg" został już odegrany. Okres kwarantanny był już za nami. Szliśmy ku nieznanemu jutru.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Książka w okupowanej Warszawie

Jakoś już na wiosnę 1940 roku wpadł mi w ręce okólnik przeznaczony dla niemieckich starostów (Kreishauptmannów), zawierający zarządzenia w sprawie ustosunkowania się władzy okupacyjnej do spraw kultury polskiej.

Znaczna część okólnika była poświęcona sprawom teatru; wyraźnie powiedziano, że wszystkie budynki teatralne mają być zajęte dla teatrów niemieckich, że Polacy mogą urządzać przedstawienia za specjalnym każdorazowym pozwoleniem i muszą to być przedstawienia o niskim poziomie, zarówno artystycznym, jak i moralnym. To drugie było nawet podkreślone. Aktorów polskich można dopuszczać do występowania przed Niemcami, ale Niemcom nie wolno zapominać, że są to Polacy i poza sceną nie wolno obcować z nimi towarzysko, choćby nawet przedstawienie miało charakter wewnętrznej uroczystości.

Druga część okólnika nakazywała zwrócenie uwagi na obrazy wystawiane i sprzedawane na ulicach; zakazane były tematy regionalne, narodowe i wojenne. Taki sam zakaz dotyczył i produkcji muzycznych.

Wreszcie część ostatnia okólnika odnosiła się do słowa drukowanego. Została stanowczo zakazana sprzedaż jakichkolwiek map, zarówno sztabowych, jak i szkolnych, oraz wszelkich wydawnictw w języku francuskim i angielskim do słowników włącznie. Wreszcie zakazano Polakom sprzedaży książek światopoglądowych, nawet w języku niemieckim.

W czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. z większych obiektów bibliotecznych spaliła się tylko Centralna Biblioteka Wojskowa. Złożone w niej zbiory rapperswilskie zostały na czas uratowane, dzięki niesłychanemu wysiłkowi i trudowi kustosza Wiktora Kochanowskiego (zmarł w kilkanaście miesięcy później); znacznego zniszczenia doznała biblioteka Wolnej Wszechnicy Polskiej, nieduże uszkodzenia dotknęły bibliotekę Zamojskich (zniszczono muzeum), spaliło się też kilka miejskich wypożyczalni, oraz wraz z budynkami szereg bibliotek ministerialnych. Stan więc faktyczny bibliotek w październiku 1939 r. w Warszawie był następujący: istniały biblioteki wszystkich wyższych zakładów naukowych (z wyjątkiem WWP), szeregu instytutów naukowych, kilka bibliotek specjalnych, biblioteka Zamojskich, biblioteka sejmowa, biblioteka Głównego Urzędu Statystycznego, oraz Publiczna Biblioteka m. st. Warszawy ze swoimi filiami i wypożyczalniami. Podstawa zatem życia umysłowego istniała. Ale nie było wolno jej wypełniać swoich zadań.

Już na samym początku została przeprowadzona ostra selekcja książek we wszystkich wypożyczalniach zarobkowych; musiały one przedstawić swoje katalogi do zatwierdzenia. Przy tej selekcji zaszedł cały szereg pomyłek ze strony pp. cenzorów. Przypominam sobie jeden z nich: zakazano wydawać do czytania Korzeniowskiego „Kollokację" i coś drugiego, gdyż cenzor wziął go za Józefa Conrada (Korzeniowskiego). Spisy książek niedozwolonych ukazywały się co rok. Do rąk moich dotarły tylko trzy: pierwszy z r. 1940, trzeci z r. 1942 i czwarty z grudnia roku 1943; ta całość wynosi 346 stron druku i zawiera około 5 tysięcy pozycji bibliograficznych. Wykazy te były tajne i przeznaczone tylko do użytku służbowego.

Biblioteki państwowe: Narodowa i Uniwersytecka zostały wzięte pod bezpośrednią opiekę specjalnego urzędu niemieckiego, na którego czele stał Niemiec, fachowiec-bibliotekarz. Natomiast dyrektorzy tych bibliotek zarówno jak i cały personel byli Polakami. Początkowo księgozbiory te były całkowicie zamknięte, później można było z nich korzystać za specjalnym pozwoleniem; w drugiej połowie 1943 roku mocno ograniczono wydawanie tych pozwoleń. Po pewnym czasie, zdaje mi się, że było to w połowie 1942 r., do tych dwu bibliotek została dołączona biblioteka Krasińskich. Biblioteka Zamojskich znajdowała się tylko pod „opieką". Biblioteka Sejmowa została jeszcze w listopadzie 1939 r. wywieziona, zdaje się do Wrocławia. Biblioteka Judaistyczna, jedyna tak bogata w Polsce, została zupełnie zniszczona. Biblioteka Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejsk. została częściowo wywieziona do Krakowa. Miejska Biblioteka Publiczna otrzymała zaraz pierwszego dnia komisarza. Został nim wychowanek naszych uniwersytetów, który otrzymał doktorat na podstawie rozprawy, stwierdzającej polskość którejś części Pomorza, stypendysta MSZ, pracownik Instytutu Bałtyckiego, ostatnio bibliotekarz w Centrum Wyszkolenia Lotniczego — a zawsze Niemiec — za czasów polskich dr. Bronisław, a za niemieckich dr. Bruno Nagiel. On to przeprowadził rewizję księgozbioru, usunął książki zakazane, on też, jak sam opowiadał, był w gestapo stałym referentem naszej prasy podziemnej.

Z tak zmniejszonym księgozbiorem, centrala, jej filie i wypożyczalnie pracowały prawie 3 lata, co prawda stale ulegając redukcji. Zmniejszono też bardzo lokal samej centrali, zabierając na bibliotekę niemiecką cały nowy pawilon. Również i personel biblioteczny ulegał stopniowo redukcji. Najbardziej zdecydowana odbyła się w r. 1942, kiedy to usunięto z biblioteki kilkadziesiąt osób, z tego kilka bez prawa zatrudnienia w biurach magistratu.

Pod opieką Biblioteki Publicznej znajdowało się t. zw. Muzeum Społeczne. Instytucja ta, powołana do życia przez grono osób, gromadziła skrzętnie dokumenty naszego życia społecznego. Zbiory te zostały opieczętowane przez gestapo zaraz prawie po zajęciu przez Niemców Warszawy. Odpieczętowane zostały, zdaje się, po dwu latach; przyłączono do nich wszystkie wycofane książki na temat socjalizmu, komunizmu, Marksa, Lenina itp. Utworzony w ten sposób społeczny dział biblioteki został oddany pod wyłączną „opiekę" Jana Bordycha-Kamińskiego, człowieka nasłanego przez Niemców. Człowiek ten w czasie wojny współpracował z gestapo w działalności antysowieckiej. Oczywiście, że papiery tego pana były fałszywe. Stwierdziliśmy tylko, że nie miał on nic wspólnego z Polską, ani urodzeniem, ani pochodzeniem.

Oprócz zbiorów publicznych, istniały też księgozbiory prywatne. Los był ich b. rozmaity, jak rozmaity był los ich właścicieli. Część ich spłonęła w czasie zdobywania Warszawy, część została zniszczona przez Niemców, część zaś została narazie uratowana dzięki temu, że Biblioteka Narodowa (Staatsbibliothek Abt. II) otrzymała polecenie gromadzenia wszystkich bezpańskich księgozbiorów, a gestapo miało obowiązek zawiadamiać o takich wypadkach. To też w murach biblioteki SGH, gdzie się mieściła Biblioteka Narodowa, znalazło schronienie wiele cennych książek. Wątpliwe tylko, czy uszły one teraz barbarzyńskiemu zniszczeniu.

Los księgarń naogół był lepszy od losu bibliotek. Chociaż niektóre składy uległy spaleniu (Trzaska, Evert i Michalski), chociaż znaczną część wydawnictw Niemcy nakazali wycofać ze sprzedaży, to jednak pozostało jeszcze sporo książek w obiegu. Oczywiście, rozwinął się ruch antykwaryczny i rozpoczęła się uliczna sprzedaż na wózkach. Szczególnie w latach 1939 i 1940 wielu pracowników umysłowych utrzymało się przy życiu dzięki temu handlowi. Kasa im. Mianowskiego udzielała nawet zapomóg na sprawienie sobie takiego wózka. W następnych latach tempo wyprzedawania prywatnych książek nieco się zmniejszyło, ale kilka poważnych, choć nowych antykwariatów utrzymywało się nadal.

Obraz życia książki w Warszawie podczas okupacji niemieckiej nie byłby pełny, gdyby się nie powiedziało o jej służbie w obozach naszych jeńców wojennych. Polska YMCA otrzymała prawo wysyłania książek do „stalagów" i „oflagów" i bardzo rzetelnie wywiązywała się z tego obowiązku. Ograniczenia cenzury były jeszcze ostrzejsze, wolno było wysyłać tylko polską beletrystykę, żadnych przekładów z francuskiego lub angielskiego. Na szczęście, wolno było wysyłać książki fachowe i naukowe. Ilość wysyłanych książek dosięgała, zdaje się, kilkudziesięciu tysięcy i trzeba to podkreślić, pochodziły one przeważnie z darów społeczeństwa.

Regina Fleszarowa

HELENA JAWORSKA

Obrońcom Stalingradu

Nad Stalingradem
świt —
jak popiół nieostygły leży.
Ruiny mgłami dymią,
cierniem w niebo wbite.
Na drzewach niezwalonych kominów
słońce
rozpostrzyj szerzej:
Takim dzisiaj sztandarem
niezwyciężone miasto nakryte.
Chcieli z tej ziemi
wolność
pazurami pocisków wyszarpać.
Szli w dymie brodząc.
Czołgami walili do bram,
Szybciej niż pancerne dywizje
od schylonych grzbietów Karpat
parł znad Zatoki Biskajskiej okrzyk:

No pasaran!
No pasaran! Czy słyszysz?
Kark ugięty prostuj!
Towarzyszu z Warszawy, Oslo, Paryża, Pragi —
nieprawda, że znad Wołgi daleko.
Ten okrzyk przerzucić mostem
i tylko ramię wyciągnięte
przedłużyć o nabity karabin.
Znad horyzontu
wolność
na rękach stwardniałych wsparta
w Atlantyk stopę zanurza.
Blask
o Alpy się oparł.
Dziś lud wydziera z historii
przemocy sczerniałą kartę.
Nad Stalingradem świt.
I świt nad Europą.

JULIUSZ KLEINER

Mickiewicz jako rewolucjonista i tradycjonalista

W kilka miesięcy po wiośnie owej, w czasie której zrodził się w Mickiewiczu wielki poeta, twórca „Lilij" i pierwszej redakcji „Dziadów" części drugiej — w grudniu r. 1820 filomaci otrzymali w darze płomienny manifest rewolucyjny: „Odę do młodości". Słowa Schillera o waleniu się form starych biorąc jako motto, młody bojownik wzywał zespół przyjaciół, by zburzyć świat stary i w jego miejsce stworzyć nowy. „Wyjdzie z zamętu świat ducha" — tak określił ideał przyszłości, a słowa te mogą być uznane za hasło całej romantyki polskiej.

Ale inicjowanie nowych form życia szło wyraźnie torami wskazań poprzedniego wieku. „Znikają nieczułe lody I przesądy światło ćmiące". Drugi z tych wierszy programowych przemawiał typowym stylem oświecenia, dla którego najgorszym straszakiem były tamujące postęp przesądy. Jeśli zaś to powiedzenie wysnute było z ideologii racjonalistów i empirystów, to w odtrąceniu „nieczułych lodów" odzywał się sentymentalizm XVIII w., doskonałość upatrujący w człowieku czułym, tkliwym. Dołączały się symbole wolnomularskie — ulubionym obrazem masonerii był obraz tworzenia świata nowego i opasywania „koliska" ziemi wspólnymi łańcuchami. A chociaż dla każdego Polaka niedwuznacznie protestem przeciw zaborcom i niewoli brzmiało wołanie: „Witaj jutrzenko swobody" — ideały były, jak w oświeceniu, ogólnoludzkie, kosmopolityczne.

Forma zaś, pomimo dynamiki, jaką w nią tchnął twórca, pomimo właściwego mu, oryginalnego piętna motorycznego, była... konserwatywna. Kształty pseudo-klasycznej „Ody" mieściły tradycyjne w poezji klasycznej motywy lotu wzwyż, zdobywania twierdzy niedostępnej, mocy Heraklesa.

Wystąpił więc w tym wybuchu dążeń młodzieńczych rys typowy Mickiewicza, który zawsze znamionować będzie postawę jego wobec życia: rewolucjonizm zespolony z tradycjonalizmem.

Mickiewicz od chwili, gdy był jednym z organizatorów tajnego związku filomatów, aż do śmierci, co go spotkać miała jako bojownika organizującego siły zbrojne do walki — zawsze przejęty był tą dążnością, którą po wieku XVIII odziedziczył rewolucyjny romantyzm: żądzą wielkiej przemiany świata i wiarą, że przemiana ta rychło musi nastąpić. Ale w ten świat nowy, lepszy, doskonalszy, wnieść pragnął wszystkie skarby wielkich tradycyj: religijnych, kulturalnych, narodowych. Sam w potężnej dynamice rozwoju nieustannego zmierzał ku coraz nowym wyżynom osobistości i artyzmu, nigdy nie zatrzymywał się na stanowisku osiągniętym; na każdy jednak dalszy stopień swej ewolucji wnosił to wszystko, co zdobył w etapach poprzednich. Przecież w „Dziadów" części trzeciej znajdzie się oddźwięk przezwyciężonego dawno, studenckiego wolterianizmu. Przecież w kształtowaniu „Pana Tadeusza" współdziałać będzie filolog klasyczny, uczeń wileński Groddecka, a socjalizm „Trybuny Ludów" harmonizować będzie z wchłoniętą za młodu atmosferą reformatorską oświecenia.

Tomik pierwszy „Poezyj" ukazał Mickiewicza jako pioniera romantyki, ale umieszczone w nim „Warcaby" świadczyły, że nie odżegnywał się od klasycyzmu. W samych zaś balladach, bogacących literaturę polską rusałkami, duchami, postaciami i zdarzeniami niezwykłymi — motyw najbardziej może baśniowy, najbardziej romantyczny, motyw przemiany cudownej przywodził na myśl... „Metamorfozy" Owidiusza.

W tomiku drugim, znacznie bardziej rewolucyjnym od pierwszego, „Dziadów" część druga jako udramatyzowanie religijnego obrzędu ludowego, sięgającego pradawnych czasów, była zupełną nowością. Sięgnięcie jednak do takiej tradycyjnej obrzędowości jako do źródła poezji dramatycznej było jakby wznowieniem dróg twórczych Hellady, co z obrzędów wyłoniła tragedię.

Bezkształtność olbrzymiej, ciągłej sceny dramatycznej, jaką jest „Dziadów" część czwarta, spontaniczność lawinowego wybuchu skarg, uniesień, żalów, wyrzutów Gustawa, stawianie obok siebie luźnych treści psychicznych, nie powiązanych logicznie, danie surowca nie przekomponowanego doznań psychicznych (co uprzedzało poetykę ekspresjonizmu), niesłychana śmiałość osobistych wyznań miłosnych, nieznany dotąd w Polsce język namiętności — wszystko to stanowiło skrajnie rewolucyjny czyn literacki. Uznanie zaś ludu za posiadacza „prawd żywych", głoszonych w czasie obrzędu, za warstwę społeczną mającą bliższy od innych kontakt ze światem duchów, wstrząsający protest przeciw krzywdzie chłopskiej, tak silny, jaki dotąd jeszcze nie zjawił się w poezji polskiej, inwektywa Gustawa przeciw „jasnym panom" — to znowu było przejawem rewolucyjności społecznej. Co prawda, Mickiewicz, podobnie jak wielu filantropów wieku XVIII i XIX, w zagadnieniu krzywdy społecznej widzi tylko problemat moralny, tylko winę złych, okrutnych panów; nie myśli jeszcze o tym, że zmieniony musi być ustrój, który krzywdy takie umożliwia. Jednocześnie zaś ów rewolucjonista przez usta Gustawa przeciw oświeconemu księdzu bronił dawnych wierzeń religijnych, a w dziedzinie poezji nie tylko powoływał się na tradycję „Nowej Heloizy" i „Wertera", lecz silnie był związany z modą literacką, dla której koncepcję znaną stanowił kochanek-pustelnik, kochanek-szaleniec, kochanek-samobójca, kochanek-duch powracający. I aż nadmiernie obciążyły poemat ówczesne rekwizyty literackie.

Stosunek do dążeń rewolucyjnych z jednej strony, z drugiej strony do tradycji znalazł kształt pełny w „Konradzie Wallenrodzie", w poemacie, który wyłonił się z atmosfery tajnych związków i spisków, przedstawiając i tragedię, i tryumf potężnego, zamaskowanego działacza — w poemacie, który rozpoczynał okres narodowej poezji wieszczej i który zainicjował poezję insurekcyjną, nie milknącą potem przez dziesięciolecia.

Zetknąwszy się bezpośrednio z caratem, w świeżej pamięci mając klęskę „dekabrystów", załamanie się planów i nadziei przemian w Rosji — Mickiewicz nie wierzył jeszcze w możliwość masowego ruchu polskiego, w możliwość wyzwalającego czynu zbrojnego. Przeniknięty zaś etycznym poczuciem odpowiedzialności za losy ogółu, przeświadczony, że człowiekiem wielkim jest ten jedynie, kto się czuje odpowiedzialny za losy narodu i losy te potrafi przekształcić — uznał, że gdy cały naród nie potrafi się zdobyć na czyn zbawczy, obowiązek dokonania czynu spada na jednostkę wyjątkową: ona zastąpić ma ogół. Spełnia to zadanie za cenę męki zamaskowanego życia Konrad Wallenrod, staje się Samsonem, co zdołał „jednym wstrząśnieniem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem" — łamie i niszczy potęgę wrogą, niosącą narodowi zagładę.

Działacz ten, pędzący straszne swe życie w stolicy wroga i z rąk wroga otrzymujący władzę nie jest osamotniony: znajduje się przy nim jakby wcielenie dążeń narodu, Halban.

Na dwie postaci, na Konrada i Halbana, rozłamał poeta jaźń własną na podobieństwo Goethego ukazującego psychikę własną w odbiciu dwu kontrastowych kreacyj: Claviga i Carlosa, Tassa i Antonia, Fausta i Mefistofelesa. To rozdwojenie wszakże ma u Mickiewicza odmienny charakter i zyskuje ogromną perspektywę dziejowo-socjologiczną: kształtując dwie osobistości, które się nawzajem dopełniają, jednej z nich dał walory ponadindywidualne, głos jej wzniósł na wyżyny głosu tradycji. W tym, co nakazuje Halban, streszcza się puścizna zbiorowości. Związek ze zbiorowością jest splotem korzeni, z których wyrasta indywidualność Waltera-Konrada. Bez tego związku — przestałby on być sobą, przestałby być wielkością. Mógłby co najwyżej być — Gustawem.

Wielka jednostka romantyczna pojęta została jako narzędzie, którym włada, którym spełnia swe cele — tradycja narodowa.

Znalazł Mickiewicz naczelną „prawdę żywą" romantyzmu polskiego.

A zarazem — rozwiązał podstawową antynomię romantyki. Romantyzm jest kultem jednostki wyjątkowej, Carlyle'owskiego „bohatera", który ustalonemu czyli tradycyjnemu porządkowi świata przeciwstawia się rewolucyjnie. I romantyzm jest szukaniem oparcia w jakiejś wielkiej solidarności, z której jednostka heroiczna moc swą czerpie, jest kultem tradycyj religijnych i narodowych.

Przeciwieństwo tych dwu tendencyj dawało się w Polsce łatwiej usunąć niż gdzie indziej. Celem rewolucyjnych dążeń było tu przywrócenie dawnego porządku, dawnej samoistnej państwowości; tę formę dawną wskrzesić chcieli przecież i ci wszyscy, którzy najsilniej zmierzali do przebudowy społecznej polskiego ogółu. Naturalnym tokiem wynikał stąd — rewolucyjny tradycjonalizm. Przeto rewolucjonista Konrad — ten, który nosi imię największego spiskowca ówczesnego, Konrada Rylejewa — będzie urzeczywistniał dążenia Halbana, kapłana tradycyj. Halban, apoteozujący „wieść gminną" i tak zrośnięty z narodem, że stworzona przezeń pieśń stanie się właśnie tą „gminną wieścią" — sam jest „arką przymierza między dawnemi a młodszemi laty": prorok i ostatni bard („ostatni wajdelota"), zwiastun i twórca przyszłego czynu — i strażnik żywotności skarbów dawnych, „narodowego pamiątek Kościoła".

Tradycja, którą umiłował i uwielbił autor „powieści historycznej z dziejów litewskich i pruskich", związana była z Litwą — litewska też i białoruska była tradycja ludowa, ożywiona w „Dziadach". Tkwił w tym prowincjonalizm tylko (tak znamienny w romantyce), nie separatyzm.

Bądź co bądź jednak — wyjątkowo sięgał do istotnej tradycji polskiej: w balladowej humoresce o Pani Twardowskiej, w staroszlacheckiej gawędzie o Sicińskim i jego trupie. Obce jest początkowo autorowi „Grażyny" gloryfikowanie przeszłości polskiej, właściwe literaturze ówczesnej, uprawiane przez Niemcewicza, Woronicza, Felińskiego, Brodzińskiego. Pierwsza enuncjacja tego typu jawi się w najboleśniejszym, najstraszliwszym wyrazie patriotyzmu niewoli, w strofach „Do Matki Polki". W tym wierszu, reprezentującym właściwą Mickiewiczowi lirykę sprawozdawczą, rzeczową, wyroczną, podbijającą i przygniatającą przez bezwzględność obiektywnej prawdy, padają słowa niby aureolą dawności opromienione:

Jeśli mu błyszczy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność.

Ci „dawni Polacy" i kontynuujący ich postawę duchową następcy — to owa zbiorowość kapłańska, u której prawd szuka autor „Dziadów" części III, „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa" i wykładu o tym, „gdzie ducha narodowego należy szukać".

„Dziady" drezdeńskie wszakże oparcie o wiekową przeszłość, łączność z dziejami ludzkości, sprawiającą, że słowom Konrada „wieki głucho wtórzą", zawdzięczają przede wszystkim tradycji religijnej. „Boskiej komedii" są bliskie w katolicyzmie, a bezwzględną afirmację wszystkich jego tradycyj stwierdzają stanowczo sceną egzorcyzmowania. Te właśnie tradycje reprezentuje ks. Piotr, ratujący przewodnik duchowy. A jednak — gdy mnich korny, obdarzony imieniem tego, co był opoką nieść mającą gmach Kościoła, głosi proroctwo — jest ono rewolucyjną zapowiedzią nowego chrystianizmu, nowej epoki religijnej, o której marzono w czasach romantyki. Wznawiano wtedy przecież idee joachimizmu średniowiecznego o Kościele Ducha Świętego, który nadejdzie po starotestamentowym Kościele Boga Ojca i po Kościele Chrystusowym.

Kościół zaś, którego „ogromy" zbuduje zapowiedziany mąż „czterdzieści cztery", nowy Adam i nowy Mesjasz[1]), to kościół wolności. „Namiestnik wolności na ziemi widomy" — tak nazwany jest zbawca, którego życie „trud trudów", a tytuł „lud ludów". Jednoczą się dwa wyrazy dla ówczesnych postępowców i rewolucjonistów najbogatsze w treść ideową i uczuciową: wolność i lud. Zapowiedziana zostaje, zgodnie z finałem „Ody do młodości", nowa epoka w życiu Polski i świata. Ustęp „Dziadów" części trzeciej wieści ją również — dla Rosji. „Pomnik Piotra Wielkiego" kończy się pytaniem skierowanym w przyszłość i jasną odpowiedź mieszczącym: „I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?", a gdy Oleszkiewicz prorokuje Petersburgowi katastrofę powodzi, jasne jest, że to jedynie pierwszy cios niszczący, że przyjdzie po nim — katastrofa caratu. A wrażenie przejmujące czyni to dzisiaj, gdy zwrócona do cara groźna apostrofa kończy się słowami: „Słyszę młotów kucie..."

Poemat, będący pomnikiem martyrologii narodowej i narodowego rewolucjonizmu, a w części proroczej ogarniający horyzonty świata całego, nawiązywał do średniowiecznego dramatu religijnego, ukazującego walkę dobrych i złych potęg zaziemskich o duszę grzesznika i przenosił Dantejskie zapasy nieba i piekła na teren dziejowy. Jako dzieło sztuki stanowił nowość niebywałą, rewelacyjną, łącząc reportaż aktualny, wiernie zachowujący fakty i nazwiska, z dramatem duchowym, metafizycznym. Realistyczny i fantastyczny, historyczny i religijny, odpowiadający poetyce romantyzmu i poetyce realizmu, narodowy i wszechludzki, zdumiewający realistycznym kształtowaniem różnych warstw językowych i mocą poetyckiej wizji, w architektonikę swoistą łączący sprzeczne składniki, posługujący się różnorodnością stylów i środków teatralnych — stawał obok „Boskiej komedii" i obok Goethowskiego „Fausta" jako poemat-świat.

Rewolucjonizm i tradycjonalizm najpełniej się zjednoczyły w publicystyce apostolskiego pokroju, która miała ożywić emigrację i naród cały ideowymi zdobyczami autora „Dziadów". „Księgi Narodu" i „Księgi Pielgrzymstwa", z logiki nienormalnego życia polskiego wyłonione jako zwycięstwo fikcji nad wrogą rzeczywistością europejską, podane były jako rzekomy twór kolektywny, z trwałości tradycyj polskich dobyty.

„Te są Księgi Narodu i Pielgrzymstwa polskiego, nie wymyślone, ale zebrane z dziejów Polski i z pism, i z opowiadań, i z nauk Polaków, ludzi pobożnych i poświęconych za Ojczyznę, Męczenników, Wyznawców i Pielgrzymów".

Łącząc, śladem Lamennais'go, sprawę wolności i sprawę Boga w jedność nierozdzielną, uznając, zgodnie z Lelewelem, że rozszerzenie wolności osobistej, społecznej i politycznej i jej obrona stanowią sens istotny dziejów Polski, i przekonany o ścisłym związku losów Polski z losami świata (ściślej: z losami Europy) — Mickiewicz uczynić chciał „pielgrzymów" polskich apostołami i naczelnymi szermierzami rewolucji, mającej obalić wszelki despotyzm i reakcję i zapewnić tryumf wolności. Ogólnoeuropejskie, zwłaszcza wolnomularskie przeświadczenie o bliskim odrodzeniu ludzkości, mogło w związku z ustalającą się idealizacją charakteru polskiego wieść do myśli, że Polsce wyznaczona jest w owym odrodzeniu misja specjalna. Misji tej politycznej i religijnej odpowiada nazwa nadana wygnańcom polskim: udostojnione przez tradycję chrześcijańską miano pielgrzymów, zmierzających ku świętej ziemi wolności, modlących się „o wojnę powszechną za wolność ludów", solidarnych ze wszystkimi, którzy w Europie przygotowują rewolucję. To podkreślały zwłaszcza artykuły polityczne ogłaszane w „Pielgrzymie Polskim".

Sądził Mickiewicz, że Europa iść musi ku przyszłości poprzez kataklizm, poprzez zburzenie gwałtowne dotychczasowego układu stosunków. Ale w kataklizmie funkcję burzenia pozostawił innym narodom — bo przecież na to, by obcy ustrój burzyć, Polacy nie mają środków należytych, a w społeczeństwie własnym, co zawsze szło ku wolności i równości, burzyć nie mają czego. Postulat wolności społecznej i równości tkwi zdaniem poety-mesjanisty w polskim instynkcie zbiorowym, w polskiej „myśli powszechnej", w wiekowej polskiej tradycji. Na tej właśnie podstawie autor „Ksiąg" godzi w swym programie tradycjonalizm i rewolucjonizm.

Sięgnięcie do tradycji żywej, trwającej wśród masy szlacheckiej, do tego skarbca, w którym kazał „szukać ducha narodowego", tkwi u podstaw „Pana Tadeusza". Z umiłowaniem i z żalem serdecznym wraca poeta myślą pamiętającą do „kraju lat dziecinnych". Tworząc pod wpływem żalu za minioną rzeczywistością narodową i regionalną, nie jest lirykiem pragnącym jedynie uczuciu swemu dać wyraz; jest epikiem, który wobec tęsknoty za ową rzeczywistością postanowił ją utrwalić na zawsze. Niech żyje przynajmniej w pieśni, co musi zginąć w życiu.

Dał zaś nie tylko przekrój życia warstwy istotnej narodu; użyczył mu dynamiki rozwoju postępowego, odsłonił logikę przemiany w

[1]) Imię „czterdzieści cztery" jest kabalistycznym określeniem Adama-Mesjasza.

JAN HUSZCZA

Nad „Panem Tadeuszem"

„...Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono,
Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną..."
Książka leży na stole, nad chłopcem się schylił
Cień w płaszczu romantycznym.
I oto w tej chwili
świecą liście brzozowe zagajników częstych,
organy gdzieś w kaplicy grają nabożeństwo,
sypkie włosy oplotły bławatki i ruta,
jest w rozmowach serdecznych śpiewna, drżąca
[nuta,
zaś tam dalej na lewo, na brzegu jeziora
młody strzelec z dziewczyną, spotkani przed-
[wczoraj...
Lecz to wynik zmęczenia, lecz to już z ballady
ów bór gęsto szumiący, księżyc we mgle blady,
nie wiadomo dlaczego tuż obok łan zżęty,
ciekawe, skąd automat?
Pachną dzikie mięty,
spójrz, znowu twarz znajoma, to Maryla przecież,
a ta druga to Zosia, tylko że w zamieci,
tylko czemu surowa, ongiś raczej płocha,
widać, że gdzieś cierpiała, ślad na twarzy szlochu,
co tu robi w mundurze i w żołnierskim płaszczu,
skąd do Bartka Prusaka te armatnie jaszcze?
Dlaczego smutny Hrabia dziś bez Telimeny
i wygląda jak aktor, co schodzi ze sceny?
A tam rączki ku niebu wznosi jakieś dziecko,
zaś matka obok martwa pod butem niemieckim,
nad wiejską nocą wyżej łuna wschodzi krwawa...
jakby odejść w tem miejscu, sny się śnią czy jawa?
Ach, dobrze, że topole tłem domowi służą,
przed jesieni wiatrami chronią go i burzą,
że z miast krewniak Tadeusz po naukach
[przybył...
i że świeca dogasa, już srebrnieją szyby,
brzask muska ciemność grząską, trzeci pieje kogut.
Jest książka, stół i chłopiec. I więcej nikogo.

JULIAN PRZYBOŚ

Uwagi o Mickiewiczu poecie

Któż może znać się lepiej na poezji niż poeta. Prawda — często wielcy twórcy nie byli czuli na piękno cudzych arcydzieł — Mickiewicz nie odczuwał Słowackiego — ale nie było wielkiego poety, który by nie miał doskonałej samowiedzy swojej sztuki poetyckiej.

Jeśli, mając to na uwadze, weźmiemy do ręki dzieła poetyckie Mickiewicza, uderzy nas, że wertując tomik po tomiku tak, jak się ukazywały za życia poety, trafimy w każdym z nich — w każdym bez wyjątku — na wyznania Mickiewicza o poezji: o jej źródłach, o jej roli, o jej mocy, o stosunku fikcji poetyckiej do rzeczywistości i o samym procesie twórczym. Sądzę, że żaden z poetów polskich (oprócz chyba Norwida, którego dociekania wiodły nieraz na manowce) nie wypowiedział się szerzej i prawdziwiej o swojej poezji niż Mickiewicz.

Nic w tym dziwnego. Wszakże Mickiewicz to w literaturze polskiej największy obok Słowackiego nowator, rewolucjonista środków poetyckich i to rewolucjonista niejednokrotny. Odrzucał raz po raz osiągnięty przez siebie styl poetycki i tworzył nowy, a równocześnie wypowiadał się w studiach teoretycznych jako ukaziciel nowych artystycznych prawd; Mickiewicz to także najbujniejszy wśród poetów polskich teoretyk sztuki poetyckiej. Również na tym polu działalności twórczej przeszedł on całą drogę rozwojową, pełną wstrząsów i załamań, jaką przebyć może pisarz. Od „Uwag o Jagiellonidzie" i komentarzy do Trembeckiego poprzez ataki na klasyków i teorię dramatu słowiańskiego do smutnej i jakże niesłusznej rezygnacji: iż trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

Spośród wypowiedzi Mickiewicza o poezji najbardziej interesują mnie te, w których mówi o pracy poetyckiej, o szukaniu wyrazu, o pisaniu. Pojęcie poezji podlega zmianie z każdym nowym układem społecznym, ale trudności wyrazu, z jakimi spotyka się poeta wszystkich czasów, pozostają na ogół niezmienne. Romantyczne hasło: „Miej serce i patrzaj w serce" stało się z czasem banałem i ograniczeniem, ale wyznania wielkiego poety o jego borykaniu się ze słowem pozostaną zawsze przejmującą prawdą.

Mickiewicz dwa razy w ciągu swego twórczego życia wypowiedział się mową wiązaną o tworzeniu poetyckim — obydwa razy w improwizacjach. Tylko że pierwszym wyznaniem twórczym rozpoczął najwyższy swój wzlot poetycki w „Dziadów" części III, a drugie złożył wtedy, kiedy już zrezygnował z poezji. Ale zapowiedzi rezygnacji można się dosłuchać już w Wielkiej Improwizacji na szczytach samopoczucia poetyckiego. Bo w tych wyznaniach poety o tworzeniu tkwi dziwna sprzeczność: obok poczucia najwyższego mistrzostwa i najwyższej dumy twórczej — skarga:

„Czym śpiewak dla ludzi?"

rezygnacja: „Wam, pieśni ludzkie oczy, uszy niepotrzebne!" i romantycznie błędne przekonanie, że samo niewypowiedziane słowami natchnienie starczy za pieśni:

„Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nad-
[niebne".

Ale gdy Mickiewicz mówi o swym mistrzostwie poetyckim, wtedy przemawia miłośnik słowa daleki od rezygnacji z pełnego władztwa nad nim. Wtedy, wbrew twierdzeniu, że „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie", mówi o słowie wypowiedzianym, słowie nie kłamiącym ani językowi, ani głosowi, ani myśli. I mimo że uciekając w samotność od ludzi wzniósł obraz myśli wcielonych w słowa w bezmiar kosmiczny, mimo to czujemy, iż wtedy właśnie rozbrzmiewa najszczersze wyznanie pisarza, człowieka kochającego pracę nad słowem.

Jak rozwiązać tę zagadkową sprzeczność? Arcymistrz — zrzeka się twórczości? Najświetniejszy realizator natchnień — zdaje się na łaskę niewyrażonego natchnienia?

Pomijam problematykę filozoficzno-idealistyczną, przejawiającą się w Improwizacji, niczego istotnego tutaj nie zdoła ona wyjaśnić. Czuję, że w pierwszych zdaniach Improwizacji spowiada się najgłębsza istota poety, że mówi je pisarz, który powielokroć doświadczył, który dogłębnie przeżył zagadnienie tworzenia poetyckiego. Czy zagadnieniem tym jest dualizm myśli i słowa, uczucia i wyrazu?

Posłuchajmy świeżym uchem, co mówi poeta:

„Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl
[wysłucha?
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi,
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach
[złamie..."

Mickiewicz mówi tu ze zwykłą sobie ścisłością i jasnością o jakiejś słyszalnej i widzialnej myśli. Ta słyszalna i widzialna myśl leci z duszy bystro, dopóki się nie złamie w słowach, natknąwszy się na dwie przeszkody: na język i na głos.

Co to za myśl? Nie jest to myśl w znaczeniu logicznym, ani nie jest to przenośnia o dobieraniu słów do określonej treści pojęciowej. A więc co? Jest to coś, co można by nazwać myślą poetycką, poezją in statu nascendi. Zdaje mi się, że Mickiewicz na sto lat przed najnowszymi badaniami z dziedziny teorii twórczości sięgnął w swej introspekcji do samego dna, do źródła, z którego tryska twórczość. Na odkryciu swego rodzaju spontanicznej czynności psychicznej, niezależnej od świadomej woli artysty, oparto ostatnią szkołę poetycką we Francji. Tę spontaniczną aktywność psychiczną usiłowano wyzwalać nową metodą pisania, biedzono się nad uchwyceniem momentu narodzin owej przedmyśli. Odpowiednikiem tych usiłowań wydaje mi się w dziedzinie psychologii języka najnowsza teoria o wewnętrznym słyszeniu słowa przez poetę. Nie jest to, zanim słowo zostało wypowiedziane, wyobrażenie słuchowe słowa, lecz jakby jego załążnia słuchowo-ruchowa. Jest to napięcie kierunkowe danej mowy ku dwu zmysłom ekspresji: ku zmysłowi słuchu i mięśniowo-ruchowemu wtedy, gdy poeta pragnie uchwycić niewypowiedziane zjawisko. Słowo słyszane wewnętrznie nie zawsze musi się pokrywać ze słowem mówionym i właśnie wtedy, **gdy się kłóci ze zwykłym słownikowym wyrazem**, a jednak jest wewnętrznie „słyszalne" — a cóż dopiero, gdy jest „widzialne" — wtedy właśnie jest ową „myślą poetycką", zaczątkiem tej pieśni, której całą myśl jaki człowiek wysłucha? Tylko poeta słyszy ją i widzi całą.

Mickiewicz w Improwizacji „sam śpiewa w sobie, śpiewa samemu sobie". I ta właśnie pieśń bez słów, ta pieśń, którą słyszy **„w duszy swej wnętrznościach"** i którą widzi świecącą, ona właśnie daje mu najwyższe poczucie własnej mocy twórczej. Gdy jednak poeta pragnie dać dokładny obraz swej pieśni, rzutuje ją z własnego wnętrza na zewnątrz i wtedy przemawia Mickiewicz-pisarz, układacz wierszy, Mickiewicz lubownik i znawca wszystkich sekretów słowa. Posłuchajmy jeszcze raz, lecz uważnie, posłuchajmy nowym uchem tych zdań:

...te myśli dobywam sam z siebie.
Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie, czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was, me dzieci wieszcze!
Myśli moje! Gwiazdy moje!
Czucia moje! Wichry moje!

Oto, jak odczuwał swą „pieśń-tworzenie" Mickiewicz. Z doskonałą ścisłością i zwięzłością, bez uciekania się do pomocy porównań i obrazów definiuje akt twórczy jako **wcielanie owej myśli poetyckiej w słowa**. Nie jest to dobieranie i przymierzanie słów do pojęć tak, jak się to czyni w prozie — **to zamienianie wewnętrznie słyszanej i widzianej myśli w ciało**. Słowa przestają być dźwiękiem tylko, nabierają właściwości substancji, stają się rzeczami. Znika rozbrat między rzeczą a jej nazwą, spełnia się niedościgłe marzenie wszystkich poetów: aby nie opisywać, nie opowiadać, nie obrazować, nie krążyć słowem około jakiegoś zjawiska, ale aby je — raz na zawsze — **powiedzieć**, aby je **spełnić**. Żeby słowo stało się równoistnością rzeczy, żeby się utożsamiło z rzeczą. W takim napięciu twórczym okrzyk: „Myśli moje! Gwiazdy moje!" „czucia moje! wichry moje!" — przestaje być hiperbolą, staje się wierną formułą odczucia słowa.

Powie ktoś, że w takim stosunku do słowa jest coś z magii, z magicznej wiary w moc niezwykłą słowa. Słowem przecież błogosławiono i przeklinano, słowem magicznym zabijano i uświęcano. Nie sądzę. Guślarz wierzy w działanie swojego „hokus-pokus", swego niezwykłego słowa, poeta słowo poetyckie **realizuje**.

Jak realizuje? Takie słowo **zrealizowane**, jedyne dla każdej myśli poetyckiej, to nie tylko pojęciowa obwódka, słownikowa nazwa, to nie tylko dźwięk. Myśl poetycka tak musi się rozkrzewić we wrażliwości poety, tak wróść we wszystkie zmysły, że wcielona w słowo i dźwięczy, gra, i płonie i świeci, nabiera ruchu, leci, toczy się, jak rzecz okrągła, staje się dotykalna i podatna pieszczocie dłoni. Wszystkie zmysły uczestniczą w tej kreacji poetyckiego słowa. Zdania Mickiewicza, które zacytowałem, mówią o tym z niedościgłą precyzją. Bo też język prawdziwej poezji jest mową najwyższej zwięzłości, mową odkrywczą, nie dopuszczającą dowolności. Prawdziwy poeta nie zmyśla i nie obgaduje swoich uczuć, on swoje uczucia formułuje.

Jest wśród tych zdań Mickiewicza kilka, które podają wielkie odkrycie poetyckie tak zwięźle, że stają się już doprawdy nieprzetłumaczalne na język prozy. Spróbujcie opowiedzieć prozą, jaką prawdę wyraża poeta, gdy mówi o dźwięku słowa:

„A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,
Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr, gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku"

Trzeba by długo opisywać, żeby wyczerpać treść doznania, jakie kulminuje w tym, że **dźwięk widzi się w szacie obłoku**. To są szczyty odkrywczości poetyckiej nie osiągane przez nikogo przed Mickiewiczem.

Zjawisko „słyszenia barwnego" (l'audition colorée) znane było, być może, niektórym dawniejszym poetom, ale nikt nigdy przedtem nie wypowiedział z taką ścisłością i dlatego tak pięknie prawdy psychologicznej, nazwanej potem synestetycznym odczuciem słowa; nikt zatem przed nim tak nie czuł. Słowa dla Mickiewicza miały nie tylko barwę, odczuwał je **nie tylko uchem i okiem, ale i wszystkimi innymi zmysłami**. Aby pojąć prekursorstwo Mickiewicza, wystarczy sobie uprzytomnić, że „l'audition colorée" słowa stało się przedmiotem badań dopiero w drugiej połowie XIX wieku, że słynny sonet Rimbauda „Les voyelles" powstał 40 lat później i że z takiego odczucia walorów zmysłowych mowy budowała się estetyka poezji francuskiego symbolizmu!

Tak, to był istotnie zenit poetycki Mickiewicza. Nigdy nie czuł, jak w tej chwili, wtedy właśnie **przesiliła się** jego moc twórcza. Przekonał się **o niewystarczalności słowa**, o tym, że słowem nawet najbardziej nabitym miąższem rzeczywistości nie zastąpi się działania, że samym słowem nie można „zwalać tronów". W Mickiewiczu załamała się poetycka wiara we wcielające się słowo, w słowo — rzecz, ta wiara, którą żyła jeszcze poezja całego XIX wieku. I on, wielki rewolucjonista poetycki, zamilkł i drugą część swojego życia poświęcił działaniu, stał się rewolucjonistą tout court.

Ze świadectwa samego poety wiemy, że miał potem jeszcze jeden taki wielki moment w życiu, w osiem i pół lat później, dnia 25 grudnia 1840 r. Wtedy to w czasie uczty wydanej na jego cześć w Paryżu, wyzwany przez Słowackiego improwizacją, odpowiedział Mickiewicz z natchnieniem, jakiego nie czuł — jak stwierdza — od czasu pisania „Dziadów".

Ale improwizacja z 1840 roku to dokument wątpliwy, niezapisana w całości, niedrukowana za życia poety, nie posiada jego sankcji. To co Mickiewicz sądził o tworzeniu poetyckim, wypowiedział najlepiej w najlepszym swoim dziele, w szczytowej scenie tego dzieła, w improwizacji z „Trzeciej części Dziadów".

Lecz podczas gdy Improwizacja z „Dziadów części III" jest improwizacją tylko z nazwy, a w istocie stanowi rezultat wytężonej pracy literackiej, ta druga wypowiedź Mickiewicza o tworzeniu poetyckim jest istotnie utworem ex improviso. Niestety całej improwizacji nie zapisano. Znany jest tylko urywek..

Znamienne, że i ta improwizacja mówi o tworzeniu poetyckim. Widać w momentach, kiedy poeta skupiał całą siłę duchową, by narzucić otoczeniu swój autorytet, wtedy cisnęły mu się na usta wyznania o jego pracy twórczej. Widać ta praca twórcza, ów „trud trudów" uprawniała go do uważania się za wskrzesiciela narodu, za męża wyjątkowego, nazwanego imieniem „czterdzieści i cztery". Lecz w ostatniej improwizacji Mickiewicza nie ma ani słowa o trudzie twórczym, nie ma skarg na samotność, na to, iż nikt z ludzi nie zdolny jest wysłuchać z pieśni całej jej myśli. Wręcz przeciwnie

„Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów
[wytryśnie,
A jeśli na tym prądzie iskra boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu ani płód marzenia:
Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia;
Niem widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem
[rządzę,
Niem silny, grzechy nasze i przyszłość osądzę"...

Są w tej improwizacji akcenty, które przywołują na pamięć wyznania poety z III części „Dziadów". Gdy mówi o chwytaniu myśli i rządzeniu czuciem, poznajemy go po głosie. Ufamy także jego słowom, gdy powiada o zdroju słów, wytryskających z piersi. Jest w tym obrazie żywa reminiscencja dawnych doznań zmysłowych wartości słowa. Ale trudno uwierzyć pierwszemu dwuwierszowi. Czyżby wszystko napisał poeta tak bez wysiłku, bez dobierania rymów i składania zgłosek, wszystko? Chyba tylko w szczytowych momentach natchnienia, uderzywszy w piersi, wyzwalał wezbrany zdrój słów. A właśnie ta ostatnia mickiewiczowska improwizacja była — jak sam stwierdził — taką wyjątkową chwilą. Nic więc dziwnego, że uległ złudzeniu łatwości.

Rzut oka na drogę stylotwórczą Mickiewicza wystarczy, żeby się przekonać, iż droga ta nie była ani prosta, ani łatwa. Zachowany brulion „Sonetów krymskich" świadczy o mozolnej, zaciekłej pracy nad wierszem, o wybrednym doborze słów, o ważeniu na wadze czułej wrażliwości każdego odcienia obrazu. Co więcej — sonety świadczą o składaniu zgłosek — tak, zgłosek zestawianych poszczególnych słów. Bruliony „Pana Tadeusza" nie potwierdzają tego świadectwa. Mało kreślone czynią wrażenie, że Mickiewicz nie pisał lecz mówił swobodnie jednym, z rzadka tylko przerywanym nurtem. Warsztat poetycki w „Panu Tadeuszu" to wynik długoletniej ewolucji. Dla mnie stanowi on zagadnienie odrębne.

Zdaje mi się, że nie dosyć uwydatniono w historii literatury fakt, iż Mickiewicz to poeta nie tylko romantyczny, ale i pseudoklasyczny, autor zarówno wiersza „Romantyczność" jak i wiersza „Zima miejska". Bagatelizowano n

---

trzech przestrzeniach czasu. Obok aktualności momentu obranego wprowadził różną od niego przeszłość niedawną i błysk światła rzucił w perspektywę przyszłości. Drugi, miniony plan życia narodowego odsłania się we wspomnieniach Jacka, Gerwazego, Sędziego, Wojskiego: przeszłość szlachecko-magnacka, ustrój oligarchiczny chylącej się do upadku Rzeczypospolitej. W chwili „ostatniego zajazdu" władztwo magnatów jest według „Pana Tadeusza" okresem zamkniętym — zgodnie z faktem, że upadkowi państwa towarzyszył koniec gospodarczej, politycznej i kulturalnej potęgi magnackiej. Dokonana ewolucja jest demokratyzacją, ale realizuje na razie tylko zasadę ustrojową dawnej Polski; prawdą, a nie frazesem czyni równość szlachecką: demos polski — to ogół szlachty od „panów" do schłopiałej masy z zaścianków. Rozwój iść ma dalej, ma rozszerzyć naród poza wszelkie klasowe granice. Śmiało poeta w obręb narodu włączył Jankiela, co „Ojczyznę jako Polak kochał". Jako program zaś, częściowo już realizowany przez Tadeusza i Zosię, wskazał problemat najistotniejszy demokratyzacji i unarodowienia ogółu — sprawę pracującego ludu wiejskiego.

Skreślił obraz naturalnego dokonania przemiany w stosunku do niedawnej jeszcze przeszłości magnackiej — zapowiada też spokojne przejście do pełnej demokratyzacji, bez ostrej walki klasowej. Ma to być owo udzielenie wolności coraz szerszym warstwom, które twórca epopei uważał za logikę ustroju polskiego.

Jest rzecznikiem tej demokratycznej przyszłości — on, którego najgorętszym marzeniem było, żeby księgi jego „zbłądziły pod strzechy". Nad szlachecką przeszłością zajść każe słońcu. Ludzi tej przeszłości nie idealizował — właśnie dlatego, że ich kochał; ukazał ich ze wszystkimi zaletami i ze wszystkimi, nieszkodliwymi już we wspomnieniach, śmiesznościami i wadami. Zrozumiał, że minęli. Ale nie chciał, by minęli bez śladu. Chciał, by ciągłość tradycji w przyszłość nową, lepszą, upragnioną, przeniosła wszystkie walory przeszłości.

Gdy zaś z katedry w Collège de France rewolucyjnie głosił nadchodzenie czasów nowych, gdy wieścił nową wiarę — wtedy, na podobieństwo innych mistyków, głęboko był przeświadczony, że wierny jest wiekowej tradycji religijnej, i mocno też wierzył, że prawdy, które wyznawał, tkwiły od wieków w zbiorowej psychice polskiej.

Nie zmienił postawy w „Trybunie Ludów", solidaryzującej się ze wszystkimi rewolucyjnymi ruchami narodów spragnionych wielkiej przemiany, ze wszystkimi dążeniami, zmierzającymi do dania praw należnych i odpowiednich warunków bytu masom najszerszym. Zgodność z tradycją religijną stwierdzał głosząc chrześcijański socjalizm.

Nie było w jego stosunku do rewolucjonizmu i do tradycjonalizmu nic z kompromisu, obcego twardej, bojowej naturze poety. Nie było nic z oscylowania między sprzecznościami. Ogarniał harmonią potężnego umysłu twórczego obie uprawnione dążności, z których jedna wiedzie ku przemianom koniecznym, druga stwarza solidarność między pokoleniami i przekazuje nowym generacjom skarby zdobyte. Ogarniał oba bieguny przeciwne, gdyż była w nim pełnia życia.

Juliusz Kleiner

wcześniejszy okres pisarstwa Mickiewicza, bo on sam radykalnie na pozór z nim zerwał. Ależ w dziejach kształtowania się stylu Mickiewicza dostrzec można niejeden taki przełom. **Język „Sonetów krymskich“ jest równie ostrym przeciwieństwem języka ballad, jak język pseudoklasycznej „Zimy miejskiej“.**

Mickiewicz długie lata terminował u klasyków, najpierwsze trwałe wrażenie poetyckie związał z poezją Trembeckiego i Niemcewicza. „Zima miejska“ i bajki dowodzą, że doszedł w tym stylu do doskonałości, do tego stopnia, kiedy zaczyna się igrać z trudnościami.

Uczeń Groddecka i Borowskiego zgruntował poetyki klasyczne, przyswoił je sobie nie tylko teoretycznie ale i praktycznie: w sposobie formowania obrazu poetyckiego, w zestawieniu słów. Tłumacz „Ody do Pryska“ realizował zasadniczy postulat Horacego wysunięty w liście do Pizonów: poeta powinien tak zestawiać słowa, żeby zajaśniały nowym blaskiem. W języku poetyckim chodzi o to, aby wyrazy przy spotkaniu dziwiły się sobie.

Ta podstawowa prawda o mowie wiązanej równie prawdziwa dwa tysiące lat temu, jak dzisiaj, uwodziła pseudoklasyków, uwodziła romantyków i dziś jeszcze uwodzi wielu, że dziwienie się sobie wyrazów można wywołać niezwykłym tematem. A tymczasem o poetyckości decyduje nie temat lecz gatunek języka, taki mianowicie, w którym dzięki artystycznemu zestawieniu wyrazy nabierają świeżego blasku, w którym dziwią się sobie przy spotkaniu. Lecz zdziwienie jest chyba najpłochliwszym z uczuć. Najniezwyklejsze zestawienie słów przestaje po pewnym czasie oświecać język owym horacjańskim blaskiem. Jakiegoż olśnienia musiał doznać Mickiewicz po napisaniu pierwszej swojej ballady. Najzwyklejszy, **codzienny język** nabrał w jego ustach zdolności poetyckiego zadziwiania. Ale rzecz ważna — odkrycie zwykłej mowy codziennej nie zatarło w nim poczucia stylu złożonego, tropicznego, takiego jakiego się uczył przez długie lata szkoły. I tę dwoistość metody w kształtowaniu poetyckiej mowy śledzić można w dziejach pisarstwa Mickiewicza do końca jego życia: **język mówiony i język pisany,** prostota i komplikacja współistniejące a niekiedy splatające się w swoista jednię mickiewiczowskiego stylu. Obok ballad „Warcaby“ i „Grażyna“, obok „Popasu w Upicie“ — „Sonety krymskie“. Porównajcie na koniec łacińska odę do Napoleona III (możnaby się w tym dopatrzeć symbolu: starość poetycka cofa się do swego dzieciństwa: do szkolnej muzy łacińskiej) z takim urywkiem mówionym zwyczajnie, niemal niedbale, jak wiersz: „Ach, już w rodzicielskim domu byłem złe dziecię“... pochodzącym z tego samego czasu.

Drugim okresem ostrzenia narzędzi poetyckich, epoką nowego stylotwórstwa tak bujną i tak przełomową, jak lata kowieńskie, były dwa lata odesko-moskiewskie 1825—1826. Dorobek poetycki kilku miesięcy pobytu w Odessie i na Krymie jest tak bogaty artystycznie i tak różnorodny, jak żaden inny w twórczości Mickiewicza — oprócz jednego jedynego, owocu owych najszczęśliwszych natchnień 2 miesięcy drezdeńskich. Arcypoemat „Dziadów Część III“, sam będąc odkryciem najwyższym, wzbija na szczyt te środki wyrazu, jakie Mickiewicz osiągnął już w Odessie.

Był to okres skrzętnego gromadzenia zasobów z wielu skarbców artystycznych, czas wszechstronnego rozkwitu mickiewiczowskiej sztuki poetyckiej, żarliwego dążenia do wirtuozostwa. Poeta, w którego mowie płynęły i łączyły się dwa główne nurty: retoryczny, obrazowy i prostotliwy, sentymentalno-balladowy, próbuje form różnorodnych, wypracowuje język wielostylowy. Proszę tylko zestawić tak odrębne utwory, jak elegię miłosną „Godzina“ ze zjadliwym, świetnym wierszem p. t. „Zaloty“, bajkę „Pchła i rabin“ z sonetem „Ranek i wieczór“, język najwyższego patosu w „Czatyrdahu“ z gawędą „Popasu w Upicie“, piosenkę „Czyn“ z piosenką „Moja pieszczotka“. Cóż, że dorobek ten ilościowo jest szczupły — jakościowo, artystycznie jest on niezwykle bogaty. O usilnej i świadomej dążności poety do wszechstronnego wirtuozostwa świadczy też różnorodność przekładów z dawnych i współczesnych mistrzów. W tych latach tłumaczy Mickiewicz Petrarkę i Berangera, Dantego i Szekspira, Goethego i Tomasza Moora, Puszkina i poemat serbski „Morlach w Wenecji“, składa trybut orientalizmowi w „Szanfarym“ i „Almotenabbim“.

Na czoło twórczości tych lat wybijają się „Sonety krymskie“. W dziesięć lat po napisaniu „Zimy miejskiej“ podjął poeta tę samą, zdawałoby się, ideę poetycką, ale jak inaczej. Ideę tę można by określić tak: mowa poetycka to mowa obrazowa. Wystarczy jednak zestawić strofę „Zimy miejskiej“ ze strofą „Mogił haremu“, aby zrozumieć, że obrazotwórstwo poetyckie sonetów dzieje się na wielokrotnie wyższym zakręcie tej samej poetyckiej drogi:

„Ten w lśniący kryształ włożywszy oblicze
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści,
Drugi stambulskie oddycha gorycze
Lub pije z chińskich ziół ciągnione treści“.

To cytat z „Zimy“. A oto z „Mogił haremu“:

„Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allaha; tu perełki wschodu
Z morza uciech i szczęścia porwała za młodu
Trzna, koncha wieczności, do mrocznego łona“.

Obie te strofy są wyrazem tej samej pasji stylistycznej i obie są **przerysowane,** obie ocierają się o karykaturę. W obu chodzi o powiedzenie inaczej niż w mowie prozy. W obu chodzi o przemienienie języka, o wywołanie tego dziwienia się wyrazów, o którym wiedzieli już starożytni. Ale strofa z „Zimy miejskiej“ składa się z samych peryfraz, strofa „Mogił haremu“ z samym metafor. Bo w języku sonetów chodziło Mickiewiczowi o obraz nade wszystko, a metafora jest bardziej obrazowa.

Poeta kierował się metodą, którą nazwałbym podwajaniem widzenia, dwoma zdjęciami na tej samej kliszy. Wiedzie ona swój rodowód z porównania. W obrazowaniu dochodzi Mickiewicz do barokowej komplikacji. Przykład: pierwiastkowy pomysł: stepy = ocean rozrasta się, rozgałęzia w szczegóły, jedno widzenie przesuwa się przez drugie, jak okna dwóch pociągów mijających się w biegu. Ale w widzeniu gór w „Czatyrdahu“ i w innych sonetach poeta nie zachowuje dwóch planów widzenia. Jest ich kilka zmieniających się chyżo i tylko częściowo rozprowadzonych w szczegóły. Był tu Mickiewicz o krok od poliptyku widzeń rozbijającego co prawda jednolitość obrazu, ale otwierającego nowe możliwości układu, o krok, możnaby rzec, od poetyckiego asocjacjonizmu. Konkluduję: „Sonety krymskie“ są metą długiej drogi rozwojowej. **W sonetach osiągnęła swój zenit idea poezji-obrazu, osiągnęła swój zenit i stoczyła się w sztuczność.** Nie podobna iść dalej tą drogą po Mickiewiczu. Jakże blade, jak mizerne wydają się chwalone niegdyś i zestawiane z mickiewiczowskimi „Sonety tatrzańskie“ Franciszka Nowickiego. Dopiero najlepsze próby najnowszej poezji polskiej wspierając się raczej na wynalazkach poetyckich Słowackiego uwolniły się, być może, spod miażdżącej sugestii mickiewiczowskiego obrazowania.

Osiągnąwszy w okresie pobytu w Rosji mistrzostwo w różnych stylach i rodzajach mowy poetyckiej zabłysnął nim Mickiewicz w „Dziadów części III“. Część III „Dziadów“ — to szczyt, szalony, genialny arcytwór poetycki. Ileż z tego arcydzieła wysnuć by można objawień poetyckich. Mówi w nim Mickiewicz wszystkimi językami poezji, wyraża w nim wszystkie światy fantazji i rzeczywistości. Tyle pisano o „Dziadach“, a raczej około „Dziadów“, ale nie czytałem dotychczas książki o poezji w „Dziadach“. Książka taka musi być napisana.

Ja zacytuję samego Mickiewicza: „Różnorodne pojęcia poety wpłynęły na formę i styl „Dziadów“. Dlatego też znajdujemy tu opowiadania w starym stylu biblijnym, liryczne hymny, piosenki studenckie, kolendy Bożego Narodzenia, złośliwe wiersze, zwrócone przeciw moskiewskiemu carowi; jednym słowem jest to nieustanna zmiana tonu i rytmu“ — nieustanna zmiana tonu i rytmu, ustawiczny ruch stylów i języków poetyckich, a tak mądrze, tak niezłomnie kierowany wolą olśniewająco nowej konstrukcji artystycznej, iż wobec układu „Dziadów“ — nawet kompozycja „Pana Tadeusza“ wydaje mi się mniej doskonała. Tak, „Dziadów część III“ to dzieło najbardziej warte czytania i — studiowania, najwyższy wzlot poety, **największe jego arcydzieło,** jak to słusznie osądził najlepszy znawca poezji Mickiewicza — Adam Mickiewicz.

Wobec przepaścistych trudności, pokonanych zwycięsko w „Dziadach“ drezdeńskich, jakże maleją wszelkie inne trudności poety, jak Mickiewiczowi łatwym wydał się w pisaniu „Pan Tadeusz“. Pisał go w złych warunkach, często niedomagając, dwukrotnie odrywany od pracy — raz na kilka miesięcy, gdy wyjechał pielęgnować śmiertelnie chorego przyjaciela. I gdy czytamy relację Zaleskiego, jak wysłany przez grono przyjaciół niespokojnych o zdrowie poety, spotkał go wracającego z pogrzebu Gorczyńskiego — nad „Panem Tadeuszem“, rozumiemy, że „Pan Tadeusz“ był dla Mickiewicza ukojeniem, wytchnieniem i zabawą. Pisał go, jakby dla nabrania tchu, bo duch go porywał ku dalszym częściom „Dziadów“.

Pisał „Pana Tadeusza“ zaiste „tak jak gadał“, językiem opanowanym artystycznie w „Ustępie“ „Dziadów“ części III, a wysłuchanym ze setek ust gawędziarzy szlacheckich. Język ten ma tok mowy mówionej, w niektórych miejscach pierwszych trzech ksiąg jeszcze nieco sztywny, od księgi czwartej nabiera wartkości i zwrotności. Jak się to zwykle dzieje w każdej mówionej opowieści, dochodzi do największej żywości w pewnych określonych miejscach: w VII i IX księdze. Bo też „Pana Tadeusza“ można uważać za powieść, a w powieści obowiązuje język mówionej prozy. Ale „Ostatni zajazd na Litwie“ skupił w sobie tyle najlepszych tradycji epopeicznych od „Iliady“ do „Don Kichota“, że stał się zaiste ostatnią epopeją w Europie.

Od zwykłego romansu odróżniają „Pana Tadeusza“ głównie dwie sprawy: szeroki obraz obyczajowości i szeroki obraz przyrody. Przyroda w „Panu Tadeuszu“ pełni jak gdyby funkcję świata bogów w „Iliadzie“, współczuje i współdziała z ludźmi. I ciekawa rzecz, gdy Mickiewicz przystępuje do opisów przyrody, porzuca tok zwykłej mówionej mowy, język swój przesyca porównaniami i personifikacjami, wraca do mowy obrazowej. Wyjątkowo tylko znaleźć można w „Panu Tadeuszu“ krajobraz, który by, jak opis dworku soplicowskiego był zrobiony nieozdobnym, sprawozdawczym stylem. Rzuca się w oczy maniera uczłowieczania świata przyrody, ustawicznego uosabiania. Słońce zasypia westchnąwszy i zasunąwszy firankę obłoku, wschód słońca — to otwarcie się oka nieba spoczywającego na wezgłowiu cieni, drzewa i krzewy biorą się za ręce, jak stojące do tańca panny i młodzieńce wokół pary małżonków: brzozy z grabem; niebo obejmuje po małżeńsku ziemi pierś, nawet dwa stawy — to para kochanków pod strażą starego i gniewliwego opiekuna: młyna, ściskająca się tajemnie dwiema strugami, jak dwiema rękami. Ostatni obraz — w istocie przerysowany i manieryczny — raziłby, gdyby nie intencja humorystyczna autora (pomijam tu wzgląd na analogie ze światem ludzi: gniewający się młyn i Sędzia łający „bałamuta“ Tadeusza). Ta też intencja uprawnia wiele z tych personifikacyj, na przykład ową kapustę co siedzi sędziwa, schylając łysinę itd., itd.

Wydaje mi się, że ilekroć Mickiewicz pisząc „Pana Tadeusza“ odrywał się od opowieści o ludziach, tylekroć z nieodpartą siłą nasuwał mu się antropomorficzny obraz przyrody. Krajobraz robił na kliszy, na której już zdjęto pierwszoplanowy obraz człowieka — ustawiczna personifikacja.

Nie znam w literaturze świata dzieła, które by w takim stopniu, co „Pan Tadeusz“, było nasycone w widzeniu świata, w stylu człowiekiem, które by było tak przeczłowieczone, jak „Pan Tadeusz“.

Jeden z moich przyjaciół skarżył mi się, że jako młody chłopiec nie mógł wyobrazić sobie gaju, opisywanego w trzeciej księdze, bo przeszkadzało mu co chwila szeroko rozbudowane porównanie drzew i krzewów do rodziny ludzkiej, owa dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin, dziadek-dąb, matrony topole itd. Ten sposób widzenia jest tak w „Panu Tadeuszu“ górujący, że jeśli nawet poeta odwraca na kliszy kolejność zdjęć, jeśli świat ludzi obrazuje poprzez świat przyrody (proszę porównać opis ludu litewskiego, słuchającego mszy, w XII księdze) — to wydaje nam się to tylko koniecznym uzupełnieniem, wyjątkiem jakby wynikającym z reguły. Co do mnie — wyznam, że wolę księgi, w których brak opisów przyrody. Za najpiękniejsze uważam te, w których wartki nurt epiczny tak porwał poetę, iż nie dał mu czasu na personifikowanie. Za najpiękniejsze uważam „Radę“ i „Bitwę“.

Po napisaniu „Pana Tadeusza“ nie zamilkł poeta od razu. Pisał dalsze części „Dziadów“, ale rękopis zniszczył. Z utworów ocalałych w papierach pośmiertnych zwracają uwagę niezwykłością wyrazu liryki lozańskie. Trzy: „Nad wodą wielką i czystą“, „Gdy tu mój trup“ i „Polały się łzy“ — są niepodobne do żadnej innej poezji Mickiewicza.

Gdybyśmy słuchając tych przedziwnych wierszy nie wiedzieli z góry, że napisał je autor „Sonetów krymskich“, nie domyślilibyśmy się tego nigdy. Jedynie wiersz „Snuć miłość“ zdradza, że wyszedł spod pióra niezrównanego władcy obrazów. Ale stopniowanie porównań w tym wierszu, wijących się jak wstęgi wzorzyste, jest tak rozległe, że doprawdy wiersz ten robi wrażenie jakiegoś rozkrzewienia, jakiegoś „poematu rozkwitającego“.

Co uderza w lirykach lozańskich? Niezwykła kompozycja, układ, który nazwałbym samorodnie lirycznym, układ wynikły jakby z rytmu samego wzruszenia. W lirykach lozańskich świtały nowe sposoby kompozycji, jakich próbować zacznie poezja europejska dopiero pod koniec ubiegłego wieku. W wierszu „Nad wodą wielką i czystą“ nic z opisu ale jakby szereg zwierciedlących się wzajemnie widzeń. W liryce „Gdy tu mój trup“ dziwnie nie opisowa ale aluzyjna wizja „ojczyzna myśli“ (czyż nie przypominają się tu poezje Maeterlincka?). I wreszcie sam płacz: „Polały się łzy czyste, rzęsiste...“ Liryka najzwięźlejsza a streszczająca całe tragiczne życie poety.

Tragizm tego życia najgłębszy leżał w wyrzeczeniu się poezji. Ten, który miał takie poczucie mocy poetyckiej, że słowem mógłby zwalać i podźwigać trony, ten, którego słowo było wcielonym czynem, zamilkł, aby zwalać trony — działaniem. Lecz działanie to za tragicznego życia poety nie osiągnęło spełnienia.

Julian Przyboś



Zaprzysiężenie podchorążych artylerii — fot. H. Makarewicz



Atak — fot. Edm. Zdanowski

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

Polska i Francja

Związki między Francją a Polską są napozór zupełnie oczywiste. Rzeczywistość była jednakże spłycana długo i konsekwentnie, aż pozostały już tylko słowa i pojęcia, poza którymi nie kryło się nic. Zbyt wiele i zbyt fałszywie deklamowało się o „Francji, naszej drugiej ojczyźnie“ i o „Polakach, tych Francuzach północy“. Umowne znaczki poodklejały się od treści, którą miały oznaczać, i na swój własny rachunek poszły w obieg, jak czeki bez pokrycia. Gdzieś tam parlowano jeszcze po dworach i magnackich rezydencjach wytworną francuszczyzną osiemnastowieczną, gdzieś tam ktoś miał w bibliotece francuskie wydania pisarzy mieszczańskiej epoki Ludwika Filipa, jeszcze ktoś tam jeździł do Paryża i czuł się w nim jak w Polsce, odnajdując w kościołach Montparnasu grób Jana Kazimierza i Ostrobramską towiańczyków, to znów uchylając kapelusza przed pomnikiem Mickiewicza na Place de Varsovie, ale burżua francuski i polski obszarnik stawali się sobie z roku na rok bardziej niechętni i nienawistni. Słyszało się potem poważnych panów zapewniających, że kochają Francję, ale nie znoszą Francuzów. Równie śmiało mogli określić w ten sam sposób swój stosunek do Polski i Polaków.

O cóż bowiem chodzi? Chyba jedynie o dokopanie się i odkrycie tego głębokiego nurtu wewnętrznego, który poprzez dzieje płynie podziemnym tętnem między istotą Polski a istotą Francji, nie dostrzeżony na oficjalnych akademiach w dniu Quatorze Juillet i nie dbający o nie. O doszukanie się owego nurtu, który bić począł równocześnie w sercach encyklopedystów i twórców Konstytucji 3 Maja, który jednakowo ożywiał Kościuszkę i Laffayette'a, który rwał równie spienionym potokiem w Paryżu jak w Warszawie w r. 1830, 1848, 1870 i 1905.

Do tego nie potrzeba nawet zbyt wiele historii.

DZIEJE

Do samego schyłku XVIII wieku tak Francja jak i Polska poddane były rządom dynastycznym, opartym o monopolistyczny udział w nich szlachty rodowej. Stosunki kulturalne między obu krajami, jakkolwiek niejednokrotnie żywe, ograniczały się w istocie do przyjmowania przez dworską arystokrację polską wszechwładnego wpływu w obyczaju, ubiorze i języku francuszczyzny wersalskiej, którą słońce Ludwika XIV promieniowało na Europę. Stosunki polityczne polsko-francuskie sprowadzały się do rozgrywek dynastycznych, w których Polska była stale stroną płacącą. Odbicie tych spraw znajdujemy we wszystkich wolnych elekcjach naszej historii, od pierwszej do ostatniej.

Były tam wprawdzie jakieś rozsądne sugestie mądrego Ludwika XIV, proponujące Polsce odwrócenie oczu od Wschodu i skierowanie ich na Zachód, gdzie narastała siła bitnych plemion germańskich, gotowych zawsze do „Drangu“ w równym stopniu na żyzne ziemie słowiańskie, co ku słonecznym winnicom Renu, Rodanu i Padu. Ale Polska szła ku odsieczom wiedeńskim i kruszyła dalej miecz na Dzikich Polach, nie widząc podnoszącego się pruskiego cienia za plecami.

U schyłku XVIII wieku Francja Ludwika XVI i Polska Sasów i Augusta Poniatowskiego zaprowadzone zostały przez swych władców na skraj przepaści. W tymże czasie w obu krajach poczyna dąć potężny wiatr myśli rewolucyjnej. W Polsce czyta się Encyklopedystów i poglądy ich przyjmują się w najlepszych sercach i umysłach polskich, jak ewangelia społeczna testamentu jeszcze raz odnowionego. W obu krajach narasta równocześnie groźny a błogosławiony proces, zmierzający do uratowania ojczyzny.

Francję Ludwika XVI uratowała od zguby i upadku Wielka Rewolucja, gdy odpowiedzialność za kraj wyrwały z rąk monarchy i dworu ręce ludu, kierowane przez oświecone i postępowe mieszczaństwo. Polski Konstytucja 3 Maja nie zdołała już uratować. Było już za późno i starczyło sił tylko na półśrodki. Te same ciemne siły reakcji, które stworzyły koalicję przeciw Rewolucji Francuskiej, caraty rosyjski, pruski i austriacki, zdołały pochłonąć rewolucję polską i ugasić ją, zanim jeszcze wybuchła. Razem z Kościuszką i jego manifestem na maciejowickim polu padła konstytucja 3 Maja.

Wojny rewolucji i Napoleona rozniosły ideę narodową po Europie. Pamiętać należy, że ówczesna idea narodowa była wolnościowym przewrotem pojęciowym. Nacjonalizm porewolucyjny godził przede wszystkim w ostoję wstecznictwa i reakcji, w Austrię Franciszka i Metternicha. Przeciw niemu też w pierwszym rzędzie zwrócił się legitymizm, Święte Przymierze i państwo policyjne. Zwycięstwo hasel narodowych mogło oznaczać dla Polski odzyskanie niepodległości. Francja napoleońska zdążyła przegrać pod sztandarem cesarskim to wszystko, co Rewolucja Francuska zdobyła pod sztandarem wolności. Przegrała wojnę, wolność ludu Francji i wolność ludów Europy. Jeszcze tylko książę Józef Poniatowski zarobił na popiersie w muzeum wojny i złotem pisane nazwisko na ścianie Łuku Triumfalnego. I koniec.

Taki bowiem jest sens stosunków francusko-polskich, że tylko rewolucyjna walka o wolność wydobywała na jaw prawdziwy obraz związków łączących Polskę z Francją. Rok 1789, 1830 i 1848 zastał rewolucjonistów polskich i francuskich na tej samej barykadzie. Skoro jednak tylko powracała do władzy we Francji reakcja, znów „spokój panował w Warszawie“. Skoro gasła „gwiazda Francji“, mgłą zachodziły oczy i polskiemu orłowi w nią wpatrzonemu, co „lot swój w niebo wzbił“. „L'ordre regne à Varsovie“ było płytą grobową opuszczoną z głuchym trzaskiem na grób padłej polskiej rewolucji, polskiej przegranej walki o „naszą wolność i waszą“, przez francuską reakcję.

DALEJ

Wojna światowa, która dała Polsce niepodległość, przyniosła Francji zwycięstwo, półtora miliona poległych i hegemonię w Europie. W owym czasie misje francuskie bawiły we wszystkich krajach Europy i głos ich był głosem świętym. Francja raz jeszcze urządzała Europę. Język francuski rozlegał się wszędzie a na regulaminach armii francuskiej szkoliły się dziesiątki armii młodych narodów. Przed wojną w Europie były trzy republiki. Po wojnie było ich czternaście.

Dla Polski Francja po wielkiej wojnie była wyrocznią, kamieniem węgielnym jej polityki zagranicznej, wzorem ustroju wewnętrznego. Tak było przez kilka powojennych lat. Paryż stał się znów nieprześcignioną stolicą świata, politycznym centrum Europy, Mekką mężów stanu i Medyną artystów.

Zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, u progu nowego etapu stosunków polsko-francuskich wydarzył się fakt historycznie ważny i brzemienny w następstwa. Prezydent Francji Raymund Poincaré, tenże sam, który przed rokiem 1914 studiował w wolnych chwilach gramatykę rosyjską, wierząc w wielką przyszłość narodu rosyjskiego i jego języka, tenże sam Poincaré, dla którego aksjomatem zwycięstwa nad Niemcami Wilhelma było przymierze z carską Rosją, pchnął Polskę ku wyprawie kijowskiej, organizował interwencję i popierał białych generałów. Pozorny ten paradoks jest logiczną konsekwencją reakcyjnego poglądu prezydenta trzeciej republiki. Poincaré był wielkim przyjacielem carskiej Rosji, ale zaciętym wrogiem rewolucji. Ocenił słusznie wielką przyszłość Rosji i jej języka, ale pomylił się straszliwie w ocenie rewolucji.

Dwudziestolecie niepodległości Polski rozpoczęło się znowu pod znakiem „gwiazdy Francji“. Z biegiem lat gwiazda ta mierzchła. Usuwał ją w cień ponury blask germańskiego Marsa. W owym czasie polityka zagraniczna francuska miotała się od prób organizowania bezpieczeństwa zbiorowego na platformie Ligi Narodów — do usiłowań zjednania sobie przyjaźni Niemiec. Ciż sami ministrowie to konferowali ze Stresemannem, to jeździli do Moskwy dla montowania paktu wschodniego. Briand i Barthou wykazywali ten sam brak linii generalnej w ujmowaniu problemów zasadniczych francuskiej polityki zagranicznej. W stosunku do Polski przypomniano sobie dość późno starą prawdę, że droga z Paryża do Warszawy wiedzie przez Moskwę. Ostatnią próbą w tym kierunku był pobyt misji anglo-francuskiej w Moskwie latem 1939 r., zakończony fiaskiem na skutek niechęci rządu Rydza-Śmigłego i Becka wobec perspektywy sojuszu z Armią Czerwoną. I nie mogło być inaczej, skoro od czasu objęcia władzy w Polsce przez sanację ostrze polskiej racji stanu kierowane było wyłącznie przeciwko jej wschodniemu sąsiadowi.

W związku z awanturniczymi rządami sanacji w Polsce, stałemu pogarszaniu ulegały stosunki z Francją. Francja demokratyczna, zwłaszcza Francja „front populaire“ musiała patrzeć nieufnie na faszyzm wewnątrz Polski i jej profaszystowską politykę zewnętrzną. Oficjalna postawa Polski była przecież po stronie Mussoliniego w Abisynii, Franco w Hiszpanii i Hitlera w Sudetach. Jako reguły przyjąć można, że stosunki francusko-polskie ulegały pogorszeniu w miarę, jak w Polsce pogłębiała się faszyzacja ustroju wewnętrznego, a we Francji dochodziły do władzy rządy frontu ludowego. Stosunki polityczne polsko-francuskie są wówczas nielegalne, podziemne. Utrzymują je lewicowe ugrupowania polskie, zwłaszcza emigranci po procesie brzeskim i gen. Sikorski.

Gdy polityka wewnętrzna i zagraniczna Polski pomajowej krzepnie w wyraźnie reakcyjną i faszystowską, Francja przegrywa na skutek chwiejności i połowiczności swych rządów lewicowych sprawę hiszpańską. Demokracja w Europie rozpoczyna pełny odwrót. Anglia przegrała Abisynię, gdyż nie umiała zdobyć się na nic więcej ponad moralne protesty w stosunku do przeciwnika pozbawionego wszelkiego poczucia moralnego. Francja zaprzepaściła sprawę demokracji hiszpańskiej, gdyż umiała zdobyć się tylko na tworzenie obozów koncentracyjnych dla przechodzących Pireneje po klęsce bojowników Teruelu, Madrytu i Sierry. Daremnie demokraci całego świata, a więc i polscy i francuscy wołają o pomoc dla umierającej pod włosko-niemieckimi czołgami wolności ludu hiszpańskiego. Daremnie bojownicy polscy i francuscy walczą ramię w ramię w brygadach międzynarodowych. Faszyzm maszeruje jeszcze wszystkimi rogatkami Europy.

Konsekwencje nie dają na siebie długo czekać. Przychodzi Anschluss, Daladier, Monachium, klęska.

W jesieni roku 1938, w dobie zatargu o Sudety i układu monachijskiego, stosunki francusko-polskie są napięte do pęknięcia. Ton rządowej prasy polskiej staje się wobec Francji wręcz wrogi. We Francji bezpieczniej jest nie przyznawać się do narodowości polskiej. Obrzydliwy katzenjammer pomonachijski paraliżuje do reszty wolę angielskich i francuskich rządów. Polska maszeruje z Niemcami przez granicę Czechosłowacji. Francuzom wmawiają, że nie warto umierać za Czechy, ani za Gdańsk, ani za nic. Europa schodzi na dno nocy.

Czyż można po tym wszystkim dziwić się, że wojna, która wybuchła z powodu Polski, była we Francji niepopularna, mimo karkołomnego salto-mortale, wykonanego w ostatniej chwili i bez przekonania przez Becka? Czy można się dziwić, że Francja, która nie umiała się oprzeć w Nadrenii, Hiszpanii, Austrii i Sudetach rozmachowi hitlerowskiej polityki, zdoła stawić czoło jej czołgom na linii Maginot? Francja zdemoralizowana małą polityką małych ludzi, Francja pozbawiona młodzieży przez wygodny egoizm burżuazyjnego dobrobytu, Francja rozbrojona moralnie i materialnie przez płytki pacyfizm?

W r. 1830, kiedy powstanie listopadowe oczekiwało od Francji pomocy politycznej i wojskowej, nie otrzymało jej. „Dziś Francja piosnkę nam przesyła“ — skarży się Chłopicki w „Warszawiance“ Wyspiańskiego. W roku 1939 Francja nie przysłała nawet piosenki. W 8 miesięcy później uległa temu samemu losowi co Polska, w czasie zbyt krótkim, by wystarczył na odśpiewanie „Marsylianki“. Na straszliwym wstrząsie psychicznym, rozgoryczeniu, żalu i rozpaczy, z jaką okupowany naród polski przyjął klęskę i kapitulację Francji, kończy się rzecz o stosunkach polsko-francuskich tragicznego dwudziestolecia między dwiema wielkimi wojnami.

TOWARZYSZE BRONI

Polsko-francuskie braterstwo broni rozpoczęło się od wojen rewolucji, czyli od utraty niepodległości przez Polskę. Raz jeszcze tylko polski Bartek Zwycięzca rozwalał łby francuskim turkosom pod Gravelotte, ale zresztą Polacy walczyli u boku Francuzów. Z Bonapartem maszerowali Polacy przez wszystkie kraje Europy, przez Egipt i nawet San Domingo. Polscy szwoleżerowie otwierali dywizjom cesarza Francuzów przesmyki Samosierry, wierząc, że otwierają wieko u grobu ojczyzny. Polscy ułani osłaniali odwroty Francuzów pod Lipskiem, Waterloo i Bóg wie gdzie jeszcze. Polscy podchorążowie Nocy Listopadowej swym wyjściem na ulicę zagradzali carowi drogę do zamierzonej interwencji zbrojnej przeciw rewolucji lipcowej we Francji. Polacy Dąbrowskiego umierali w szeregach komunardów paryskich w roku 1871. Francuzi Dumourieza oddawali życie w polskim powstaniu. Bajończycy w r. 1915 pokładli się pokotem na kredowych polach Szampanii. Francuzi walczyli w powstaniach górnośląskich. W 1940 r. Polakom przyszło znowu osłaniać francuskie odwroty. Zbiegli jeńcy francuscy ginęli w walkach partyzantki polskiej. Pod Narwikiem i Bir Hassim polski piechur podhalański walczył obok francuskiego strzelca alpejskiego. Nazbierało się tego przez wieki dosyć, aby starczyło na legendę.

Mimo to, a może właśnie dlatego, wnioski polityczne historycznych doświadczeń polsko-francuskiego braterstwa broni są pełne goryczy.

Po raz pierwszy oczekiwali Polacy ocalenia i pomocy od Francji napoleońskiej i rozczarowali się.

Po raz drugi oczekiwali od niej podpory w roku 1831 i nie otrzymali nic, prócz piosenki. Była to Francja burżuazyjnej finansjery.

Po raz trzeci spodziewali się poparcia francuskiego w 1863 r. i nie otrzymali go. Była to już Francja drugiego cesarstwa.

Po raz czwarty upatrywali nadzieję w przewidywanym zwycięstwie Francji nad Prusami w r. 1870 i pomylili się. Była to jeszcze Francja drugiego cesarstwa.

Po raz piąty wyglądali samolotów francuskich na wrześniowym niebie 1939 roku i nie doczekali się ich widoku. Była to Francja monachijczyków.

Wnioski nasuwają się same. Sprawa polska jest na zawsze związana ze sprawą wolności narodów i demokracji. *Realnym sprzymierzeńcem Polski może być przede wszystkim mocarstwo, posiadające z nią wspólną granicę.* Przymierze nasze z Francją staje się realne jedynie wtedy, gdy wiąże się w jeden system z polsko - sowieckim sojuszem.

Legenda polsko - francuskiego braterstwa broni jest własnością narodu. Mimo, iż zaprawiona goryczą, nie przestaje być piękna. Przez cały okres naszej niewoli, łącznie z okresem 1939—40, drogi do utraconej ojczyzny prowadziły z Zachodu.

Po raz pierwszy w dziejach prowadzi szeroka droga, bity trakt do Polski ze Wschodu. Toteż po raz pierwszy istnieją szanse na realny nasz sojusz z Francją.

ZWIĄZKI USTROJOWE I KULTURALNE

Mickiewicz napisał, że „co Francuz wymyśli, to Polak polubi“ i miał słuszność. Tylko, że u nas nie zawsze wiedziano, co z francuskimi wymysłami począć. Na ogół wtłaczano je na gorąco i bez przetrawienia w specyficzną, polską rzeczywistość. Chciano korzystać ze zdobyczy Wielkiej Rewolucji bez zrobienia choćby małej, najmniejszej rewolucyjki w Polsce. Przyjęto monteskiuszowski podział władz, nie wytworzywszy klimatu społeczno-intelektualnego pod myśli Ducha Praw. Usiłowano stawiać nową budowę w miejscu, w którym stała jeszcze nie zburzona stara. Kończyło się więc na przybudówkach i oficynach. Chciano robić demokrację, nie usuwając feudalizmu. Przeszczepiano z Zachodu kulturę mieszczańską, bez stworzenia stanu mieszczańskiego. Szczepiono ją tedy na łbach szlacheckich. Propagowano odrodzenie neo-katolickie, nie wyznaczywszy wpierw kościołowi i religii właściwego miejsca w ustroju państwowym. Bóg świadkiem co z tego wszystkiego wynikło.

Ustrój Polski powersalskiej miał być zrazu wzorowany na ustroju Trzeciej Republiki, ale zbudowano go nie posiadając owych głębokich historycznych fundamentów, na których stał we Francji. Stąd od głosowania pięcioprzymiotnikowego do ordynacji z r. 1935 był dla reakcji tylko jeden, niewielki krok. W odpowiednim czasie został on postawiony.

Francja była dla nas od wieków najwyższym wyrazem kultury zachodu. Bliższe jednak sąsiedztwo Niemiec spowodowało, że niemiecka nauka, kultura i sztuka stanowiły poważnego konkurenta. Jeśli zważymy, że przez okres rozbiorów więcej niż połowa Polski leżała w zasięgu politycznych wpływów niemczyzny, że wskutek tego mniejsze były trudności językowe, że właśnie ze względów językowych prądy kulturalne i naukowe niemieckie przenikały łatwo do oświeconych warstw żydostwa polskiego i inteligencji urzędniczej, że polski świat naukowy kształcił się przeważnie na uczelniach i dziełach niemieckich, że polscy malarze częściej jeździli do Wiednia i Monachium niż Paryża — to zdumieni będziemy, w jak wybitnym mimo to stopniu żywotne u nas były wpływy kultury, nauki i sztuki francuskiej. Trudno, nie rozwinął się u nas nigdy naprawdę impresjonizm, a Matejko bywał zjeżdżany na paryskich wystawach, ale Sienkiewicz na pewno nie raz przeczytał „Trzech Muszkieterów“ przed stworzeniem swej „Trylogii“, ale Żeromski czytał Stendhala jak ewangelię, ale cała Polska czytała Balzaka i Flauberta, ale każda książka André Malraux była u nas wydarzeniem kulturalnym dla elementów demokratycznych, a skandalem dla reakcji.

Mamy tu związki dawne i najnowsze, związki nieodwołalne. Mickiewicz wykładający w Sorbonie swój kurs literatur słowiańskich, Biblioteka Polska w Paryżu, Fredro, odkrywający Moliera jak objawienie, Chopin przedziwnie łączący polską tęsknotę z francuskim „esprit“, Maria Curie-Skłodowska potwierdzająca alians nauki francuskiej z polską, Boy-Żeleński, jako nieoficjalny ambasador kultury francuskiej w Polsce...

Tylko, że te sprawy wymagałyby osobnego studium.

FRANCJA W POLSCE I POLSKA WE FRANCJI

Francję w Polsce spotykało się częściej, niż Francuzów. Ci ostatni bowiem byli u nas albo potentatami wielkiego przemysłu naftowego, albo przedstawicielami dyplomatycznymi, albo starszymi paniami, udzielającymi konwersacji.

Z tego wynika, że byliśmy dla Francuzów krajem niewątpliwie cennym z punktu widzenia ich eksportu, koncesji i lokaty kapitału, ale nie mniej zupełnie egzotycznym kulturalnie.

Za to Francję spotykało się na każdym kroku. W ustroju państwa i księgarniach, w markach win i starych portretach, na etykietach kosmetyków i w podręcznikach artyleryjskich, w żurnalach mód i pracowniach uniwersyteckich.

Patrzyliśmy na Francję oczyma młodszego brata, skłonnymi do adoracji. Dlatego dostrzegaliśmy na ogół tylko tę Francję błyskotliwą, którą przywoziliśmy do kraju z Riwiery i nocnego życia Montmartre, która raczyła nas szampanem i piosenką, kosmetykami i fatałaszkami kobiecymi, De la Roquem i niepokojąco inteligentnym filmem.

Rzadko dostrzegaliśmy tę drugą Francję, tę prawdziwą. Nie tę z Pól Elizejskich w dniu 14 lipca, ale tę z placów de la Nation i de la Republique w tymże dniu — Francję ludową, Francję demokratyczną, Francję robotniczą.

Ona to pozostała naszym istotnym sprzymierzeńcem.

ROMAN WERFEL

Problemy Powstania Listopadowego

DLACZEGO ZABRAKŁO WODZA

W dwóch datach zamykają się dzieje Powstania Listopadowego. Zawiera się w nich cała wielkość i cała tragedia powstania.

W noc listopadową garść podchorążych uderza na Belweder. Reszta—około 200 bagnetów — wychodzi na ulice miasta. „Polacy! Do broni!" — rozlega się ich okrzyk w Alejach Ujazdowskich, na Krakowskim Przedmieściu. „Polacy! Do broni!" — wołają z całej siły swych młodych piersi, z całym zapałem swych młodych serc. Wołają w próżnię.

Głucho, bez echa przebrzmiewa ich głos. Zatrzaśnięte, zamknięte na wszystkie spusty są okiennice magnackich pałaców, leżących wzdłuż ich drogi. Zaryglowane są serca „ojców narodu", właścicieli tych pałaców. Z osłupieniem słuchają młodzi powstańcy obelżywych słów swego wczorajszego bożyszcza, generała Potockiego. Proszony, by objął nad nimi dowództwo, każe im generał wracać do koszar i czekać łaski cesarzewicza.

Strzał, który doń pada z ich szeregów, uderza w stare złudzenia, w starą wiarę, że wysoka generalicja i arystokracja, że ci w kontuszach i suto szamerowanych generalskich uniformach mogą i powinni stać na czele narodu w jego walce o wolność.

Temu strzałowi odpowiedzą wnet strzały inne. Oddział podchorążych wyszedł już ze wspaniałej magistrali Alej i Krakowskiego Przedmieścia, wszedł w wąskie, kręte uliczki Starego Miasta. I okrzyk, który przebrzmiał głucho wśród magnackich pałaców, znalazł tysiączne echo w poddaszach rzemieślniczych mieszkań, w sercu prostego ludu Warszawy. „Polacy! Do broni!" — wołają podchorążowie. „Polacy! Do broni!" — odpowiadają im mury Starego Miasta. I tysiące rąk, spracowanych rąk warszawskiego ludu, wyciągą się po karabiny ze zdobytego Arsenału. Stare Miasto Jana Kilińskiego daje czynowi zbrojnemu podchorążych to oparcie, tę szeroką bazę, której odmówiło mu Krakowskie Przedmieście generała Stanisława Potockiego.

A potem 15 sierpnia. Jest już po krwawym dniu Grochowa, po nieudanej „wyprawie na gwardię", po Ostrołęce i Woronowie, po katastrofie armii Giełguda.

Prezydentem rządu jest ks. Adam Czartoryski, wieloletni powiernik cara Aleksandra I, przedstawiciel magnaterii, przeciwnik wszelkich demokratycznych tendencyj. Polityka rządu i sztabu, nie wierzących w siły narodu, marzących o ugodzie z carem, zaprowadziła kraj na krawędź przepaści.

Lud Warszawy powstał przeciw zdradzie i niedołęstwu. Wieszając samowolnie najbardziej znanych i znienawidzonych szpiegów i agentów carskich, demonstruje przeciw kapitulanctwu i ugodzie, żąda zasadniczej zmiany polityki i strategii powstania. Burza ludowa zmiata z powierzchni rząd Czartoryskiego i powolnego mu wodza naczelnego — Skrzyneckiego. Dowództwo i kierownictwo rządu obejmuje gen. Krukowiecki. Radośnie przyjmuje go lud Warszawy. Nowy wódz powstania potrafił zyskać sobie opinię zwolennika obozu patriotyczno-demokratycznego, reprezentanta nieprzejednanej walki z wrogiem. Nie tylko zmienny i kapryśny Mochnacki, nawet surowy, nieufny, gwałtowny Krępowiecki stają w pierwszej chwili u jego boku. Stare Miasto widzi w generale Krukowieckim swego wodza naczelnego, swego prezydenta rządu.

Widzi — niesłusznie. Gen. hrabia Krukowiecki daleki jest od ideałów Tadeusza Krępowieckiego, daleki od dążeń patriotów i demokratów powstańczych. Z pogardą patrzy na plebs staromiejski, choć pochlebiał temu plebsowi, gdy liczył, że poparcie ludu ułatwi mu realizację ambitnych generalskich planów. Pierwszym zarządzeniem nowego szefa rządu będzie nakaz rozbrojenia ludu warszawskiego. Ostatnim — w trzy tygodnie później — podpisanie kapitulacji Warszawy.

Od Nocy Listopadowej, nocy poszukiwania wodza przez powstanie, które wybuchło niemal samorzutnie, do wieczoru 15 sierpnia, kiedy na fali ludowego powstania uchwycił władzę wódz-zdrajca, „judasz Krukowiecki" — oto tragiczna droga Powstania Listopadowego.

Powstanie Listopadowe odpowiadało tendencjom, aspiracjom, potrzebom szerokich warstw narodu, inteligencji miejskiej, korpusu oficerskiego. Powstanie wyrosło z inicjatywy najbardziej postępowych grup społeczeństwa— patriotyczno - liberalnych organizacyj spiskowych; znalazło entuzjastyczne poparcie u ludu miejskiego, u inteligencji, u gorącej, zapalnej młodzieży. Ale grupy te i warstwy nie przejęłv w swe ręce kierownictwa powstania. Nie przejęły go, bo nie przecięta jeszcze była pępowina, łącząca je z „ojcami narodu", z magnacką górą społeczną.

Ludzie Spisku Podchorążych, nawet ludzie Wolnomularstwa Narodowego nie wyobrażali sobie, nie dopuszczali nawet do siebie tej myśli, że to oni mogą objąć ster narodowego życia. Obca, niezrozumiała dla nich była myśl, że prosty lud, rzemieślnik i chłop — mogą sami, własnym czynem, kształtować życie narodu. Ludzie Spisku Podchorążych, a tym bardziej ludzie Wolnomularstwa Narodowego nie rozumieli tego głębokiego antagonizmu społecznego, antagonizmu magnacko - ziemiańskich „gór" i chłopsko-pańszczyźnianych „dołów", jaki rozdzierał wówczas na dwoje cały naród polski. W zapomnienie poszły doświadczenia powstania kościuszkowskiego, zaprzepaszczonego przez szlachecki sabotaż. Przesłoniła je świetna, błyskotliwa, ale pozbawiona ideowej treści epopea napoleońska. Spiskowcom Nocy Listopadowej zdawało się, że od Czartoryskich i Lubeckich różnią się tylko szybciej bijącym tętnem gorących, młodych serc, a nie celami, do których zmierzają w chwilach spokojnej rozwagi.

Przyczyniła się do tego jeszcze jedna okoliczność: lata przedpowstaniowe. Pierwsze lata panowania Mikołaja I — to lata zaostrzenia reakcyjnego, a zarazem i antypolskiego kursu w całym Cesarstwie Rosyjskim. Znaczna część polskiej reakcji przeciwstawiała się — w ramach caratu — temu kursowi, który osłabiał i jej własne pozycje. Jeden po drugim podawali się demonstracyjnie do dymisji dawni generałowie. Były tarcia wewnątrz dworskiej kamaryli. Wszystko to znajdowało żywy oddźwięk w społeczeństwie, w kołach patriotycznych spiskowców. Traktowano tam te tarcia i incydenty jako przejaw solidarności z własnymi niepodległościowymi aspiracjami, jako akces „gór" społecznych do walki niepodległościowej kraju, do walki z caratem.

Traktowano — oczywista mylnie. Magnateria, generalicja, „góry" społeczeństwa uprawiały frondę przeciw caratowi. Nie chciały *walki* z caratem, walki o niepodległość. Więcej nawet, *bały* się tej walki. Pamiętały, że ta walka za Kościuszki, o lat niemal czterdzieści wcześniej, zagroziła poważnie ich przywilejom, ich decydującemu stanowisku w kraju. Chłopicki podał się do dymisji, by zademonstrować swą niechęć przeciw *W. ks. Konstantemu*, ale nie chciał wojować z *caratem*. Ks. Adam Czartoryski użerał się z *Nowosilcowem*, ale ani myślał zrywać z *dworem* petersburskim.

Nie zdawała sobie sprawy z tego stanu rzeczy opinia publiczna kraju. Nie zdawali sobie zeń sprawy spiskowcy należący do organizacji patriotycznych. Każdy konflikt z Nowosilcowem, każda utarczka z Wielkim Księciem wyrastała w ich oczach do znaczenia zasadniczego przeciwstawienia się caratowi. Piotr Wysocki, inicjator spisku podchorążych, uważał za rzecz naturalną oddanie wydartej caratowi władzy — ks. Czartoryskiemu, ks. Lubeckiemu, gen. Chłopickiemu.

Szlachetna to bezinteresowność — zapewne. Ale oznaczała ona rezygnację inicjatorów ruchu, rezygnację elementów patriotyczno - postępowych z kierownictwa ruchu. Koszta tej bezinteresownej szlachetności zapłacił cały naród polski.

Tragiczny to obraz wielkiego ruchu narodowego, dobrowolnie poddającego się kierownictwu tych, którzy się go bali i którzy go nie chcieli; rewolucyjnego powstania zbrojnego, oddającego dowództwo w ręce człowieka, który brzydził się wszelką rewolucją i nie wierzył w możliwość zwycięstwa. Takie kierownictwo, taki wódz naczelny mógł prowadzić tylko do klęski.

Powstanie musi nacierać. Powstanie wymaga śmiałości, śmiałości i jeszcze raz śmiałości. Chłopicki nie chciał nacierać; Chłopicki śmiałość uważał za szaleństwo. Tak w bezczynności na zewnątrz, w walce z ludem Warszawy na wewnątrz upłynęły pierwsze miesiące powstania.

Pierwotne szanse powstania, nawet ściśle militarnie biorąc, nie były wcale tak złe. Rosyjski sztabowiec Puzyrewski stwierdza, że jeszcze w końcu grudnia 1830 roku powstanie rozporządzało 55 tys. żołnierza przeciw 46 tys., jakie w bliskości Królestwa stały do dyspozycji caratu. Ale ta przewaga liczebna nie została wyzyskana. Półtora miesiąca później liczba wojsk carskich, skoncentrowanych nad granicą Królestwa, doszła do 125 tysięcy. Pod Grochowem Dybicz miał półtora raza więcej wojska, dwa razy więcej armat, niż Chłopicki.

Przyznał to — po niewczasie — i sam ks. Adam Czartoryski. „Nie skorzystaliśmy ze wszystkich środków — depeszuje on do rządu francuskiego we wrześniu 1831 r. — Mogliśmv zadać cios niewątpliwie stanowczy, ale byliśmy zdania, że należy czekać".

Zmarnowano tvm czekaniem przewagę militarną pierwszych tygodni powstania. Nie zrobiono niczego, aby wyrównać tę strate mobilizacją mas ludowych, ludowym pospolitym ruszeniem. Nie zrobiono, bo magnateria i szlachta nie dałv ruszyć pańszczyzny, nie dały ruszyć niewoli chłopa. Słuszną drogę wskazvwali postępowcy, demokraci polscy. Wołał Olrych Szaniecki do reakcyjnej większości Sejmu:

„Milion rąk podniesie się na obronę naszego kraju, gdy stworzymy milion wolnych rolników. Milionem wolnych obywateli wzmożemy rząd narodowy, bo milionowi wolnvch obywateli nadamy prawa politvczne. ...Cała przyszłość kraju i honor narodu polskiego zależy od słusznego rozwiązania tego zagadnienia..."

Wołał o zniesienie pańszczyzny Olrych Szaniecki, przedstawiciel niepodległościowej demokracji, przedstawiciel postępowej myśli polskiej. Wołał nadaremnie.

Nie odwołała się niepodległościowa demokracja do jedynej siły, która zadecydowała o pierwotnym sukcesie powstania: do ludu, do podstawowego trzonu narodu. Tylko nieliczni z jej obozu — Kozłowski, Krępowiecki, prowadzili stale działalność wśród ludu. Tylko nieliczni solidaryzowali się jawnie, bez zastrzeżeń, z ruchem ludowym 15 sierpnia. Nie czuła się demokracja niepodległościowa samodzielną siłą społeczną, obrończynią interesów ludu, interesów całego narodu przeciw zdradzie i sabotażowi magnaterii i arystokracji. Zamiast obalać — zaklinała, zamiast druzgotać — prosiła.

Okres końcowy powstania — to okres rozpaczliwego szukania wyjścia z tragicznego położenia.

Najlepsi w obozie patriotyczno - demokratycznym gorączkowo szukają ludowego, narodowego wodza, wodza, który by naród poprowadził do zwycięstwa, a nie do kapitulacji. Ale nadal nawet najlepszym z nich nie przychodzi na myśl, że tymi wodzami powinni się stać oni sami — nikomu nieznani nauczyciele, literaci, oficerowie niższych stopni. Zrozumieją to dopiero wtedy, gdy będzie już zbyt późno — po katastrofie. Na razie szukają wybrańca wśród generałów i przywódców w szlacheckiej opozycji sejmowej. Przyjmują ofertę — hrabiego Krukowieckiego. Zamiast wyłonienia własnego ludowego kierownictwa poddają się kierownictwu zdrajcy.

Brak własnego, postępowego, ogólnonarodowego kierownictwa, oddanie kierownictwa w ręce zamaskowanej i niezamaskowanej reakcji i kapitulanctwa — oto jedna z podstawowych przyczyn upadku Powstania Listopadowego.

NARÓD I MAGNACI

Jakie były cele, jakie były podstawowe źródła ruchu?

Spotykamy się niekiedy z twierdzeniem: powstanie wyrosło z lokalnego, by tak rzec, konfliktu, z niezadowolenia podchorążych, dławiących się w surowym regulaminie swej szkoły, z wrzenia w korpusie oficerskim stolicy, rozgoryczonej despotycznymi manierami Wielkiego Księcia Konstantego. Twierdzenie to jest oczywiście fałszywe. Niewątpliwie spisek podchorążych był iskrą, która zapaliła prochy, niewątpliwie ferment w korpusie oficerskim ułatwił powodzenie ruchu. Ale tak samo niewątpliwe jest, że aby iskra mogła wywołać wybuch, musiała paść na prochy, a nie na kamień czy piasek. Ruch, podjęty przez podchorążych, poparty przez część korpusu oficerskiego, musiał odpowiadać nastrojom, tendencjom, potrzebom całego społeczeństwa, jeśli wbrew wysiłkom najbardziej wpływowych czynników społeczeństwa przerósł w ogólnonarodowe powstanie.

Tak też było niewątpliwie. Powstanie Listopadowe było wynikiem nieprzejednanego konfliktu, jaki trwał i potęgował się stale pomiędzy reakcyjnym, feudalnym systemem caratu a dążeniami i potrzebami społeczeństwa polskiego. Konflikt ten zarysował się już u schyłku panowania Aleksandra I. Już wtedy carat, w sojuszu zresztą z częścią rodzimej polskiej reakcji, przeszedł do ataku na elementy postępowe i narodowe w Królestwie. Wstąpienie na tron carski Mikołaja I przyniosło gwałtowne zaostrzenie kursu reakcyjnego. W Rosji elementy postępowe zostały rozgromione w 1825 roku. W Królestwie, gdzie mimo wszystkich gwałtów Konstantego i powolnego mu Zajączka liberalna konstytucja ograniczała w pewnym stopniu carską samowolę, elementy postępowe miały poważny wpływ na opinię publiczną narodu. Interes narodowy łączył się z interesem postępu, interesem obrony instytucyj liberalnych w kraju. Dla postępowców i liberałów każdy krok wstecz, każde wzmocnienie reżymu policyjnego, cenzury, sądownictwa wyjątkowego, były uderzeniem w rozwój wolnościowy Polski. Ale nawet zachowawcy, którzy nie zatracili w sobie całkowicie poczucia narodowej godności i narodowego interesu, musieli rozumieć, że każde wzmocnienie reakcji, to zarazem wzmocnienie *obcego* panowania, panowania *zaborcy*. Za Kalasantym Szaniawskim stał Nowosilcow. Zajączek spełniał polecenia Konstantego Romanowa. Im bardziej bezceremonialnie odnosił się do formalnie obowiązujących przepisów konstytucyjnych Wielki Książę Konstanty, im jaśniejsza stawała się beznadziejność legalnych dróg oporu, tym bardziej ośrodek ciężkości życia politycznego narodu przesuwał się w podziemia konspiracji. Jeśli akcja kilkuset podchorążych mogła w ciągu kilku godzin porwać za sobą cały kraj, jeśli okrzyk: „Nie ma Romanowa" podchwycony został z entuzjazmem przez chwiejny dopiero co szlachecki sejm, to stało się to dlatego, że cały naród chciał walki z caratem, chciał niepodległości.

Spotykamy się i z innym ujęciem zagadnienia. „Powstanie Listopadowe — to wojna Polski z Rosją o Litwę" — to lapidarne zdanie jednego z najwybitniejszych historyków naszych bodaj najlepiej formułuje ten pogląd. Zdanie, oczywista, niesłuszne. W programie spisku podchorążych nie znajdujemy ani słowa o „Litwie". Nie o „Litwę" występował do walki rzemieślnik Warszawy, człowiek ze staromiejskiej ulicy. Nie o Wilno czy Kijów walczyli żołnierze nieśmiertelnego „Czwartego Pułku". Ale jest w tym poglądzie pewna doza prawdy, tylko wypaczonej. Ujęła instyktownie tę prawdę demokratyczna piosenka emigracyjna, która stała się hymnem chłopów polskich:

Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
Rękoma czarnymi od pługa,
Panowie w stolicy kurzyli cygara,
Radzili o braciach zza Buga.

Czyli, przechodząc od poetyckiej metafory do konkretnej politycznej formuły, lud polski, patriotyczno - demokratyczne elementy powstania — walczyły o niepodległość, szlachta i magnateria usiłowały powstaniu narzucić inny cel: zdobycie Litwy, Białorusi, Ukrainy. Dodajmy od siebie: sterując do tego celu, usiłowały pozbawić powstanie jego treści politycznej i społecznej, wzmocnić swoje wpływy w ruchu. I usiłowały *z powodzeniem.*

Królestwo było krajem już poważnie rozwiniętym, o własnym polskim mieszczaństwie, z własną polską inteligencją. W Królestwie magnateria musiała dzielić się wpływami w narodzie z tymi postępowymi warstwami społecznymi, a nawet wśród samej szlachty liczne były elementy liberalne, postępowe, oświecone. Na Litwie, Białorusi, Ukrainie elementem polskim była — poza jednym bodaj Wilnem — niemal wyłącznie szlachta, i to szlachta przeważnie zacofana, ciemna, ślepo idąca za reakcyjnymi magnatami. W Królestwie istniała pańszczyzna, ale poddaństwo chłopa było zniesione przynajmniej formalnie, w każdym razie poważnie ograniczone w praktyce. Na Litwie, Białorusi, Ukrainie poddaństwo chłopa doprowadzone było do ostateczności, chłop był faktycznym niewolnikiem, jednostką rachunkową obszarniczego majątku, „duszą", którą pan mógł sprzedać albo przegrać w karty. I oto — wysunięcie jako celu: Litwy,

PERSPEKTYWY

Ogień obecnej wojny jest w dużym stopniu oczyszczający dla obu narodów. I Polska i Francja przeszły przez największą swą katastrofę dziejową i odradzają się do nowego życia w ramach nowej ludzkości.

Ale wojna nie jest jeszcze zakończona i najbliższą perspektywą obu narodów jest walka do zupełnego zwycięstwa nad hitleryzmem na zewnątrz i wewnątrz kraju. Po jej zwycięskim zakończeniu cała uwaga Francji i Polski skierowana być musi na Niemcy. Stamtąd w ciągu siedemdziesięciu lat wyszły trzy straszliwe najazdy na Francję. Stamtąd od wieków wyruszały łupieskie wyprawy na słowiańskie ziemie, tam powstał plan wyniszczenia Słowian.

I Polska i Francja dogrzebują się na nowo pazurami swej własnej istoty. Znajdują ją nietkniętą pod powierzchowną warstwą klas uprzywilejowanych, w swym ludzie. W perspektywie przyszłości, oba narody tak bardzo miłujące wolność i pokój, czeka czujność i walka o pełną demokrację życia wewnętrznego i pełne bezpieczeństwo stosunków międzynarodowych.

My Polacy pragniemy zachować i pielęgnować tradycyjne związki z Francja, jej kulturą, nauką i sztuką. Pragniemy przede wszystkim pogłębienia stosunków między myślą demokratyczną polską a francuską, między ludem polskim a francuskim. Życzymy sobie pełnej wymiany dóbr kulturalnych i materialnych na prawach wzajemności.

W nowym, lepszym świecie, ku któremu przez krew, zniszczenia, cierpienia i walkę zmierza ludzkość, historyczne związki obu naszych narodów znajdą dla siebie pełne i zaszczytne miejsce.

Mirosław Żuławski

Białorusi, Ukrainy pociąga za sobą postulat faktyczny: nie straszyć „braci zza Buga!“

Nie straszyć „brata zza Buga“, pana iluś tam tysięcy dusz — bo pójdzie przeciwko nam, przeciwko powstaniu, z caratem. A więc wara od pańszczyzny, bo na nim i tak skóra cierpnie na myśl, że przyłączenie do Królestwa ograniczy jego prawa do sprzedawania i przegrywania w karty żywych ludzi.

Nie straszyć „brata zza Buga“, ciemnego, zacofanego szlachciury z nadniemeńskiego czy z nadnieprzańskiego zaścianka! A więc wara od rządu „łykom“ miejskim, inteligencko-dziennikarskim „przybłędom“, czy chociby nawet kaliskim zamożnym ziemianom, w swej liberalnej frazeologiii trącącym jakobińskim „farmazońswem“! Czartoryskich, Radziwiłłów do rządu! Niech „brat zza Buga“ pozna w powstańczych kierownikach bratnie, szlacheckie, magnackie dusze!

Byli „bracia zza Buga“ doskonałą osłoną zręcznego manewru, którym ta klika narzucała powstaniu swoją reakcyjną policykę wewnętrzną. Dała się wziąć na lep tego manewru olbrzymia większość ówczesnego obozu patriotyczno - niepodległościowego. Odegrał ten manewr niemałą rolę w tragicznym losie powstania.

Dopiero na emigracji zrozumiały najlepsze elementy ruchu niepodległościowego treść tego manewru. Dopiero na emigracji zrodziła się pieśń, przeciwstawiająca „czarne od pługa“ ręce żołnierzy spod Stoczka — cygarom „panów“, radzących o „braciach zza Buga“. Pieśń wyrażająca w poetyckiej metaforze głęboką prawdę — że rzekomo „patriotyczne“ hasła ekspansji na Litwę, Ukrainę, Białoruś były narzędziem walki przeciw wolności własnego, polskiego ludu, szkodnictwem wobec rzeczywistej walki o niepodległość narodu.

PIERWSZY SOJUSZ

„Za naszą wolność i waszą“ — pierwszy raz rozbrzmiewało to hasło wtedy na ulicach powstańczej Warszawy. Tymi słowami Towarzystwo Patriotyczne, grupujące postępowe elementy ruchu, czciło pamięć swych sojuszników, rosyjskich postępowców, liberałów, znanych pod nazwą „dekabrystów“.

Polscy i rosyjscy spiskowcy spotkali się ze sobą w podziemiach konspiracji. Spotkali się— dla wspólnej walki z caratem, dla walki o wolność polskiego i rosyjskiego ludu. Jasno, niedwuznacznie zadeklarowali „przyjaciele-Moskale“ swe poszanowanie dla praw Polski, swe stanowisko wobec niepodległościowych dążeń narodu polskiego.

„Rosja... dokonując swych reform, zwraca Polsce niepodległość...“ — brzmiał punkt pierwszy deklaracji, przedstawionej w czasie pertraktacyj, jeszcze w 1821 roku, przez przedstawiciela Rosjan, Bestużewa-Riumina.

„Towarzystwo Rosyjskie — brzmiał jeden z dalszych jej punktów — użyje wszystkich swych sił dla usunięcia istniejącej pomiędzy obu narodami nienawiści. Wychodzi ono z założenia, że w naszym oświeconym wieku interesy wszystkich narodów stały się wspólne i że zakorzeniona nienawiść jest przeżytkiem czasów barbarzyńskich“.

W chwili, gdy powstanie wybuchło, spisek rosyjski był już rozgromiony. Po nieudanym powstaniu 25 grudnia 1825 roku zawiśli na szubienicy Pestel, Rylejew, Murawjew Apostoł. Setki „dekabrystów“ poszły na sybirską katorgę. Głucha cisza panowała w Rosji. Kiedy powstańcy polscy uroczystą manifestacją w Warszawie uczcili swych rosyjskich sojuszników, tylko słaby głos zakutego w kajdany poety odpowiedział im z dalekiej Syberii. A jednak — ta manifestacja warszawska miała doniosłe znaczenie w dziejach obu narodów. Była pierwszą publiczną, jawną demonstracją solidarności polskich niepodległościowców z walczącym o swoją wolność ludem rosyjskim, bezsilnym i skrępowanym w roku 1830.

„Iskra rozpali płomień“ — pisał, mniej więcej w czasie powstania, z dalekiej Syberii Odojewski, ten sam, który pięknym wierszem odpowiedział na warszawską minifestację. „Iskra rozpali płomień“. Te słowa Odojewskiego przyjął jako motto pierwszy bojowy organ rosyjskiego ruchu robotniczego. Twórca tego organu, Włodzimierz Lenin, podpisał w roku 1918 w imieniu narodu rosyjskiego deklarację, anulującą uroczyście rozbiory Polski. Po dziewięćdziesięciu z górą latach lud rosyjski wykonał testament dekabrystów-sojuszników w Nocy Listopadowej.

UŚWIADOMIENIE

W dwa lata po Nocy Listopadowej, w starym gmachu opactwa St. Germain — zebrała się rzesza wychodźców polskich. Zawisły u nawy biało-czerwone, postrzępione w bojach sztandary pułków powstańczych. Zasiadła w prezydium generalicja powstańcza, obok niej luminarze europejskiego liberalizmu z sędziwym Lafayettem na czele. Ks. Adam Czartoryski wygłosił mowę ku czci rocznicy powstania.

Mówił godnie, spokojnie, poważnie. Wyliczał krzywdy narodu, oskarżał zbrodnie caratu, chylił czoła przed cieniami poległych i męczenników. Milczał tylko o jednym: o tym, *dlaczego* na darmo polała się krew bohaterów Olszynki, Stoczka, *dlaczego* carat zwyciężył, *Dlaczego* mógł bezkarnie popełniać swe zbrodnie, gnębić naród polski. W domu powieszonego nie mówi się o stryczku. Książę Adam Czartoryski nie mógł mówić o grzechach kierownictwa powstania.

Aż tu — z głębi zgromadzenia — rozbrzmiał głos protestu. Wyniesiony ku górze na barkach towarzyszy przemówił Tadeusz Krępowiecki. Przemówił po francusku, nie wahając się ujawnić wobec obcych — bolączek narodowej klęski. Przemówił przezeń spisek podchorążych, przemówiło Stare Miasto warszawskie z pamiętnej Nocy Listopadowej, przemówił lud 15 sierpnia. Przemówił wzbogacony doświadczeniem walki, nauczony goryczą klęski, dojrzały do zrozumienia własnej roli i własnego przeznaczenia. Wyciągnięta dłoń Tadeusza Krępowieckiego wskazała winowajców klęski: magnacką reakcję; wskazała drogę do zwycięstwa: samodzielną walkę demokracji polskiej o zjednoczenie całego narodu na gruncie niepodległości i postępu społecznego.

Zabrzmiała po raz pierwszy jasno i wyraźnie nuta bojowej pieśni ludu polskiego:

„O cześć wam panowie magnaci!“

Nauka powstania nie poszła na marne. Od mowy Krępowieckiego zaczyna się działalność nowoczesnej demokracji polskiej jako samodzielnej, zorganizowanej siły.

W ogniu sporów „za czy przeciw Krępowieckiemu“ sformowało się „Towarzystwo Demokratyczne Polskie“, pierwsza zwarta, zdyscyplinowana organizacja masowa postępu polskiego. „Wszystko dla ludu, wszystko przez lud“! — proklamowało Towarzystwo jako swe hasło. Wypisało na swych sztandarach zniesienie pańszczyzny, uwłaszczenie chłopa polskiego, demokratyczno - republikański ustrój odrodzonego państwa, sojusz z walczącymi o swą wolność ludami Europy. Na lat trzydzieści z górą określiło drogi polskiego ruchu niepodległościowego. Brzmi już w mowie Krępowieckiego akcent początkowy manifestu radykalnej socjalistycznej „Gromady Grudziądz“: „Ojczyzna nasza — to jest lud polski — zawsze odrębna była od ojczyzny szlachty“.

Polska demokracja emigracyjna wyciągnęła wnioski z krwawych doświadczeń powstania. Przejrzała treść reakcyjnych manewrów. Poznała wrogów i sojuszników. Zrozumiała, że jedność narodu powstać może tylko w walce nieprzejednanej z wszelką ugodą i wszelką reakcją. Zrozumiała wreszcie, że ona to, reprezentantka ludu polskiego, jest jedynym przyrodzonym wodzem wyzwoleńczych, niepodległościowych zmagań całego narodu.

Roman Werfel

Chopin pod okupacją

Niemiecka nauka, która ze wszystkich wybitnych Polaków chciała zrobić Niemców, która wiele makulatury poświęciła, aby zgermanizować Wita Stwosza i Kopernika, w stosunku do Chopina zachowała się wstrzemięźliwie. Ale tylko do czasu.

Z okazji rocznicy śmierci Chopina w 1943 r. urządzono w Krakowie wystawę szopenowską. Z Francji, głównie z Paryża sprowadzono szereg pamiątek, dokumentów i obrazów, twierdząc, że powinny się one znaleźć w kraju, z którym Chopin najbardziej był związany. W okolicznościowym artykule „Krakauer Zeitung“, autor opierając się na najnowszych archiwalnych badaniach (niemieckich oczywiście) starał się przekonać czytelników, że Chopin właściwie był Niemcem, bo wskazuje na to nie tylko jego muzyka (a jakże!), ale i pochodzenie. Mianowicie skrupulatnym Niemcom udało się odnaleźć dokumenty, z których wynika, że ojciec Chopina był Ślązakiem i nazywał się „Schopping“. Dowody niemieckie opierają się prawdopodobnie na pewnych badaniach polskich, wspominających nazwisko Szop. Najlepszą odpowiedź dał Niemcom Biernacki, który w r. 1933 pisał w swojej broszurce o „Dziele Fryderyka Chopina“: „Chopin jest wciąż aktualny dla nas, Polaków, nie tylko jako twórca najwyższej rozkoszy muzycznej, nie tylko jako przykład doskonałości artystycznej, ale jako najsilniejsza pobudka naszego patriotyzmu“. Choć więc dalsze kierunki rozwojowe muzyki zostały wytknięte przez Chopina, choć nowa muzyka polska od niego właśnie się wywodzi (i dlatego zmarły w 1937 r. największy nasz współczesny kompozytor i jeden z najwybitniejszych w świecie — Karol Szymanowski, słusznie został uznany za następcę Chopina w muzyce polskiej), to jednak my w czasie niewoli, najchętniej zwracaliśmy się do tego, który stał się źródłem natchnienia dla swoich rówieśników i dla następnych pokoleń kompozytorów polskich i całego świata. Z niego czerpaliśmy prawdziwe pokrzepienie duchowe w najpiękniejszej i najczystszej formie. To, co zawsze odczuwaliśmy słuchając Chopina, podczas tych pięciu lat — ustokrotniło się. To nie był już abstrakcyjny żal, rozpacz, bunt wyrażony dźwiękami, to była **nasza własna** rozpacz, **nasz własny** w sercach — **bunt.**

Wiedzieli o tym Niemcy. Z tych samych powodów, dla których nie dopuścili do kultywowania prawdziwie pięknego słowa polskiego, nie zezwolili na granie Chopina na publicznych koncertach i na sprowadzanie z Rzeszy nut z jego utworami. Ten sam Chopin, którego dzieła odtwarzał dla niemieckiej publiczności w Warszawie wybitny pianista Wilhelm Kempff, ten sam Chopin był dla nas „verboten“ — zabroniony.

Niemcy wiedzieli o tym, że szopenowskie sonaty, ballady, scherza, etiudy, nawet — mazurki, mogły być dla nas (i w istocie były) tym, czym „Marsylianka“ była dla Francuzów. Obawiali się zbyt żywej reakcji publiczności.

Żeby rozumieć i odczuwać Chopina, nie trzeba na to koniecznie znać literacko-historycznych komentarzy: dźwięki mówią same za siebie, tak samo wtedy, jak i dzisiaj; wobec piękna i prawdy zawartej w tej muzyce czujemy się pokrzepieni na duchu, zagrzani do czynu.

Tak działał na nas fortepian Fryderyka Chopina. Niemcy usuwając jego pomnik w Warszawie, nie zdołali nas jednak pozbawić jego muzyki.

Ponieważ prywatne audycje muzyczne nie mogły nas zaspokoić, uciekaliśmy się do nagrań płytowych. Organizowało się wymianę i wzajemne wypożyczanie płyt szopenowskich, wyszukiwało się znajomych, którzy jeszcze swoich płyt nie sprzedali. Często zupełnie przypadkowo udawało się odszukać wśród całego stosu bezwartościowych płyt najpiękniejsze nagrania na „Columbii“ i na „His Masters Voice“. Płyty bowiem, tak samo jak i książki i obrazy, trafiały najczęściej w ręce niepowołane, ale za to dysponujące gotówką.

W rezultacie ilość i jakość nagrań szopenowskich, które udało się wyszukać, była nadspodziewanie wysoka. Staraliśmy wynagrodzić sobie brak aparatów radiowych i publicznych szopenowskich koncertów. Płyty były pielęgnowane tak, jak na to zasłużyły: do każdej strony — nowa igła, a na jednym wieczorze można było tylko raz przegrać każdy utwór. Nasi odtwórcy, to byli najwięksi szopeniści XX wieku. Mieliśmy stare nagrania Paderewskiego, Michałowskiego i Friedmana, były nowsze — Brailowskiego, Rubinsteina, Backhausa, Cortot, Rachmaninowa, Unińskiego i najnowsze— Kempffa i Hoffmana. Ale największym świętem były zawsze wieczory, na których słuchano koncertów fortepianowych f-moll i e-moll w wykonaniu Artura Rubinsteina.

W pewnym okresie okupacji niemieckiej, gdzieś w r. 1942, nie wiadomo, czy dla przypodobania się ludności warszawskiej, czy też po prostu z bezgranicznej pychy i buty germańskiej (Niemcy osiągali wtedy szczyt swych militarnych powodzeń) pragnącej okazać nam swe lekceważenie, dość, że cofnięto zakaz datujący się już od jesieni 1939 r. i zezwolono na publiczne wykonywanie utworów Chopina.

Kryła się w tym pewna pułapka. Koncerty odbywały się w kawiarni Lardellego na ulicy Polnej. Do kawiarni tej uczęszczali przeważnie Niemcy, wstęp dla Polaków nie był wzbroniony. Trudny to był dylemat do rozwiązania: udać się do Lardellego, usłyszeć wreszcie nie mechaniczne wykonanie koncertów Chopina, czy też powstrzymać się od pójścia, ale za to nie złamać cichego bojkotu kawiarni, uprawianego przez muzykalną większość Warszawy?

Pod okupacją Chopin stał się symbolem i muzyka jego była również symboliczna w pojęciu szerokich mas ludności warszawskiej. Nie rzadko przechodząc ulicą słyszało się z otwartych okien dolatujące dźwięki ponurego, żałobnego preludium c-moll. Obok marsza żałobnego z II Sonaty był to może najpopularniejszy utwór, który wiele razy dziennie rozbrzmiewał w organowym wykonaniu w kościele Karola Boromeusza na Powązkach.

Nie tak wielu znów pozostało u nas wielkich odtwórców Chopina. Ze starej mistrzowskiej trójki nikt już nie żyje: Śliwiński i Michałowski zmarli przed wojną. Michałowski, prawie, że dosłownie przy fortepianie. Paderewski zmarł niedawno w czasie obecnej wojny. Dwaj wielcy nasi pianiści, Józef Hoffman i Artur Rubinstein, przebywają za granicą. Z czwórki uczniów Paderewskiego Szpinalski jest w kraju, Niedzielski — prawdopodobnie za granicą, a o Sztompce i Brachockim nie ma wiadomości. Warszawscy profesorowie nie opuścili swoich posterunków do końca. Co się dziś z nimi dzieje — nie wiemy. Z młodego pokolenia pianistów nie żyją Bolesław Kon i Leon Boruński, laureaci drugiego konkursu szopenowskiego.

Nie tylko my obchodziliśmy wszystkie rocznice szopenowskie. Ghetto warszawskie również było przywiązane do Chopina. Ze znanych mi pianistów byli w ghetcie Leon Boruński, Ryszard Werner i Familier-Hepnerowa.

W latach 1939-1941 przebywał Boruński w Rosji, gdzie cieszył się zasłużonym powodzeniem. Po wybuchu wojny rosyjsko - niemieckiej znalazł się na terenach okupowanych. Wraz z grupą artystów Aleksandra Węgierki udało mu się powrócić do Warszawy. Podczas pierwszej akcji likwidacyjnej w ghetcie w lipcu 1942 r., Boruński ciężko chory na płuca, znajdował się w sanatorium w Otwocku. Opowiadano mi, że w ostatnich dniach przed akcją w Otwocku, Boruński spędzał po kilka godzin dziennie przy fortepianie. Był apatyczny i osowiały, nie przedsięwziął żadnych kroków, żeby się uratować, chociaż miał wiadomości o akcji warszawskiej. Ożywiał się jedynie — grając. Dwóch było jego mistrzów: Jan Sebastian Bach i Chopin. Ale teraz pozostał mu tylko Chopin. Po raz pierwszy uległ prośbom swoich chorych słuchaczy, po raz pierwszy grał nie tylko dla siebie, ale i dla nich. Prawdopodobnie zaskoczyli ich esmani i faszyści ukraińscy zasłuchanych, zaczarowanych...

Zbigniew Wielicki

* * *

W poprzednim (ósmym—dziewiątym) numerze „Odrodzenia“ z dnia 12 listopada 1944: **Roman Werfel**: Listopady. — **Włodzimierz Majakowski**: Z poematów. (Z poematu „Obłok w spodniach“, przełożył **Mieczysław Jastrun**. Z poematu „Włodzimierz Iljicz Lenin“, przełożył **Piotr Kożuch**. „Most Brookliński“, przełożył **Adam Ważyk**). — **Jerzy Putrament**: Sztuka wojenna 1939—1944. — **Stanisław Piętak**: Ostatnia noc. — **Adam Ważyk**: Pozycja artysty. — **Zbigniew Piotrowski**: U dna milczenia... — **Stanisław Jerzy Lec**: O Lucynie Herz, Wojsk Polskich podporuczniku. — **Zbigniew Bieńkowski**: W imię Twoje. Prośba. — **Stanisław Nadzin**: Krótkie opowiadania. — **Stanisława Zakrzewska**: Będę z Tobą. — **Jan Huszcza**: Apostrofa. — **Mieczysław Jastrun**: Poezja i poetyczność. — **Jerzy Wolff**: Aristide Maillol. Pierwsza wystawa Z. Z. A. P. w Lublinie. — Miscellanea. — **Wacław Iwaszkiewicz**: Nowy Norwid. — **Stanisław Piętak**: „Uciekła mi przepióreczka“ w teatrze lubelskim. — **Zbigniew Bieńkowski**: Poranek autorski Juliana Przybosia. — **Kronika.** — Laurowo i ciemno. — **Jan Sztaudynger**: Fraszki. — **Jerzy Zaruba**: Życie artystyczne Lublina w obrazkach (4 rysunki). — 9 zdjęć (w tym zdjęcia **Wł. Forberta, K. Kapustiańskiego** i **H. Makarewicza**). — 12 stron.



Ułani, ułani...

fot. Wł. Forbert

LECH NIEMOJEWSKI

Popioły Feniksa

Warszawa była zawsze największym skupiskiem architektów polskich. Tutaj życie architektoniczne pulsowało najżywszym rytmem. Tutaj ciosy niemieckie padły najsilniej. Tutaj przeżyliśmy pierwsze najtragiczniejsze dni tej wojny, dni oblężenia wrześniowego w 1939 r. Zaledwie dymy opadły, zaledwie zdołaliśmy sobie zdać sprawę z niepowetowanych szczerb, jakie powstały wśród pomników Warszawy, dowiedzieliśmy się o nowym ciosie, o zarządzeniu „Bausperre“, czyli wzbronieniu jakiejkolwiek pracy konserwatorskiej i budowlanej. To, czego nie zdołały zburzyć pociski, miało rozpaść się do reszty pod działaniem czasu, mrozu i deszczu.

Chcąc ratować cośkolwiek należało podciągnąć ratowane budynki pod strychulec budownictwa wojskowego lub innego przeznaczonego na wyłączny użytek władz niemieckich.

Śmierć twórcy i kierownika Zakładu Architektury Polskiej profesora Oskara Sosnowskiego była pierwszą i najboleśniejszą stratą, jaką poniósł polski świat architektoniczny, a z nim nauka polska, w czasie tej wojny. Zginął tragicznie we wrześniu 1939 r. niosąc pomoc rannym podczas bombardowania Warszawy. Pocisk urwał mu nogę. Rannego nikt nie zauważył, gdyż było już ciemno. Umarł nazajutrz z upływu krwi.

Prof. Sosnowski stworzył Zakład Architektury Polskiej i postawił go na światowym poziomie, utrzymując kontakt z placówkami naukowymi wszystkich pięciu kontynentów. Przed wojną Niemcy z szacunkiem odnosili się do jego pracy i często zwracali się do jego Zakładu z prośbą o pomoc w pracy naukowej. Gdy weszli do Warszawy jako zwycięzcy, zjawili się w Zakładzie w mundurach i już nie prosili lecz żądali, nie pytali lecz rozkazywali. Nie trudno było zgadnąć, że Zakład Architektury Polskiej stanowi zaporę dla propagandy niemieckiej, zaprzeczającej naszemu dorobkowi kulturalnemu, naszej kulturze, naszej samodzielnej drodze rozwoju. Jedynie taktowi i zimnej krwi współpracowników zmarłego profesora należy zawdzięczać, że udawało się usuwać w porę bezcenne materiały i dokumenty, a w razie niemożności, zabezpieczyć chociaż duplikaty lub kopie. Gdy jednak nacisk stawał się coraz silniejszy, powzięto myśl rozproszenia wśród uczniów i pracowników Zakładu najcenniejszych dokumentów. Tą drogą poszły również i inne zakłady i wreszcie udało się zabezpieczyć najcenniejsze zbiory, książki i prace. Do 1 sierpnia 1944 r. było wszystko. Co z tego jest jeszcze dzisiaj? Nie wiadomo.

Nie obeszło się bez ciosów, które tu i ówdzie padały czyniąc poważne szczerby.

Niepowetowaną stratę wyrządził pożar w czasie powstania, niszcząc dorobek pięcioletniej pracy Komisji Rzeczoznawców Urbanistycznych przy prezydencie m. Warszawy.

Natychmiast po upadku Warszawy profesorowie Wydziału Architektury powzięli uchwałę, ażeby zaproponować współpracę ówczesnemu prezydentowi miasta Stefanowi Starzyńskiemu. Byłem tym, któremu powierzono złożenie tej oferty. Byłem też jednym z ostatnich, którzy rozmawiali ze Stefanem Starzyńskim przed jego aresztowaniem, gdyż prawie natychmiast po pamiętnej rozmowie, w której wyniku utworzona została Komisja Rzeczoznawców Urbanistycznych, aresztowano i wywieziono z Warszawy tego, który chciał widzieć Warszawę w kwiatach i zieleni, a musiał ją żegnać spowitą w kiry i zalaną łzami.

Prezydent zniknął bez śladu, lecz pozostała stworzona przezeń Komisja. Komisja ta, do której weszli nie tylko profesorowie Politechniki, ale także i przedstawiciele Towarzystwa Urbanistów oraz Stowarzyszenia Architektów Polskich, stanowiła ciało orzekające w sprawach odbudowy Warszawy prowadzonych przez Miejskie Biuro Planowania. Z czasem członkowie tej Komisji, a później i restytuowane częściowo pod zmienioną nazwą zakłady Politechniki, wykonali szereg prac wchodzących w zakres działania miejskich biur projektowania, które wobec uszczuplenia personelu inżynierskiego nie mogły wykonywać projektów we własnym zakresie.

Niezależnie od tych projektów Komisja Rzeczoznawców miała za zadanie przygotowanie projektu organizacyjnego przyszłych (powojennych) władz budowlanych stolicy i zakresu ich działania. W rezultacie tych prac powstał memoriał Komisji, obejmujący całokształt spraw architektonicznych dotyczących odbudowy i przebudowy centrum miasta, czyli t. zw. „Warszawy Stanisławowskiej“, który łącznie z repliką Wydziału Planowania miał stanowić statut organizacyjny organów budowlanych Warszawy powojennej. Niemcy odnosili się do tych prac obojętnie, chociaż o istnieniu Komisji wiedzieli, a nawet legitymacje członków Komisji były przez nich honorowane „pieczątką z wroną“ (tak vox populi nazywał okrągłą pieczątkę z orłem hitlerowskim zabezpieczającą od łapanek). Obojętność ta miała swe źródło w fakcie, iż niemieckie biuro miejskie przygotowywało własny plan przebudowy Warszawy, o którym dochodziły nas głuche wieści. Plan ten przewidywał całkowitą zmianę konfiguracji miasta, zacieśnienie jego granic, co wówczas wydawało się nam niedorzecznością, a co dzisiaj po spaleniu miasta nasuwa przypuszczenie, czy przypadkiem już wtedy nie planowano całkowitej zagłady Warszawy w jej historycznej postaci.

W starym i szpetnym, ale bardzo kochanym gmachu Wydziału Architektury tętniło najintensywniejsze życie Architektury Podziemnej: tutaj przygotowano wszystkie projekty Warszawy Przyszłości, które w pamiętnych dniach powstania zapadły się w nicość razem z miastem, dla którego je sporządzano, pracując z sercem na dłoni i duszą na ramieniu. Tutaj przeprowadzono szereg prac o kapitalnym znaczeniu dla Polski powojennej. Zarówno prace badawcze, jak doktoraty i habilitacje prowadzono pod kątem zagadnień konkretnych, jakie wypłyną w Polsce powojennej.

Istnienie oficjalne Wydziału Architektury zostało przez Niemców przekreślone i to nie bez pewnej złośliwości, gdyż początkowo pozwolono na dokończenie zaczętych przed wojną prac dyplomowych oznaczając termin ostateczny ich złożenia. W dniu tym, gdy prace już zostały złożone, zezwolenie cofnięto i nie pozwolono wydawać dyplomów. Później, gdy wojna „błyskawiczna“ przedłużała się coraz bardziej, władze okupacyjne zdecydowały się utworzyć ni to ni sio, w postaci t. zw. „Höhere Technische Fachschule für Bauwesen“. Nie był to Wydział Architektury, lecz raczej „Budowlany“, o zakresie nieco wyższym niż t. zw. „półdyplom“ Politechniki. Starano się zużytkować niektóre siły profesorskie Politechniki Warszawskiej, lecz pominięto takie przedmioty jak np. architektura polska, wychodząc z założenia, że nie podobna prowadzić wykładów o czymś, czego nie ma. Faktu istnienia jakiejkolwiek odrębności architektury polskiej Niemcy nie uznawali. Ponieważ istniała obawa, że władze niemieckie zechcą prowadzić wykłady architektury niemieckiej, na co nikt z nas nie miał ochoty, ograniczyliśmy program przedmiotów historycznych do zakresu form architektury klasycznej. Nawiasem dodam, że w czasie wojny prof. Lalewicz opracował podręcznik swego wykładu zatytułowany „Architektura Hellady“. Podręcznik ten ukazał się w postaci skryptów odbitych na powielaczu.

Przekształcenie Wydziału Budowlanego w „Höhere Fachschule“ miało kolosalne znaczenie dla Wydziału Architektury. Bowiem przy tej uczelni, która mieściła się w lokalu dawnego Wydziału Architektury, utworzono „Institut für Bautechnik“. Zakład ten miał prawo wykonywać zamówienia prywatne, toteż Zarząd Miejski kierował do niego wszystkie projekty dotyczące przebudowy Warszawy. Praca w Zakładzie połączona z wykładami Szkoły Budowlanej, uzasadniała w dostatecznej mierze pobyt na terenie szkoły młodzieży męskiej i żeńskiej schylającej głowy nad rysunkami.

Tak powstał konspiracyjny Wydział Architektury, który funkcjonował przez kilka lat i w momencie wybuchu powstania liczył z górą 250 słuchaczy. Wydano kilkadziesiąt prac dyplomowych, przeprowadzono kilkanaście promocyj doktorskich i habilitacyj. Rezultat naukowy przedstawiał się w postaci przygotowania całkowicie młodego, odświeżonego zespołu profesorskiego, dla zastąpienia nas starych oraz szeregu dzieł o podstawowym znaczeniu dla przyszłości.

Gdzie ich teraz szukać?

Nie umiem wytłumaczyć, jak się to stało, że konspiracja przetrwała do końca, że nie było ani jednej „wsypy“. A bywało różnie. Raz się zdarzyło, że Niemcy mundurowi robiący przegląd gmachu w nieznanych nam bliżej celach, zdaje się, że chodziło o możliwości kwaterunkowe gmachu, weszli do sali, w której odbywał się wykład architektury polskiej. Chwila konsternacji, poczem wzajemne wysoce kurtuazyjne przeproszenia. Nie zawsze byli tak kurtuazyjni. Kiedyś wpadli do biblioteki i zabrali z niej bibliotekarza, asystenta prof. Lalewicza. Nie wiem co się z nim stało. Słuch o nim zaginął.

Pracę na Wydziale Podziemnym pojmowano bardzo poważnie. Obie strony, zarówno profesorowie jak i studenci, zgodziły się, że jeżeli zdecydowano się kłaść głowę pod ewangelię, to już nie na kpiny, lecz dla wyników konkretnych. Studenci chcieli stworzyć „złotą serię“ naszej szkoły. Ta „złota seria“ okazała kryształowe serca. Przypuszczam, że wszyscy byli w powstaniu, bo wielu z nich nadstawiało karku przez cały czas. Byli tacy, co bledli z tremy przed egzaminem, a z uśmiechem na ustach wchodzili z rozpylaczem do Arbeitsamtów, żeby zniszczyć kartoteki...

W czerwcu 1944 roku przeżywałem jedną z najpodnioślejszych chwil doby okupacji niemieckiej, kiedy to gościłem w swoich progach Radę Wydziału in corpore oraz wszystkich doktorów i docentów promowanych i habilitowanych podczas wojny. Było to ostatnie posiedzenie Rady Wydziału Architektury. Obsadzono wtedy wszystkie „vacat“ naszego Wydziału, pozostała suta nadwyżka dla innych politechnik. Zwróciłem się wówczas do prof. Kamińskiego z przemówieniem, w którym wskazywałem, że święcimy obaj 30-lecie współpracy, gdyż tak samo wtedy jak i dziś układaliśmy program politechniki i plany na przyszłość. Dzisiaj to samo co przed trzydziestu laty. Oto nasza dola. Zapytywałem wtedy prof. Kamińskiego, co będzie za nowych lat trzydzieści? Nikt z nas nie troskał się o to, co będzie za dni czterdzieści!

Powiedziałem, że był wtedy u mnie Wydział Architektury in corpore. Niestety. Brakowało prof. Sosnowskiego, brakowało prof. Świerczyńskiego, który po ciężkich przejściach 39 roku (silna kontuzja) zaniemógł na serce, a gnębiony nadto cukrzycą zmarł w maju 43 roku. Nie było między nami dziekana Wydziału w osobie prof. Stefana Bryły, który dwakroć aresztowany i trzymany na Pawiaku został ostatecznie zamordowany na ul. Rakowieckiej wraz z innymi „bandytami“ według przyjętego rytuału: w papierowym ubraniu, z ustami zagipsowanymi i związanymi rękami. Prof. Bryła był kaleką i chodził stale o lasce. Na śmierć poszedł bez laski...

Dziwne stanowisko zajęli Niemcy w stosunku do Zamku Królewskiego. Informacje jakie w tym zakresie posiadam, są jak się zdaje ścisłe i pochodzą z wiarygodnego źródła. Otrzymałem je w takich okolicznościach, że jeszcze w roku 1940, zdaje się że w lutym, postarałem się je przesłać na Zachód, korzystając z pomocy czynników neutralnych. Według tej wersji, Hitler pamiętając, że na Zamku Warszawskim gen. niemiecki von Beseler ogłosił w r. 1915 jakoby niepodległość Państwa Polskiego, które okazało się tak krnąbrnym w dwudziestu cztery lata później, uznał za stosowne, a raczej niezbędne, zetrzeć z powierzchni ziemi gmach, w którym owa „nie zasłużona“ niepodległość została ogłoszona. Później starano się to nieco inaczej przedstawić, lecz fotografie podchwycone ukradkiem pozwoliły zgromadzić materiał dowodowy wskazujący, że Zamek Warszawski niemal wcale nie ucierpiał od działań wojennych podczas zdobywania Warszawy. Zniszczeniu uległ jedynie dach, oraz Sala Kolumnowa idąca przez dwa piętra. Bomba lotnicza uderzyła w kopułę nad salą, niszcząc wiązanie drewniane oraz zawieszony pod nim słynny plafon Bacciarellego.

Długoletni kustosz Zamku dr. Lauterbach, zamordowany później bestialsko przez Niemców wraz z żoną, był jednym z pierwszych, którzy po ustaniu walk wrześniowych przyszli na Zamek: on to opowiadał mi później, że kosztem jakichś 60.000 złotych można by Zamek uporządkować i nawet urządzić w nim „raut“ jak za dawnych czasów.

Po zapadnięciu wyroku, na Zamek wkroczyły „Vernichtungstruppen“, które zajęły się jego unicestwianiem z przysłowiową niemiecką pedanterią. Usuwano najpierw meble używając do tego Żydów z opaskami. Moment ten sfilmowano, a potem pokazywano w dziennikach filmowych z komentarzem oczerniającym Żydów jako rabusiów polskich dzieł sztuki. Później już nie było „polskiej sztuki“, ale wówczas gdy przygotowywano nastroje przeciwżydowskie, taki chwyt uznano za dopuszczalny. Władze miejskie rozpoczęły starania, żeby chociaż cokolwiek uratować z Zamku, który w wersji oficjalnej uznano za tak zniszczony działaniami wojennymi, że musiano przystąpić do rozbiórki ze względu na bezpieczeństwo publiczne. Każdy, kto chociaż trochę zna topografię Warszawy zdaje sobie sprawę, że gdyby nawet zdarzyło się kiedyś runięcie Zamku, to nikt z przechodniów nie ucierpiałby z tego powodu. Na propozycję zabezpieczenia pewnych fragmentów urządzenia i wyposażenia Zamku zgodzono się, lecz wskazano miejsca, w których należało złożyć „zabezpieczone“ przedmioty. Jednym z tych miejsc było Muzeum Narodowe, całkowicie w ręku władz niemieckich, drugie zaś znajdowało się na terenie późniejszego ghetta i w czasie pożaru w 1943 r. wszystkie zabezpieczone tam przedmioty spłonęły wraz z ghettem. Znajdowały się tam słynne posadzki i boazerie zamkowe. W ostatniej chwili, tuż przed podpaleniem ghetta, zorientowawszy się w niebezpieczeństwie jakie groziło tym bezcennym okruchom zamkowym, poczyniono przygotowania, by wykraść z ghetta co się da. Niestety, myśl powstała zbyt późno, a jedyny jej ślad znajduje się w moich rękach w postaci pięknie rzeźbionej girlandy złoconej pochodzącej z Sali Tronowej. Kto wie, czy ta girlanda nie jest ostatnim „mohikaninem“ Zamku Warszawskiego, który uchodził za jeden z najpiękniejszych zespołów architektonicznych końca XVIII w.

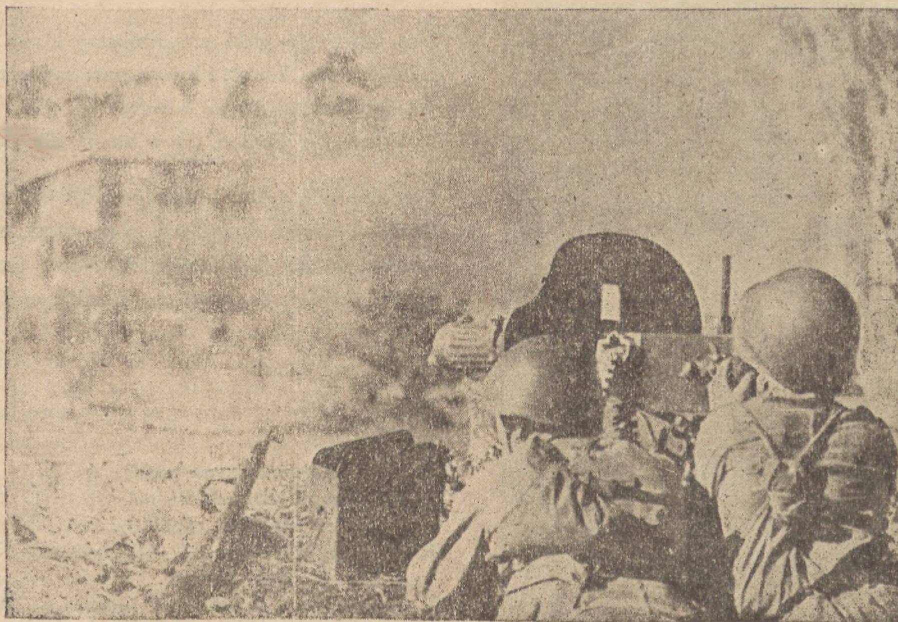
Zamek uchodził za jeden z najpiękniejszych obok Łazienek, które jak mówią spłonęły w czasie powstania. Ogród Łazienkowski był przez cały czas w rękach niemieckich.

W czasie niszczenia Zamku zaszedł epizod, o którym muszę wspomnieć, chociażby w kilku słowach. Dyrektor Muzeum Narodowego dr. S. Lorenz użerał się z Niemcami o każdy okruch zamkowy; „wzruszeni“ jego pietyzmem zrobili mu „prezent“ z plafonu w Sali Malinowej. Plafon ten obok plafonu Norblina w Łowickiej „Arkadii“ był jednym z najpiękniejszych plafonów XVIII w. nie tylko w Polsce. W każdym razie należał do t. zw. „klasy“ światowej. Może go sobie zabrać — powiedziano — jeżeli zdąży, bo prace rozbiórkowe posuwały się szybko naprzód. Naiwny Lorenz wziął propozycję dosłownie i zakrzątnął się wkoło przygotowań. Gdy zaczęto stawiać rusztowania, plafon spadł niemal wprost na głowy robotników, gdyż tymczasem podpiłowano od góry belki stropowe. Malowidło Bacciarellego zostało zniszczone. Dużo było potem śmiechu wśród Niemców.

Gdy już usunięto wszystko co stanowiło krasę naszego Zamku, przystąpiono do zakładania ładunków dynamitowych. Przez długie tygodnie wiercono otwory świdrami pneumatycznymi w „zwątlałych“ murach zamkowych. Potem z dnia na dzień prace przerwano. Podobno interweniował król włoski, a wtedy jeszcze liczono się z jego zdaniem.

Jest rzeczą zbyteczną mówić o tym, z jakim sercem witaliśmy każdą wieść nadchodzącą z Zamku. Toteż w miarę postępowania zniszczenia szerzonego wśród naszych pamiątek historycznych pod najróżniejszymi pretekstami a często i bez pretekstu, coraz bardziej krystalizował się pogląd, że jeśli przed wojną sprawa zabytków architektonicznych w Polsce należała do zagadnień historyczno-konserwatorskich, to wobec bestialstw niemieckich w tym zakresie przesuwała się do sfery zjawisk polityczno-narodowych. Odbudowa Zamku Warszawskiego stała się dla nas, więzionych pod okupacją niemiecką, bezsporną i niewątpliwą.

W tym czasie powstał projekt organizacji Akademii Architektury jako organu orzekającego w sprawach architektury jako sztuki i wyrazu kultury narodowej. Projekt ten wiązał się z reformą wyższego nauczania w Polsce. Przewidywał on zasadę dwustopniowości studiów. U podnóża wyższego szkolnictwa miały się znajdować politechniki z programem studiów bardzo rygorystycznym, zwięzłym, bezspor-



Z walk o Warszawę

fot. Edm. Zdanowski

nym, których ukończenie pozwalałoby wychowańcom podejmować zadania dnia powszedniego z pełnym pożytkiem dla społeczeństwa. Po czterech latach takich studiów wchodziłby w życie młody jeszcze człowiek, liczący zaledwie dwadzieścia kilka lat, pełen zapału do pracy i świadomy swych możliwości w służbie dla społeczeństwa. Umiałby wznosić domy mieszkalne w mieście, niewielkie zakłady przemysłowe, małe urzędy itp. Studia nie dopuszczałyby „snów o potędze". Takie sny są zdrowe dla tych, którzy wykażą dostateczną dozę ujawnionego w czasie studiów politechnicznych talentu i sił dla sprostania trudniejszym zadaniom. Ludzie tej miary mieliby dostęp, po zdaniu egzaminu konkursowego, do szkoły wyższej, będącej w sferze działania Akademii Architektury lub Akademii Technicznej, gdyby myśl ta przyjęła się (a zanosi się na to) wśród profesorów innych wydziałów. Limit wstąpienia do Akademii określano na trzydziesty rok życia. Do konkursu można przystępować trzy razy. Studenci Akademii otrzymywaliby całkowite utrzymanie na koszt państwa przez programowy czas trwania studiów. Po upływie tego terminu powinni przystąpić do konkursu końcowego. Zwycięstwo w konkursie dawałoby prawa do stypendium zagranicznego i do pracy państwowej. Do konkursu można stawać trzy razy, ale już bez pokrywania kosztów utrzymania przez państwo. Niezależnie od nauczania, członkowie Akademii byliby obowiązani do świadczenia swą wiedzą i talentem na rzecz państwa pracując w instytucjach badawczych, gdzie rozwiązywaliby wielkie problematy architektoniczne, programowe i teoretyczne, dbając o rozkwit wiedzy i sztuki architektonicznej.

Takie oto snuliśmy marzenia w owe dni okupacji niemieckiej pomiędzy jedną a drugą łapanką, pomiędzy jednym a drugim aresztowaniem.

Pracowano wiele dla przyszłości, przygotowywano się do podjęcia zadań, jakie spaść miały na nasze ramiona z chwilą oswobodzenia stolicy, kiedy wzmożone życie odrodzonego kraju będzie się domagało od architektów polskich odpowiedzi na tysiączne pytania, wykonania natychmiastowego najrozliczniejszych projektów. Chwila ta zbliżała się, potęgując tempo pracy, lecz nikt, dosłownie nikt spośród nas nie przypuszczał, że poprzedzi ją straszliwe intermezzo zapoczątkowane 1 sierpnia o godz. 5-ej po południu.

W owej tragicznej chwili Nemezis dziejowa, wziąwszy krwawą gąbkę do ręki poczęła pracowicie i systematycznie ścierać z tablicy naszych marzeń nie tylko obraz Warszawy jutrzejszej, wyśnionej w czasie przewlekłej nocy okupacji niemieckiej, ale również i dotykalną, trójwymiarową Warszawę wczorajszą, kolebkę naszych snów o potędze, ową „Scala Santa" dzieci Warszawy.

Z tarasu mego mieszkania na Saskiej Kępie widziałem jak padały wieże kościołów, jak rozpadały się kopuły, jak otwierały się nowe horyzonty naszej klęski, jak spoza bliższych domów wyłaniały się dalsze, ażeby z kolei usunąć się z pola widzenia i otworzyć widok na pustkę i ukazać słońce wyzierające krwawymi promieniami zachodu poprzez puste oczodoły domów. Wiatr niósł od Warszawy strzępki spalonych papierów. Może to resztki naszych planów przyszłej Warszawy padały popiołem do mego ogródka, w którym jeszcze nie tak dawno toczyliśmy nie kończące się dysputy?

Jak przedtem nie wątpiliśmy, że odbudujemy Zamek, tak dzisiaj widzę przed sobą Warszawę powstającą jak Feniks z popiołów, wybieloną naszą skruchą i wyzłoconą naszą miłością.

Lech Niemojewski



Na froncie
fot. Edm. Zdanowski

TEODOR BUJNICKI

* * *

Nawet wierszy pisać już nie umiem,
nawet krzyknąć nie potrafię głośniej.
W niespokojnie zapatrzonych oczach rośnie
wizja prostych i milczących trumien.

Wiem, że śmierć jeszcze bardzo daleko
czeka na mnie łagodna i dobra,
lecz już serce w śniady mosiądz się obleka,
jak sczerniały bizantyjski obraz.

Czuję zapach bursztynu i ambry
w wąskiej strudze wysokiego dymu,
myśli smutne się wiją jak meandry,
jak uparcie wracające rymy.

Z dnia na dzień liczę chwile nadchodzące,
może nawet piękne i szczęśliwe,
o zdarzenia błahe potrącam,
jak o strunę napiętej cięciwy.

I doprawdy nie wiem i nie myślę
O tym końcu, który z mgły wypłynie —
tylko widzę trumny, trumny, trumny —
jak łodzie na wezbranej głębinie.

1932 r.

Północ

Jeziora szeleszczą trzciną ocierającą się o brzeg.
Dzikie kaczki chmurami lecą. Z pagórków spełzają ścierniska.
Bydło ryczy. Liczymy dni falujących bieg
jarmarkami we środy i piątki, festami bliskich kościołów.

Dymią kominy czarnych chat. Wieś wyległa na kartofliska.
Deszcze zgnoiły pokosy. Zboże spaliła rdza.
Niewody ciągną ubogi połów.
Wieczorem jeziora stygną w surowy ołów.
Na łąki osiada mgła.

Nad ziemią wisi niedobre niebo. Wiatry szarpią konary drzew.
Złota jesień nam nie da dzisiaj papierowych i srebrnych złotych.
Pod jasnymi czuprynami szare oczy. W oczach niezaradny i niezdarny gniew
ręce podnosi ku niebu grożąc.
Ręce opadają ciężko
rzędem zabłoconych motyk.

1933 r.

Kora

By obrodziły pola chlebodajnym płonem,
By drżały puchem ruin i kłosem zielonym
Kołysały senne obłoki,

Musi ziarno, rzucone w skiby twardej gleby
Zstąpić w głąb, w śmierć pozorną, w mrozem [ścięty niebyt,
W korytarze i ciemne zatoki.

Tu, w podziemnych tunelach, w umarłych [kolorach,
Gdzie cień tylko jest barwą, zapachem i głosem—
Czekają śpiące ziarna nadchodzących wiosen,
Czeka bogini Kora.

Nie umiemy już greckiej legendy,
Nie składamy dalekich przenośni,
Ale wiemy, jak młode pędy,
Wyciągają ramiona ku wiośnie.

Jak w te mroki okute lodem
Wsiąka woda stopniałych śniegów
I jak krople w strumyki się łącząc
Po brunatnych tunelach biegną.

Jak wśród nasion korzeni
Nabrzmiewają soki żywotne
I tryskają promieniem zieleni
Parujące, lśniące, wilgotne.

A to właśnie jest Kora, bogini,
A to właśnie jest legendy dźwięk szklanny.
Oto idzie po zbudzonych ugorach
I pierwsze wiosenne kwiaty
Kładzie na czoła poległych i rannych
Kora.

1940 r.

Ars Poetica

To rozkosz mieć dłoń silną, co bez trudu może
Napiąć łuku cięciwę, by grała jak struna,
Kiełzać dzikie rumaki porwane z tabuna,
Śpiewać pieśń kalinową, tonąc po pas w zbożu.

Pejzaż wiosny, po szyję zanurzony w światło,
Okrzyk młodej radości i miłość gołębia —
Temat toczy się wartko, o rym się zazębia
Jak przepisowy trybik w maszynie. To łatwo.

Łatwo jest wiersz napisać, kolorowe szkiełka
Pryzmat kalejdoskopu w rozgwiazdy przekształca,
Modra źrenica ognia ukryta w zapałce
Da płomień, co po korze złotą strugą pełza.

I to łatwo: do głębi przyswoiwszy słowa
Dźwięk i ton, kształt i barwę, nurt zawartej myśli,
Na aptekarskiej wadze odważać je ściśle,
By utkwiło w pamięci, jak w bursztynie owad.

Lecz nie sądź, że już klucze posiadłeś sekretu,
Siodłając wiersz skrzydlaty, ujarzmiony wyraz.
Chociaż do rąk ci dana pełnodźwięczna lira,
Spytaj siebie w pokorze: czy jesteś poetą?

Czy potrafiłeś patrzeć na czyny i rzeczy,
Czyś już dojrzał w wysiłku, w pracy i ocenie?
Czy wiesz, co to jest mądrość, co to jest cierpienie,
Czy tylko się zapierasz, czy naprawdę przeczysz?

Opowiedz, co widziałeś? Czy już w ciebie wrosły
Wszystkie gorycze świata i jego słodycze,
Czy wiesz, jak krew się leje, czy wiesz, jak ból [krzyczy?
Jak napór wód rozbitkom z rąk wydziera wiosła?

I jeszcze to: czy umiesz powitać z uśmiechem
I gestem rozgrzeszenia każdą słabość ludzką,
A w głupią pychę bliźnich i ducha ubóstwo
Wejść jak promień do okien ślepnących pod [strzechą?

Jeśli tak, jeśli w sobie masz prostotę ucznia
I niespokojny ogień, trawiący a czysty,
Jeżeli twoje pióro, jasna broń artysty
Jest jak w dłoni Jerzego smokobójcza włócznia,

Jeżeli się w serc głębię wrąbiesz jak kilofem,
Jeśli morze rozpętasz i gwiazd krwawych zamieć—
Wtedy—będziesz szczęśliwy, skoro ludzka pamięć
Przekaże przyszłym wiekom jedną twoją strofę.

9.I.1943.

Lipiec

Rzęsisty deszcz zaczyna padać,
praży ciosami celnych kropel,
siecze w korony lip i topól
jak śmiech, jak płacz, jak dzika radość.

Jezioro dymi białym kurzem
i szumi gęsty śrut ulewy,
a małe czarnogłowe mewy
krzyczą zwiastując przyjście burzy.

I tylko tyle. Osiem wierszy
o tym lipcowym ciepłym deszczu.
Już słońce jak złocisty szerszeń
wyfruwa nagle z krzaków leszczyn.

Czwarta jesień

Znowu, raz jeszcze, odchodzi
Lato — ach, jakie mizerne!
Ścieżką wysłaną liśćmi,
Które opadły z brzóz.

Niebo znużone najsłodziej
W chmurki ubrane misterne
Każe bez celu iść mi
Przez zwiędłe chwasty i gruz.

Policzmy, któraż to jesień
Niby przebiegła oszustka
Blednącym latem okrywa
Wytrwałej nadziei trop?

Żółto-czerwony deseń:
Melancholijna wypustka,
W gałganki ubrana grzywa,
Dożynek jałowy snop —

A może jednak coś mówi,
Może obietnic dotrzyma
Szkarłatny listek jesionu
Podjęty ostrożnie spod nóg?

I wstanię z jesieni i ruin
Groźna ostatnia zima,
A wiosna, wiosna zielona
Umai zdeptany próg.

5.X.1943.

STANISŁAW JERZY LEC

Leśni nocują

Sosna jak kwoka czarna nad nami —
my u korzeni snami wessani.

Po kościach kwaśno z mokradeł ciągnie,
a tu nie sposób rozpalić ogni.

Nogi — dwa trupy, para topielic
w całunach onuc. Na cuda nie licz.

Jest jeden brezent, radzistka słucha,
daleki kornik w bębenek stuka.

Ptak czasem przez sen tak tęsknie ćwierknie,
że łeb byś nakrył, gdybyś miał derkę.

Jak babę grzejesz sobą automat,
czort wie szwab może stąd o kilometr.

Chrapią, wszy tłuką, ech nasermater —
lecz w chłopcach moich, coś — że bohater.

Mrówki po śpiących ciągną ciężary
sen nagle staje, koń nagle zarży

i pyskiem wonnym, dymiącym łąką
po śnie i włosach twoich się błąka.

A warty chodzą chwiejnym rozkrokiem,
potkną się czasem. Śnią jednym okiem.



Na froncie
fot. Edm. Zdanowski

ADAM WAŻYK

„Wesele" jako dokument społeczny

Kilka generacyj oglądało „Wesele" i rozmaicie patrzyło na to osobliwe splątanie rodzajowej anegdoty i wielkiej sprawy, realiów małopolskich, zjaw i symbolów. Pierwsze odkrycie — na premierze krakowskiej w 1900 — dotyczyło anegdoty: na scenie, jak w szopce, zjawiły się osobistości znane w ówczesnym środowisku artystycznym. Pan Młody — to Rydel, Poeta — to Kazimierz Tetmajer, Gospodarz — to jego brat Włodzimierz, malarz... Ale Wyspiański mierzył figury tej szopki nie bylejaką skalą, bo skalą zdolności do podjęcia walki niepodległościowej. Szopka rozwinęła się w wielkie widowisko narodowe. Mówiąc po prostu — to właśnie interesuje nas dzisiaj, w 1945 r. w Lublinie. I dlatego interesuje nas także postawa dwóch warstw społecznych ukazana w sztuce 1900 roku, chłopstwa i owej schyłkowej inteligencji, dekadentów, którym Wyspiański wypominał w „Weselu" niezdolność do czynu.

SCHYŁEK STULECIA

Skompromitowana przez Wyspiańskiego chłopomania krakowskich sfer literackich i artystycznych była przejawem szczególnym powszechniejszego zjawiska, „schodzenia w lud" ówczesnej inteligencji małopolskiej, której pochodzenie drobno- czy średnioszlacheckie stanowiło cechę nader istotną.

Sam Gospodarz dość brutalnie w perorze swojej na zakończenie drugiego aktu demaskuje fałsz obyczajowy tych gości z miasta. Gospodarz rzuca im „w pysk" wyzwanie z racji swojej własnej pozycji społecznej. W anegdocie „Wesela" jest to malarz, inteligent ożeniony z chłopką. W istotnych dla sztuki momentach występuje jako drobny szlachcic, przedstawiciel zanikającej warstwy społecznej, która wydawała „niegdyś gdzieś tam tęgie pyski, i do szabli i do miski". Na tej przecież warstwie w dużej mierze opierały się powstania narodowe XIX wieku, ona też wydawała inicjatorów ruchu niepodległościowego. W alkoholicznej frenezji albo raczej w chwili trzeźwości ten chłopiejący Gospodarz wyznaje, że rola historyczna tej warstwy wyczerpała się ostatecznie. A jednak wciąż mu się marzą „piękni Polacy" tego właśnie pokroju, i wciąż jeszcze — Wernyhora. Bo refleks jego marzeń, Wernyhora — symbolizuje poruszenie chłopstwa pod przewodem tejże drobnej szlachty. Propozycja takiej insurekcji rodzi się na weselu i ginie w zaczarowanym kręgu zabawy, bezwładu i bezsilności, jakoby z winy parobka, próżnego Jaśka, w którego ręce złoty róg wyzwolenia Gospodarz przekazał. Nie oddawajcie chłopu kierownictwa — taka miała być ponoć intencja Wyspiańskiego, wyrażona, a właściwie zatarta w tej mglistej symbolice. Nie symbole i nawet nie intencje decydują o wydźwięku utworu literackiego. Nie dostrzeżemy w „Weselu", aby ktokolwiek z tych pogrobowców szlachetczyzny, robiących obrachunek sumienia na progu nowego wieku, myślał rzeczywiście o przekazaniu kierownictwa w inne ręce. Przeczucie kierownictwa, które by wyszło z łona i ducha samego ludu, świta jedynie w postawie chłopa Czepca.

Inteligencja ukazana w „Weselu" zwraca się ku wsi, szukając podpórki nie tyle już w zanikającej drobnej szlachcie, ile w chłopstwie. W życiu osobistym będzie to mariaż z gospodarską córką. Dla poety czy innego artysty będzie to mitologizacja chłopa: „A to co tu nas otacza, zdolność nasza przeinacza: w oczach naszych chłop urasta do potęgi króla Piasta!" Cała ta warstwa inteligencji miejskiej żyjąca tradycjami szlacheckimi, zaczęła przymilać się do ludu wiejskiego w poczuciu swojej słabości i dekadencji, wywołanej nowym układem sił społecznych. To co ją podrywało moralnie, miało swoją główną przyczynę nie w zaniku warstwy drobnoszlacheckiej jako odrębnej siły na wsi, ale w rozwoju przemysłu miejskiego. Uciekało się na wieś przed miastem. Była to ucieczka i przed kapitalizmem i przed proletariatem miejskim. A skoro nie podobna już nawet pomyśleć o ruchu niepodległościowym bez szerokiego udziału mas ludowych, więc hamletyczni chłopomani „Wesela", dekadenci myśli szlacheckiej gotowi są łaskawie wybaczyć ludowi rabację 1846 roku, którą wciąż uważają za zbrodniczy wybryk natury chłopskiej, a nie za groźne memento dla władającej ziemią szlachty.

Podstawowy antagonizm chłopstwa i ziemiaństwa, który rozdzielał naród, w ciągu XIX stulecia zaciążył nad losem powstań narodowych, ale błędem byłoby sądzić, jakoby ci dekadenci marzący o czynie zrozumieli to i uznali konieczność rozwiązania tego konfliktu na rzecz chłopstwa. Wymownie świadczy o tym ich atmosfera duchowa ukazana w „Weselu" i, niestety, dzieje ich dalsze.

DEKADENCI W SUKMANIE

Nie od rzeczy będzie przypomnieć klasyczny przykład „schodzenia w lud" wiejski, ruch narodników rosyjskich. Kiedy w Rosji zaczął się rozwijać z opóźnieniem w stosunku do innych krajów Europy przemysł fabryczny, szybko zmieniając układ życia, odstręczona inteligencja uważała jednak, że kapitalizm w Rosji jest czymś przypadkowym, nieistotnym, że nie zapuści korzeni. W walce z caratem szukała wyłącznie oparcia w chłopstwie, ignorując robotnika. Ruch ten rychło wyrodził się w mistykę i terroryzm, gdy tymczasem szybko rosnąca klasa robotnicza zaczęła się organizować, podejmując walkę na innych zasadach.

Przyczyna ekonomiczna i podstawa rozumowania u chłopomanów małopolskich była ta sama, ale inne było miejsce i czas, inna struktura tej inteligencji, inna skala działania. Małopolska była najmniej uprzemysłowioną częścią rozdartego na trzy zabory kraju. Kapitalizm, właśnie dlatego że słaby, że wytwarzał stosunkowo nieliczną klasę robotniczą, wywołał ten bardzo opóźniony historycznie refleks „schodzenia w lud". Chłopomania trąciła raczej parodią ruchu, od początku była szopką, fałszem, nastrojem kochajmysim dekadenckiej inteligencji, która nie wyzbyła się ani związków materialnych ani ideowych ze szlachetczyzną, słowem była to smutna w istocie zabawa, którą Wyspiański zamknął w symbolicznym kręgu „Wesela". Myśl o niepodległości kołatała się w skarłowaciałych duszach i nie mogła wyjść poza krąg bezusilnych marzeń, a tymczasem po pięciu zaledwie latach, na hasło rewolucji rzucone przez lud rosyjski, odezwał się pod zaborem carskim zorganizowany do walki robotnik polski i pojął narodowy obowiązek wyzwolenia.

ŹRÓDŁA I UJŚCIA

Nie po to kokietowało się lud, aby sprawy jego istotne podnosić. I nie po to wsiadało się do socjalistycznego tramwaju, aby się w nim zasiedzieć koło przystanku: Niepodległość. Wcześniej lub później trzeba było wyskoczyć.

Kinkiety „Wesela" rzucają jadowite światło na doświadczenia lat późniejszych. Bo stało się tak, że panowie z tej samej szlacheckiej formacji duchowej, którzy „bałamucili się narodowo" w roku 1900, potem w latach niepodległości zaczęli naród bałamucić.

Atmosfera duchowa, którą oddychają Pan Młody, Poeta, Dziennikarz, treść ich myśli i przeżywań — ma swoje źródła w przeszłości szlacheckiej, feodalnej. Wielkość tradycji narodowej uosobiona w Stańczyku i Rycerzu grunwaldzkim przytłacza, gnębi, prześladuje tych schyłkowców. Marzą o potędze, nie wiadomo tylko czy dla narodu czy dla siebie, bo wciąż się z narodem identyfikują. Mętne, zgiełkliwe, upoetyzowane sny o potędze zastępują im myśl społeczną i narodową, marzenie o tym, że wstanie „któryś wielki, jakiś polski święty", streszcza ich cały pogląd na historię. Spierają się z widmami przeszłości, nie wiadomo dokładnie o co, ale spierają się o jakąś inną, nową, niewyraźnie kiełkującą myśl mocarstwową.

W roku 1900, w Krakowie, wszystko to było frazeologią poetycką i brzmiało niewinnie aż do roku 1914. W tym okresie spływali do Krakowa młodzi dekadenci szlacheccy pod rozmaitą barwą ochronną, jako chłopomani, eks-socjaliści, półsocjaliści, syndykaliści, słowem wykolejeńcy, których nie mógł wchłonąć rodzimy aparat państwowy, bo takiego aparatu nie było. Miał powstać dopiero w Niepodległej.

Pogrobowcy szlachetczyzny poszli do legionów napozór pojednani z nurtem demokracji. Nie ci naiwni, oszukani demokraci legionowi, którzy wierzyli w Polskę Ludową, ale to oni właśnie mieli nadać ton w późniejszym życiu politycznym i umysłowym, rządzić metodą kliki, tworzyć pojęcia, język polityczny, wykuwać legendy. Po sukmanie z „Wesela" kurtka legionisty była dla nich jeszcze jednym przebraniem. Chlubili się, że z bezwładnego kręgu Chochoła wyrwali się na gościniec historii. Stwarzając mit o sobie, chętnie wyprowadzali z poetyckiej atmosfery „Wesela" swój rodowód duchowy. „Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca..." Rodowód jest niesfałszowany, autentyczny, poświadczyła go historia dwudziestu lat niepodległości. Z pojęć i myśli błąkających się przed laty wśród gości „Wesela" wyrosła oficjalna, sanacyjna frazeologia państwowotwórcza, nowoczesna faszyzująca myśl mocarstwowa, patos karłowatego imperializmu. Taki był ostatni występ teatralny w kraju tych pogrobowców szlachetczyzny, drogo opłacony przez naród. I znowu jak przed wieloma laty, „szopka, podłe maski, farbowany fałsz, obrazki", za którymi tym razem kryły się apetyty żarłocznej kliki, rojenia głupca obszarniczego o podbojach na Wschodzie i niewidzialny dla publiczności prześwietny duch finansjery.

Taką refleksją historyczną przemawia dzisiaj „Wesele".

W TEATRZE WOJSKA

Na krakowskiej premierze „Wesela" w 1900 r. kluczową postacią była, rzecz prosta, Rachel— szafarka nastrojów. Pozostała nią przez długie lata w tradycji teatralnej, chociaż poetyczności jej dawno przebrzmiały wraz z całym gatunkiem literackim „Wesela". Nastrojowe, secesyjne, skąpane w symbolicznych powikłaniach „Wesele" ma jednak warstwę trwałego gruntu: to właśnie warstwa chłopska. W panoramie osób charaktery chłopskie, realistycznie, ostro zarysowane, kontrastują z rozpylonymi w nastrojach duszami pogrobowców szlachetczyzny, co więcej — w surowości swojej górują nad całym młodopolskim kuglarstwem scenicznym. Więc Czepiec, więc Panna Młoda... A to, że chłop potęgą jest, że jeśli nie pójdziecie z nami, to my na was i z kosami, że pon widzisz ino pchły, a nie chcesz znać co są my, że wreszcie — Polska puka pod piersią za zakładką gorseta, tuziny zdań o chłopie, albo przez chłopa wypowiedziane, obiegające jak przysłowia, jak hasła — tworzą jak gdyby złoty fundusz rzeczywistej wiary w siłę ludu, zawartej w tekście „Wesela".

Teatr Wojska wystawił „Wesele" w reżyserii Jacka Woszczerowicza. Reżyser wahał się — i nie trudno to wahanie zrozumieć — między tradycjami teatralnych interpretacji „Wesela", a świeżym spojrzeniem na tę powikłaną sztukę z perspektywy dni dzisiejszych i doświadczeń natury ideologicznej. Starał się jednak uprościć bez rażących skrótów powikłania tekstu, poskromić nieco w inscenizacji wyuzdaną, wieloznaczną symbolikę, uwydatnić natomiast ową wiarę w potęgę chłopstwa. Nie tylko więc Czepiec *(Stanisław Kiszelka)* ale i Panna Młoda *(Ryszarda Hanin)* nabrała pożądanej ostrości, a widmowy Szela *(Kazimierz Wichniarz)* jadowitym szyderstwem płoszył sielankę weselną. Tym postaciom reżyser nadał wyraźny charakter społeczny. Gospodarz *(Władysław Krasnowiecki)* kroczył raczej po śladach anegdotycznej tradycji teatralnej. Na zakończenie II aktu dał świetną perorę. Inne mniejszego formatu postacie wiejskie, całkowicie przemawiały do przekonania. Scena Isi *(Sabina Chromińska)* była dużą inowacją na niewielkim odcinku. Rachel *(Halina Kossobudzka)* zbyt jednostajna w swojej egzaltacji, nie w czerwonym, ale w zielonym szalu wyglądała jak postać skalkowana z Burne-Jonesa.

Stańczyk *(Jacek Woszczerowicz)* wypowiadał swoje osławione kwestie z pasją i mądrością, nie pozwalając sobie na żaden gest nawet wielkiego błazna. Zdaje się, że takie postępowanie było z wielu względów najsłuszniejsze. Natomiast scena z widmem zmarłego narzeczonego zalatywała grand-guignolem, bo rzeczywiście takie sceny w naszych czasach już nie uchodzą. Były i pewne nieporozumienia. Młodzieńczy, naiwnie uszczęśliwiony Pan Młody *(Jan Świderski)* zapomniał, że jest dekadentem, który rozgrzewa w sobie przestygłą krew przy gospodarskiej córce, a Dziennikarz *(Józef Maliszewski)* grający na nucie rozpaczy sprawiał wrażenie ojca zadżumionych. Poza tym udali się prawie wszyscy goście z miasta. Ci, których nie wymieniam, niech mi to wybaczą, stawianie cenzurek jest żenującym zajęciem i wcale nie czuję się do tego powołany. Najbardziej zażenowany jestem wobec Poety *(Jan Kreczmar)*, ile że to kreacja bardzo piękna, czarująca klarownością słowa. Wyłuszczając tu powinowactwa społeczne i duchowe, wcale nie chciałem tłumić tego czaru.

Doświadczeni aktorzy, którzy przez pięć lat okupacji nie przemawiali ze sceny, zeszli się z młodymi aktorami, którzy rok temu stawiali pierwsze kroki na glinianych klepiskach w wędrownym Teatrze Wojska. Pod kierunkiem Woszczerowicza w ciągu kilku tygodni wyrosło z tego pierwsze poważne wydarzenie w odnawiającym się życiu teatralnym. I to jest, zdaje się, najważniejsze.

Matejko wraca do życia

Do Matejki wraca się z wędrówek i wygnań, z najboleśniejszych i tragicznych zdarzeń, z ucieczek. Bo trzeba przyznać: malarstwo Matejki, jego artystyczna spuścizna mniej oddziaływała na nas przed wrześniem tragicznym. My młodzi malarze odwracaliśmy się od Matejki, szukaliśmy nowych, innych, rozsądniejszych dróg.

W dalekim mieście rosyjskim nad Wołgą, w bibliotece obwodowej znalazłem parę reprodukcyj: „Grunwald", „Hołd pruski", „Skarga", „Racławice". I wróciło coś znajomego, w co wrośnięty byłem, jak mowa ojczysta, jak słowo polskie usłyszane znienacka.

Matejko przesłonił wielkością swoją innych malarzy historycznych. Prawda, więcej w nim historiozofa, aniżeli malarza, więcej w nim reżyserii, aniżeli gry malarskiej. Nie pomniejsza to jego wagi. Matejko istnieje konkretnością tego, co było.

Skontrolujmy siebie, przez chwilę pomyślmy o dziejach naszych, niech pod powiekami naszymi powstaną obrazy minionych wieków, zatrzymajmy te obrazy w sobie i porównajmy. Okaże się, że jego wizje głęboko w nas zapadły, że myślimy i wyobrażamy sobie tak, jak to wyobrażał sobie on sam.

Matejko jest rzeczywistą własnością narodu — i to potwierdziły wydarzenia wrześniowe i późniejsze.

We wrześniu 1939 roku, podczas walk o Warszawę, grupa patriotów wywozi z warszawskiej „Zachęty", „Grunwald" i „Kazanie Skargi". Ten skarb cenny a uciążliwy, bo ważący półtora tony, o średnicy 1 metra a długości 4,5 m., wywieziony zostaje do Lublina. W dzień przyjazdu ludzie ci giną od bomby, na ich miejsce stają inni. Pod bokiem Niemców przewożą obrazy z miejsca na miejsce, zakopują, odkopują.

Kto są ci ludzie? Urzędnicy, nauczyciele, robotnicy, woźnica, przedsiębiorca budowlany. Ci wszyscy wiedzą, że Matejko to własność całego narodu, pokoleń dawnych i przyszłych.

„Kazanie Skargi" było w posiadaniu hrabiego Zamojskiego. To, co powinno było należeć do narodu, było tylko dobrem hrabiowskim i jako dobro hrabiowskie łaskawie użyczone, aby z fortuny i magnactwa Zamojskich spływał „splendor", „że my jesteśmy tymi, dla których sztuka żyje". Ale nie magnaci ratują płótno Matejki. Ratują je skromni ludzie. Jest sens i istota bohaterstwa w tym czynie. Dlaczego malarz Ejsmond wywozi „Grunwald" i „Kazanie Skargi" i wozi je po Polsce, dlaczego ginie, dlaczego giną inni?

„Grunwald" jest manifestacją niejako polityczną, „Grunwald" był długo Niemcom solą w oku. Potomkowie Ulrycha von Jungingen radzi byliby go mieć w swych rękach. Cieszyliby się nim w tępej pruskiej radości, rechotali pogardliwie; lubią to przecież, to oni wymyślili wagon w lesie Compiegne. Oni pokazywaliby „Grunwald" upici dumą i butą. Dlatego też wyznaczyli za znalezienie „Grunwaldu" nagrodę w sumie aż 10.000.000 marek. Jak drogi był im „Grunwald", jak cenili chęć tryumfu i jak drogi był dla ludzi tych, którzy płótno Matejki ukrywali. Nikt się nie połakomił na dziesięć judaszowych milionów, bo oddanie Matejki w ręce Niemców byłoby niczym innym jak zdradą, zdradą pisaną wielkimi zgłoskami, zdradą narodu i zdradą jego ducha.

Matejko umiał wzbudzać uczucia narodowe, był niejako sanktuarium, którego nie ima się zdrada. Natchnieniem bohaterstwa tych ludzi, którzy dokonali czynu zachowania Matejki, jest właśnie jego wielkość. Matejko wrócił, dzieła jego stały się własnością Polski, nie Zamojskich, lecz ludu polskiego. Nie magnatów, nie tych, do których przodków zwracał się ksiądz Skarga uwieczniony pędzlem mistrza:

„Będziecie jako wdowa osierociała — wy coście inne narody rządzili, będziecie na pośmiewisko i urąganie nieprzyjaciół swoich. Język swój, w którym to samym królestwo między onemi słowiańskiemi wolne zostało i naród swój zgubicie i ostatek tego narodu, tak starego i po świecie tak szeroko rozkwitnionego i w obcy się naród, który was nienawidzi obrócicie jako się innym przydało. Będziecie nie tylko bez pana krwi swojej i bez wybierania, ale też i bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, których popychać nogami tam, gdzie was pierwiej ważono, będą".

Dzieła Matejki spoczywały w klepisku pod stodołą, zakopane lecz nie zapomniane.

Gruba warstwa pleśni pokryła płótna. Zabrakło nam w tej chwili, bo kadry nasze są zdziesiątkowane, wybitnego specjalisty, który by tę pleśń usunął, przywracając obrazom świeżość życia, ale natychmiast przybył z Moskwy znakomity tamtejszy konserwator, prof. Aleksy Rybnikow, z przyjacielską wyręką. Pod jego kierunkiem powoli zdziera się pleśń, występuje rysunek i barwa.

Matejko wraca do życia.

Ignacy Witz



Z walk o Warszawę

fot. K. Kapustiański

PRZEMIANY

Adam Ważyk. „SERCE GRANATU". Lublin, Związek Zawodowy Literatów Polskich 1944; str. 30 i 2 nlb.

O wojnie można pisać dwojako: nasycać się nawet będąc ofiarą, jej groźną scenerią; lub też żyć nią, szukając w niej nie przenośni, lecz zwycięstwa. Zbiór Ważyka „Serce granatu", cały przechylony w pędzie na zachód, ma dwie mety: pomoc i zemstę. Każdy z tych wierszy, czy to „Na śniegu", kończący się wizją dłoni, złożonych w trąbkę do okrzyku jak lufy do strzału, czy „Ruiny Biełgorodu", gdzie poeta, wyszarpując z ziemi rdzawe niemieckie żelaziwo, odnajduje na nim krew swego miasta, czy tytułowe „Serce" — lecącego na zachód — „granatu", czy wzruszające „Przyjście" zza Bugu witanych przez ludność polską żołnierzy, czy wreszcie wiersze o żrącej tęsknocie za ojczyzną „Kraina" i „Trzecia jesień", każdy z nich wysuwa się jak ostrze bagnetu, godzące we wroga, lub jak dłoń miłości i pomocy wyciągnięta do kraju. Nie ma tu miejsca na humanitaryzmy i pacyfizmy: jedyną odpowiedzią w dyskusji z hitleryzmem jest przesłana mu kula (wiersz „Odpowiedź"). Dawny Ważyk, poeta-nowator, kojarzący luźne treści psychiczne, zmienił się ogromnie. W wierszu „Inkipo" czyni on rozrachunek z sobą byłym: nawracając do dawnej tematyki, ujmuje ją jednak w [illegible] formy klasycznego patrzenia, ogląda oczyma klasyka siebie — awangardzistę i ta odmienność treści i formy stanowi właśnie o dwuznacznym uroku tego wiersza. Lata milczenia Ważyka—poety ukazały go nam jako prozaika, zdążającego przez „Człowieka w burym ubraniu" i „Latarnie świecą w Karpowie" ku „Mitom rodzinnym" — ku realizmowi. Nie zajmowało go już, jak sobie coś można wyobrazić, lecz jak to jest. Dziś świat jego wzbogacił się w nowy składnik: o pytanie, jak to powinno być. Realizm zaostrzył się tendencją, uskrzydlił celem. Jest to — jak wiadomo — postawa klasyczna.

Ja też się zrywam w nocy i wołam
i widzę miasto,
urodę ulic szarą, kamienną,
a w niej liściastą.
(„Doświadczenie").

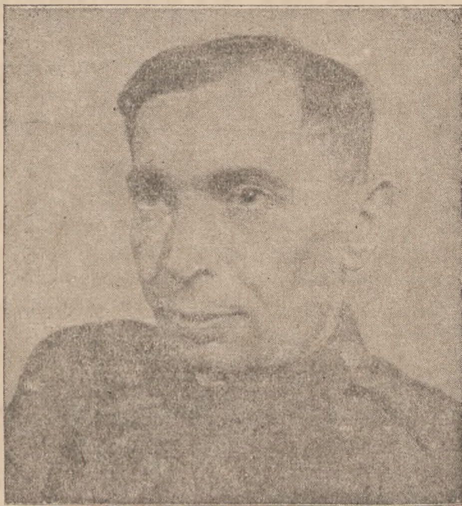
Ja też — ja, jeden z wielu, pożeranych równą mojej nostalgią. Jak rzadko wyrzekają się nasi poeci — nie programowo, lecz w drobnych, zdradzieckich szczegółach — samotnej wieszczej postawy, by włączyć się do ogółu sobie podobnych? Jedynie u Ważyka i Putramenta, którzy przyszli z emigracji wschodniej, pojawia się stale zaimek „my" — czy nie dlatego może, że obaj uchodźcy w Związku Radzieckim uczestniczyli w formowaniu Wojska Polskiego?

I nie jest również przypadkiem, że jedyny w zbiorze „Serce granatu" — prócz nawiązującego do przeszłości „Szkicu pamiętnika" — utwór, pisany metrum wolnym „Na temat reflektorów", który powstał jeszcze w 1940 r., uderza w ów osobisty ton. Wiersz swobodny bowiem, wychodząc z przeżycia, wytwarza dlań niepowtarzalny, wolny od wszelkich konwencyj, kształt: jest on w założeniu indywidualistyczny. Wiersz regularny natomiast, obciążony dobrowolnymi kajdanami, wyraża przeżycie tylko w granicach szachownicy formalnej: poddaje się prawu z zewnątrz. Zmiana zatem techniki poetyckiej oznacza ewolucję poglądu na świat, tym głębszą, że obejmującą nie tylko myśl, lecz odczuwanie.

Istotniejszy jednak dla metamorfozy Ważyka od metrum jest styl — przeciwieństwo maniery. Wielu bowiem niepoślednich poetów rozwija w ciągu twórczości wciąż ten sam zasadniczy motyw, dobywając tonów coraz pełniejszych z jednej struny: tak Słowacki, tak wśród współczesnych Przyboś. U innych, bliższych klasycyzmowi, każde dzieło powstałe z odrębnych pokładów, wytwarza sobie własny system poetycki. Któż, nieuprzedzony, odgadłby tożsamość autorów „Dziadów" i „Pana Tadeusza"? Ci drudzy, pozbawieni stałej weny poetyckiej, tworzą rzadziej i z oporem: za każdym razem od nowa. W dziełach swych, budowanych na wciąż odmiennej zasadzie, ponad oryginalność pomysłów, nad śmiałość skojarzeń stawiają oni jednolitość współmiernych szczegółów, zgupowanych dokoła idei centralnej. Z jaką ścisłością w „Krainie" Ważyka moment starości organizuje wokół siebie przyrodę: „góry siwieją", „woda pradawna", „nagi jak Adam" (ten pradawny oczywiście, nie ten współczesny), „zamierzchła uroda", „starcza przyroda", „trawa zrudziała", „uśmiech przewiędły" — aż do pointy „do brzozy białej, że aż prawie srebrnej". To nie realizm; rzeczywistość nie bywa tak harmonijna; to klasycyzm. Nie metrum zatem, safickie, alcejskie czy heroiczne, nie szerokie wielozgłoskowe akordy, uprzedzające dalszy bieg zdania („Zadziwiający zwierzęce oczy—stos"... „Trzydziestokilkuletniemu wypada widzieć jasno"...), lecz suwerenne kierowanie wierszem, podporządkowanie go zamysłowi głównemu — stanowi o klasycyzmie poety.

Metodą kompozycji jest tu wybór. Nie każda myśl, jakkolwiek nowa, nie każdy obraz, jakkolwiek olśniewający, godzi się z założeniami wiersza. Jednolitość osiąga się prostotą, często ubóstwem środków. Słownik poetycki Racine'a liczy jak wiadomo 700 wyrazów i jedną przenośnię: „płomienie miłosne". Myśl zasadnicza zbioru Ważyka: wojna sercem, miłość zastygła w stal nienawiści, powraca wciąż w wariantach obrazów: „serce granatu", „kule świecące serca", „pociskami się serce rozprysło" i wreszcie

Dziewczyna w trawie tej przyklęknie,
karabin złoży na kolanach,
na których kiedyś, z jasnym czołem,
dzieci łakomie będą rosły,
dla nich, dla czół ich — dotyk miękki,
a dzisiaj ruch jej będzie oschły —
i wystrzał w serce będzie celny...
(„Poemat sprzężony").



Adam Ważyk

Klasyk sprowadza zjawiska do ich wielkich linii kierunkowych. Utwór jego powstaje przez zgęszczenie rzeczywistości. Bardziej niż inni uwydatnia on wartościującą ingerencję człowieka w świat zjawisk — nie przez szeregowanie rzeczowników, jak czynili futuryści, nie przez dynamizowanie stanów w czasowniki, lecz przez ocenę zdarzeń — ich przymiotów. Stąd znaczenie przymiotnikowego epitetu w poetyce klasycznej; stąd ustalenie rzeczy w pojęcia. Konkretność ulicy przeistacza się u Ważyka w „urodę ulic, szarą, kamienną, a w niej — liściastą"; drzewo staje się synonimem trwania „sosną trwałości"; szubienica — „znakiem milczenia"; przestrzeń krzepnie w „głęboki kryształ".

Dla klasyka rzeczywistość humanistyczna istnieje. Stąd wiersze o książkach, o poetach, swoista krytyka literacka wierszem. Nie czuje się on jedynym w świecie ducha, gdzie ma przodków; i wiersz horacjański wzrusza go jak przypomniane dzieciństwo („Gdzie sosna wielka"). Poeci francuscy — Verlaine, Mallarmé — wywołują w pastyszach style epok minionych. Podobna tendencja, zaostrzona temperamentem satyryka, zrodziła u Ważyka dwie ewokacje niedawnej przeszłości: „Inkipo" i „Szkic pamiętnika".

W „Inkipo" wskrzesza poeta nietyle epokę przedwrześniową, ile jej marzenie. Każdy okres w dziejach kultury ma taką tylną ścianę wyobraźni, na którą rzuca swój własny fantastyczny cień: wiek XVII — starożytność rzymską, XVIII — grecką, romantyzm — średniowiecze, symboliści — wiek XVIII. Tamta epoka rzutowała się na iluzoryczny ekran, nie umiejscowiony w żadnym momencie historii, lecz powstały z pomieszania wszystkich, odchodząc w jakąś zaprzeszłość mieszczańską, w głuche miasteczka mitycznych karczem, aptekarzy i fryzjerów — jak niegdyś hrabiowie romantyczni — w feodalizm. Był to mieszczański sen o przygodzie, co „się zawsze ślepo kończyła" w zaułku psychicznym, w „lesie bez wyjścia", gdzie nie mogło się nic zdarzyć, gdzie każda napoczęta akcja powieści rozpływała się w krajobrazie.

Ta niemożność czynu — o czym mówi „Szkic pamiętnika"—szła w parze z chaosem pojęć, z wielością sprzecznych wiar. W owej epoce przedwrześniowej, gdy krzyżujące się prawdy przekreślały się nawzajem, gdy z równą łatwością budowano i burzono filozoficzne domki z kart, wieże Babel na przestrzeni 1 centymetra, w owej chwili już rodził się „w pięknoduchu szpicel, w snobie agent niemiecki": jedynym argumentem, jaki wydał mu się niezbitym, był kułak, ordynarny, bez perspektyw widziany, fakt. I popełniwszy zbrodnię, stał się wyznawcą Tak pewien odłam półinteligencji przyjął faszyzm, dogmat cynicznych niedouków, potworne mitotwórstwo wynikłe z absolutnego nihilizmu.

Uwydatnienie tych zagadnień czyni „Szkic pamiętnika" najcenniejszym treściowo wierszem zbioru.

Ważyk, jedyny wśród naszych poetów, wyraził w zmienionym języku zmienioną epokę.

Artur Sandauer

Pisarze francuscy w walce

W numerze 72 biuletynu przedstawicielstwa Francuskiego Rządu Tymczasowego w Moskwie znajdują się pod powyższym tytułem następujące uwagi:

„Teraz, gdy kurtyna tajemnicy otaczającej działalność patriotów francuskich zaczyna się podnosić, możemy otwarcie uczcić bohaterów walki wyzwoleńczej. Świat wiedział już o pięknej roli, jaką odegrali robotnicy francuscy, którzy sabotując pracę w fabrykach, kolejnictwie i ośrodkach przemysłowych, tak owocnie przyczynili się do zwycięstwa. Trudniej było sprecyzować rolę, jaką odegrali w walce wyzwoleńczej intelektualiści, pisarze. Wychodząca dziś prasa paryska pozwala nam wypełnić tę lukę i przekonać się, że pisarze francuscy, wierni swym pięknym tradycjom, stali się bojownikami sprawy wielkości narodowej, sprawiedliwości społecznej, wolności i mają pełne prawo do tego, by nazwiska ich były znane światu. Aby uniknąć przytaczania zbyt wielu szczegółów historii, która powinna być znana całej Francji, podajemy tu zestawione już spisy tych pisarzy, którzy pomimo prześladowań, gnębienia i trudności materialnych, wysoko wznieśli i trzymali sztandar inteligencji francuskiej.

Jean Paulhan, były dyrektor „La Nouvelle Revue Française", stał się główną sprężyną wszystkich tajnych publikacyj, zarówno „Les Editions de Minuit" jak „Lettres Françaises"; Jacques Decour, założyciel „Lettres Françaises", rozstrzelany został przez Niemców jeszcze przed opublikowaniem pierwszego numeru tego pisma; Claude Morgan przejął „Le Flambeau" (Pochodnia) i przez jakiś czas sam wydawał potajemnie ten dziennik. Przyłączyli się do niego natychmiast Jacques de Bridelle, Jean Guchenno, Charles Vildrac, Blanzet, Vendal, Edith Thomas, założyciel „Editions de Minuit", w których ogłaszali swoje utwory François Mauriac, Thimerais, jeden z tych pisarzy, których pseudonim nie może być zdradzony, ponieważ znalazł się w rękach gestapo, Louis Aragon, Elise Triolet, Jean Cassou, Claude Aveline i inni. W „Lettres Françaises" współpracowali również Julien Benda, Georges Adam, Colette Duval, Georges Sadoul, oraz poeta Paul Eluard, autor „Poèmes d'amour en guerre", który nie tylko dostarczał artykułów i kroniki dla prasy podziemnej, ale sam chodził z paczką ulotek od drzwi do drzwi, nie uważając tego bynajmniej za umniejszenie swojej godności osobistej. Ksiądz Midieux, proboszcz z Jean Paul, André Rousseaux, Albert Cahus, Paul Valéry, Georges Duhamel, Jean Tharaud, Paul Nazard, Alexandre Arnoux, Réné Maran, Pierre Bost, Michel Leyris, Georges Oudart i Roger Martin du Gard byli także czynnymi współpracownikami prasy podziemnej. Jeśli nie wymieniamy tu innych znanych nazwisk, to tylko dlatego, że pisarze ci walczyli z bronią w ręku. A więc Malraux wsławił się wśród partyzantów jako pułkownik Berger, Jean Prevost został zamordowany przez Niemców w wigilię wyzwolenia, autor „Cloch-Merle" Gabriel Chevalier, działał wśród paryzantów departamentu Corrèze jako major Christophe, Leon Moussinac, uwięziony w obozie, prowadził cały czas pamiętnik martyrologii swojej i towarzyszy. Dziś już są znane okoliczności walki i śmierci znakomitego pisarza Jeana Giraudoux, który stał się ofiarą gestapo za swoją pracę nad zbieraniem materiałów, dotyczących udziału Francji w osiągnięciu wspólnego zwycięstwa, i za gromadzenie dowodów zbrodni niemieckich.

Oto garść wiadomości o drobnej zaledwie części tych ludzi, którzy łączą z talentem literackim wysokie wartości duchowe, odnowione i spotęgowane bezpośrednim kontaktem z rzeczywistością, udziałem w walce całego narodu".

Lew Tołstoj a wojna dzisiejsza

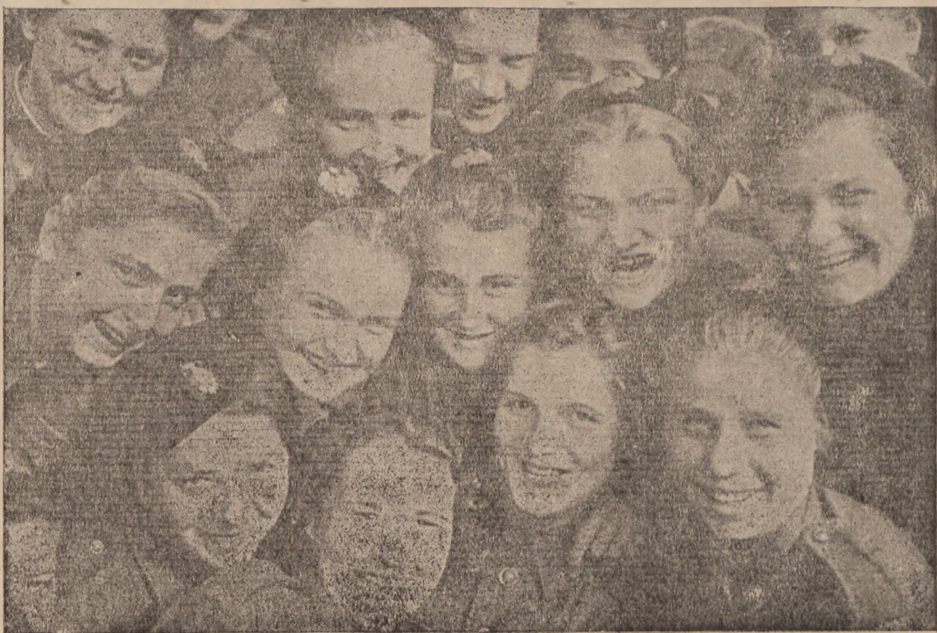
Epopea tołstojowska „Wojna i pokój" stała się w trakcie wojny dzisiejszej jedną z najpoczytniejszych książek w krajach anglosaskich i na całym świecie. Fala zainteresowania nową Rosją, wywołana jej decydującym udziałem w wojnie z Niemcami, skłoniła wielu intelektualistów zagranicznych do poszukiwania w klasycznej literaturze rosyjskiej owych cech narodowych, które wojna dzisiejsza z taką siłą ujawniła. Charakter ludowy Armii Czerwonej i całego dzisiejszego społeczeństwa rosyjskiego skierował, rzecz prosta, uwagę zagranicznych publicystów i działaczy społecznych na postać Platona Koratajewa, jako najdobitniej zarysowaną w epopei tołstojowskiej postać z ludu.

Takie spojrzenie na „Wojnę i pokój" grzeszy jednostronnością. Skoro już mowa o cechach narodowych, które pozwoliły Rosji w początkach ubiegłego stulecia rozbić armię napoleońską, to przecież cechy te zawsze komponują się z właściwościami określanych warstw społecznych, odpowiednio do okresu historycznego. Tołstojowski Platon Koratajew głosi pokorę i kwietyzm religijny, idee, które w dzisiejszym społeczeństwie rosyjskim zanikły. Niewątpliwa odwaga i niewątpliwy patriotyzm kniazia Andrzeja Wołkońskiego i Mikołaja Rostowa, skromnego kapitana Tuszyny i wielu innych żołnierzy epoki Kutuzowa, gwardzistów chłopskich, partyzantów, którzy powstali przeciwko inwazji napoleońskiej, wskazuje, że wiele innych postaci jest piastunami tych cech narodowych, których tak poszukują zagraniczni badacze Rosji. Niektórzy z nich dopatrują się u postaci tołstojowskich i u współczesnych Rosjan wspólnej „duszy słowiańskiej" — koncepcja tyleż łatwa, ile metafizyczna i niepoważna. Wypadałoby raczej zastanowić się nad tą prawdą historyczną, że cnoty rozpowszechnione w czasach Kutuzowa zarówno w ludzie rosyjskim, jak i w warstwach górnych, w późniejszym układzie życia ostały się prawie wyłącznie u ludu, na co dostarczyły dowodów wojny drugiej połowy XIX w. i pierwsza wojna światowa.

Dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, że ostatnie lat dwadzieścia kilka przyniosło w Rosji dostrzegalne zmiany psychiczne.

Dzisiejsze utwory stanowią jakby szkice do wielkich dzieł epickich, które nie rodzą się na kamieniu. Jutrzejsza generacja pisarzy przemyśli tę wojnę na nowo.

Z wybitniejszych utworów wyróżnić przede wszystkim trzeba: fragmenty powieści Szołochowa „Walczyli za ojczyznę", Simonowa „Rosjanie" oraz „Dnie i noce", rzecz o Stalingradzie, wreszcie ogłoszone niedawno Leonowa „Zajęcie Wielikoszumska". Żołnierze i oficerowie w sowieckiej literaturze wojennej to z reguły ludzie, którzy dopiero w ogniu bitwy wdrażają się w sztukę wojenną; do niedawna prowadzili pociągi, siedzieli nad księgami buchalteryjnymi, budowali fabryki, pracowali w laboratoriach naukowych. Cywile przekształcają się w żołnierzy i w ogniu wojny niektórzy z nich dochodzą do wysokich szczebli wojskowych. Wojna wydaje bohaterów. Najbardziej zastanawiającą cechą tego typu bohaterstwa, którego odbicie daje współczesna wojenna literatura rosyjska, jest to, że pomimo ogromnego przywiązania do życia pogarda śmierci nie łączy się z żadnym uczuciem straceńca, tak znamiennym dla postaci Hemingwaya, Sheriffa czy Remarque'a, dla literatury pierwszej wojny światowej.



fot. W. Ferbert

Redaktor: Karol Kuryluk. Adres redakcji i administracji: Lublin, Krak. Przedmieście 62, tel. 10-76. Pierwsza Drukarnia Państwowa w Lublinie. Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik".